

Grzegorz Stanisławski • Janusz Taranienko • Zbigniew Patryk •
Hanna E. Cygańczuk-Prokopczyk • Józefa Drozdowska • Henryk Gała •
Irena Słonimska • Zofia Piłasiewicz • Leonarda Szubzda • Włodzimierz
Sawczuk • Wojciech Załęski • Dariusz Adam Zeller • Krystyna Bezubik
Ewa Perepelica • Małgorzata Dobkowska • Eligiusz Buczyński •
Kamil Dąbrowski • Andrzej Pietrasz • Ryszard Zięckowski • Sylwia
Urbanik • Julian Dworakowski • Barbara Lachowicz • Henryk
Kruszyński • Justas Jasėnas przekład Wojciech Piotrowicz • Edyta
Ślączka-Poskrobko Agnieszka Krotke • Bohdan Bojczuk przekład
Tadeusz Karabowicz i Jan Leończuk • Katarzyna Drzemicka • Halina
Kabac • Józef Budziński • Ks. Jan Filewicz • Elżbieta Michalska •
Miroslawa Niewińska • Michał Szachowicz przekład Jan Leończuk •
Ks. Tomasz Wilga • Dariusz Tichoniuk • Przemysław Kuć • Maciej
Szanciło • Ryszard Kondratowicz • Marek Styliński • Apoloniusz
Ciołkiewicz • Kazimierz Słomiński • Mariusz Okułowicz • Dominik
Sołowiej • Marianna Czubata • Teresa Jabłońska

EPEA

almanach

Białystok 2007

Redakcja:
Jan Leończuk
Daniel Znamierowski

Redakcja techniczna:
Ewa Frymus

„Zrealizowano przy wsparciu finansowym
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego
w Białymstoku.”



TOM VI

821.162.1-82(05)

ISBN 978-83-60368-02-2

Skład i druk:



MARIUSZ ŚLIWOWSKI

15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7

tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304

www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

KP Białystok-EO-2007/2556/1

GRZEGORZ STANISŁAWSKI

poeta

wyliczanka

kto je – ten jest
kto śpi – jest tu
kto śni – jest tam
kto kocha – ten żyje
kto płacze – ten bardziej
kto się śmieje – mniej
kto ucieka tu – wróci
kto ucieka tam – nie
kto chce – kto nie
kto wie

* * *

Może wejdę raz jeszcze na garbaty pagór.
Z niego będzie bliżej do strzelistych szczytów.
Może kogoś spotkam, kto popatrzy na dół,
a w spojrzeniu ujrzę iskierkę zachwytu.

Może ja nim będę z odmiennej przestrzeni,
którą mogłem wybrać pozostając tutaj.
Teraz gdy się wszystko skłania ku jesieni,
a czas bierze w ręce coraz twardsze dłuto,

milczę, i skrzypce milczą w futerale –
nikomu nic nie zagram – pogubiłem nuty.
Głos mi stwardniał, nic już nie wyszepczę.

Od mrozu gardło owinę wysłużonym szalem.
Od wody wdzieję połatanę buty.
Od ognia tylko nie wiem jak się zabezpieczę.

Wielkanoc

Siądziemy do stołu. Ten i ów z kościoła
słowo dobre przyniesie, znak krzyża uczyni.
Będziemy się do syta zachwycać jedzeniem.
Coś powiemy o tych, co odeszli wcześniej.

Spokojnie, dostatnio w leniwych fotelach,
zupełnie jak sąsiedzi, też byli na sumie.
Teraz można zapomnieć o codziennych sporach,
ukłonić się nawet znak pokoju czyniąc.

Jeszcze jutro dzieci obleją nas wodą.
Stoły opuchnięte od wódki i żarcia,
Zaczepiane z rzadka, wszyscy mają dosyć,
cicho skrzypiec będą by nie zbudzić gości.

Potem odjedziemy, każdy w swoją stronę.
Skończy się Wielkanoc...

memu ojcu – przed śmiercią

po coś tu przyszedł – pytałeś –
jeśli nie masz dla mnie trucizny przed bólem
po co?

– żeby zrozumieć dokąd idziesz tato
i dlaczego cierpienie jest w tobie
skąd wiesz, że śmierć coś zmieni, może
nieskończoność powieli ostatni
obraz, dźwięk, myśl czy sen
i to jest właśnie piekło

i Ziemi już nie będzie – Słońce – czerwony olbrzym
pochłonie nasz subtelny układ z Panem Bogiem
a piekło ostatniej chwili poczeka na inny
by trwać
– odejdź synku, idź

Bądź

on
odszedł pierwszy – dusza jego w raju
ona
odeszła potem – dusza jej w raju
była już od dawna
ciało ziemi oddałem na rozpad
on rozkładał się żyjąc
nic nie mogłem zrobić
spodobało się Panu
który jest lub nie
taki koniec im zesaść
mnie uczynić samotnym
choć zawsze tak było
jestem bardziej
i
ktokolwiek inny mi ich nie zastąpi
ani On ani Ty
lecz Bądź

sen

śnił mi się anioł
był dla mnie dobry nic ode mnie nie chciał
i nie musiałem niczego tłumaczyć
mimo że w niebie płakałem nad sobą
on mi pokazał czym Boga obrażam
nie brakiem wiary ale krzywdząc innych

co jest ważniejsze
czym jestem dla Niego
czy On jest dla mnie
co to jest miłość a co przebaczenie
czy namiętność tęsknota gniew i pożądanie
powiedział mi to wszystko by Bóg mógł uwierzyć
że jeszcze jestem czymś więcej niż we śnie

Jestem

cały z bólu jestem kłamstw niedorzeczności
ani cienia prawdy w tym co mówię piszę
czasem tylko myślę na własny rachunek
ale czy za niego będę musiał płacić
rabin

ksiądz
czy imam

tora

biblia
koran

a może fizyki
probabilistyczna teoria wszechświata
da mi cień odpowiedzi
choćby zarys cienia
czy jestem więźniem genu

czy dowcipem boga
czy przypadkiem natury

a może

mnie nie ma

Grzesiek

Szóstego lipca 2006 roku minęła piąta rocznica śmierci Grzegorza Stanisławskiego. Zmarł w wieku 47 lat w Klinice Okulistycznej Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, trzeciego dnia po operacji siatkówki.

*Nóż wewnątrz oka miał naprawić wszystko
i pewność ręki z drugiej strony noża.
Dzień cały w ciemności, cała noc w bezruchu.
Kolejny rano przywrócił mi światło. /.../*

/Ostrość widzenia/

– napisał Grzegorz po pierwszej, majowej, operacji w Klinice Okulistyki w białostockim „Gigancie”. Po drugiej, lipcowej, katowickiej – nie było już kolejnego ranka. A z wszelkich możliwych do pojęcia światel jemu pozostało jedynie to ostateczne, wiekuiste.

Gdy poznałem Grzegorza, pisał już od paru dobrych lat. A poznaliśmy się pod koniec 1977, czy na początku 1978. Pracował wtedy – i pozostał w tej pracy do końca – jako informatyk w białostockich „Uchwytach”. On wciągał mnie w arkana informatyki – ja czytałem i analizowałem jego wiersze. Zaś razem... razem zjedliśmy beczkę soli, a raczej kilogramy wymyślnych potraw nie tylko francuskiej i węgierskiej kuchni (bowiem Grzesiek uwielbiał gotować), dostatnio podlewane zacnymi trunkami. Razem też czytaliśmy, dyskutowaliśmy, pisywali wiersze... Bardzo jestem ciekaw, co też dało-

by się odczytać na ścianie pod tapetą w poprzednim mieszkaniu Grzeška i Zosi Stanisławskich. I które wiersze są czyjego autorstwa.

Ale warto też powiedzieć, że Grzesiek posiadał wykształcenie ścisłe; na bieżąco śledził nowinki z fizyki i nauk przyrodniczych. Prócz tego bardzo wiele czytał oraz – ze względu na ciekawość świata – rozważał również zagadnienia metafizyczne i eschatologiczne w kontekście różnych religii i wiar: chrześcijańskiej, judaistycznej, mahometańskiej... I, biorąc pod uwagę te różne porządki i wyjaśniania „rzeczy pierwszych” i „rzeczy ostatecznych”, wcale nie jestem pewien jego stosunku do wiary i religii katolickiej, jego poglądów na życie po śmierci.

* * *

Jako człowiek był on impulsywny, łatwo tracił kontrolę nad emocjami; miał „niewyparzony język”, jak się mówi kolokwialnie. Ale nie był pamiętliwy, a w związku z tym nie był mściwy czy zazdrosny. Emocje, równie szybko jak przychodziły – odchodziły i już dwa dni po dużym nieporozumieniu zapominał o sprawie. I było to w jego przypadku naturalne. Na Grzeška niesposób się było pogniewać i obrazić do końca życia, natomiast łatwo można się było zdenewrować i pokłócić, ale nie dłużej, niż na parę dni. I zawsze, ale to zawsze, można było na niego liczyć – choć, bywało, musiał się wcześniej „nagorączkować”. Można było na nim polegać. Przynajmniej ja mogłem.

* * *

Po co o tym wszystkim piszę? Żeby przejść do jego wierszy, do których – przyznaję – nie mam właściwego dystansu krytycznego. Choć uważam, że tekst literacki winien być autoteliczny w tym sensie, że jest „celem samym w sobie” i powinno się go wyjaśniać immanentnie w tym sensie, że należy abstrahować od wszelkich zewnętrznych odniesień – tutaj jednak byłbym skłonny interpretować wiersze Stanisławskiego bardziej biograficznie i psychologizycznie, osadzając te teksty w kontekście zdarzeń zewnętrznych i wewnętrznych autora. A może, w jego przypadku, inaczej nie potrafię? Może.

Tyle wyjaśnień o metodzie opisu.

Można by powiedzieć, że wiersze Grzeška wyrosły z tradycji romantycznej. Nie w takim rozumieniu, że traktują one o miłości – gdyż więcej jest w nich śmierci, niż miłości. Ale w znaczeniach poetyki opisowej. Po pierwsze, jest w nich bardzo wyraźnie zarysowane „ja” liryczne, perspektywa opisu jest zawsze podmiotowa. Po drugie, podmiot wypowiedzi, rzadko kamuflowany, jest najczęściej również i bohaterem jego tekstów. Moja znajomość poety pozwala mi stwierdzić z całą stanowczością: Stanisławski pisze o sobie i niczego w tej mierze nie ukrywa. Po trzecie: wiersze te są w większości emocjonalne, ekspresyjne. I buntownicze. Zgodnie z romantycznym rozumieniem liryki jako wyrazu emocji, liryki jako osobistego wyznania, prawie spowiedzi.

Jeśli Stanisławski jako człowiek nie cierpi zakłamania, sztuczności, konwensu, śledzi i tępi pozory, a w zamian hołduje prawdzie i szczerości – to dokładnie pisze o tym w wierszach. I pisze o tym wprost:

*jakże wspaniale by to było
kiedyś na trochę stąd wyjechać
gdzieś gdzie jest ciepło i nas nie ma
od ponurego listopada
i świąt grobowo-narodowych
/.../
pomniki Dziadka przez rok cały
brudzone przez gołębi stada
teraz napędce szorowane
by było pod czym złożyć kwiaty
jeszcze wieczorem w telewizji
Prezydent Pierwszy Patriota
powie słów kilka do Narodu
z tej samej kartki co przed rokiem /.../*

/11 Listopada/

To przecież gorzka ironia na pozory życia tego świata. Które – niestety – stały się obowiązującymi regułami. Taka jest konwencja: zbliżają się święta, więc umyjmy pomniki – i te ku pamięci, i te ku czci. I wygłosimy stosowne mowy. To nic, że przez rok nie pamiętaliśmy o nich i bez problemu bez nich umieliśmy się obejść: teraz

trzeba, teraz wypada, bo ludzie na nas patrzą. Czytajmy dalej:

*/.../ Ja też jestem w tym wszystkim.
Tkwię na Wieki Wieków.
Na mszę chodzę sumiennie i na tacę daję.
Patrzę, kto dzisiaj przyszedł i jak jest ubrany.
Pacierz także zmówię – przecież inni mówią.
Niczym się nie różnię, bo niby dlaczego.
Wrosłem w fotel, dywan, książki, bibeloty.
Dumny jestem z auta, psa, córki i żony. /.../*

/Niedziela/

Pozory życia? „Egzystencja bez esencji”, by odnieść się do filozofii? „Nasza mała stabilizacja”, by zacytować literaturę? Pewnie tak. Gdzieś odeszła prawda – o ile w ogóle była, gdzieś w codzienności zgubiliśmy sens – o ile kiedyś był; przeleciało gdzieś, jak przez sito, prawdziwe spotkanie z człowiekiem; i nawet to, co onegdaj było „święte” tak naprawdę teraz jest już „świeckie” i na siłę staramy się temu nadać pozory „świętości”:

*Siądziemy do stołu. Ten i ów z kościoła
słowo dobre przyniesie, znak krzyża uczyni.
Będziemy się do syta zachwycać jedzeniem. /.../*

*Jeszcze jutro dzieci obleją nas wodą.
Stoły opuchnięte od wódki i żarcia /.../*

*Potem odejdziemy, każdy w swoją stronę.
Skończy się Wielkanoc...*

/Wielkanoc/

Lub ten fragment:
*może wyjadę na te święta
nikt już nie żyje od opłatka
/.../
może wyjadę jeszcze dzisiaj
choć nic poskładać już się nie da*

/wyjazd/

* * *

Jawi się więc w wierszach Stanisławskiego nieuchronna perspektywa. Skoro

*opluwa mnie konieczność bytu
noszę żalobę po złudzeniach
za długo żyję może myślę
tak głupio wierząc że coś jeszcze
mogę mieć tutaj do zrobienia!...!*

/kroplówka/

*/.../ bardziej niż żyję to po prostu jestem
zmarszczka na gładkiej powierzchni jeziora
jak szklanka wódki czy papieros w dłoni
zaraz wypita za chwilę zgaszony*

/sen II/

to w tej grze zakłamań, zwanej życiem, pozostaje jedynie tegoż życia druga strona – czyli śmierć. Jako rezygnacja i jako wyzwolenie.

* * *

Grzegorz jak gdyby oswajał własną śmierć. Na pewno nie bez wpływu na jego stosunek do śmierci było odejście jego ojca i o kilka lat późniejsza śmierć matki (wiersze: *memu ojcu – przed śmiercią, Matka, ona, Bądź*); nie bez wpływu były także choroby jego samego, nękające go przez ostatnich parę lat. Oto wiersz *noc*:

*zanurzony
w bezsenne noce odczuwam ból
on doskwiera przygniata dławi
szukam drzwi
zasłony
choćby parawanów
rozpaczliwie unikam chłodu
kryształu doskonałego zimna*

*on narasta we mnie
mimo usilnie ponawianej próby
wzniesienia żaru
płomiennej tęsknoty
za gwiazdą*

Wiersz ten jest przykładem porażki w wewnętrznej walce pomiędzy chęcią życia a śmiercią: mimo usilnych prób wydobycia z siebie zapału, entuzjazmu życia, olbrzymieje dławiący ból *kryształu doskonałego zimna*.

Poetyckich tekstów o bólu, suto okraszonych jednoznacznymi określeniami medycznymi, w tym arkuszu nie brakuje; tomik roi się od kroplówek, tabletek, brzytw, żyłek, noży, szpitalnych łóżek. Sceneria nie do zniesienia i nie do zaakceptowania; nie do życia...

* * *

Po śmierci Grzegorza jego żona, Zosia, postanowiła wydać jego wiersze. Ponieważ nie było innego wyjścia, najlepszym rozwiązaniem okazało się wydanie tomiku własnym sumptem. Obiecałem pomóc w wyborze i redagowaniu znanej mi wcześniej twórczości; dokonaliśmy tego wspólnie i razem też nadaliśmy arkuśowi tytuł: *a może mnie nie ma*, będący cytatem z ostatniego z zamieszczonych tu tekstów pod nazwą *jestem*.

Jednak skoro Stanisławski podważa zagadnienia metafizyczne, mówiąc *jestem* – *a może mnie nie ma*, w dowodzie przytaczając hipotezę światów równoległych i hipotezę o przypadkowym powstaniu wszechświata – to równie dobrze można napisać odwrotnie: „nie ma mnie – a może jestem”.

*kiedy odejdziesz
powietrze nie będzie konieczne i światło
/.../
chyba że jak kwant
bez wyraźnych motywów
fotonem zabłyszę
i krzyk traw będzie konieczny
nad głową

/kiedy/*

Oto przypadkowy, niemotywowany błysk fotonu światła powołuje do bytu przyrodę materialną. Interesująco postawiona ontologia, nieprawdaż? Tym bardziej, że – tak naprawdę – nie da się jej obalić. Ani dowieść. Stąd przypuszczenie: „może”.

Więc cóż: nie ma cię, Grzesiek – a może właśnie jesteś? Może.

Post scriptum

Jest w tym arkuszu wierszy także i tekst o miłości, wymykający się powyższym interpretacjom. Umieściliśmy go na początku tomiku. Fakt: jak pamiętam, poemat o Deborah powstał po okresie zarzucenia pisania przez Grzegorza – więc z tego punktu widzenia był powrotem do pisania, interesującą próbą nowego stylu; zaś z punktu widzenia omawianych i cytowanych wcześniej wierszy jest od nich o kilka lat wcześniejszy. Zatem teksty, będące głównym przedmiotem mojej interpretacji, są i wierszami ostatnimi i są one zarazem najbardziej charakterystyczne dla dojrzałej twórczości autora.

Mam wrażenie, że Grzesiek nigdy nie skończył „Deborah”; co więcej: tekst ten dałoby się pisać – i pisać – bez mała w nieskończoność. To poemat wizyjny, kreacyjny, w przeciwieństwie do pozostałych wierszy nie mający nic wspólnego z rzeczywistością pozaliteracką, z doświadczeniami; poemat jest od początku do końca wymyślony, rządzi się prawami fikcji. Stanisławski, posłuszny władzy wyobraźni, tworzy świat literacki, konstruowany przez monolog „ja” skierowany do wymyślonej dziewczyny o imieniu Deborah. Wraz z przybywaniem słów monologu przybywa informacji o świecie przedstawionym i o głównej bohaterce, świat ten zamieszkującej. I wraz z narastaniem wiedzy o świecie i o Deborah narasta świadomość czytelnika o monologizującym podmiocie.

*/.../ Deborah
nie płacz
są przecież latawce które tylko sznurek
wiąże i ręka
a cały park między twoim i moim domem
jest do przejścia
więc wyjdź Deborah z domu
bo dzień się kończy ostatni jak wszystkie
a gwiazdy są zimne jak kandelabry*

*w kościele bez Boga
drzwi otwórz i okna na słońca niskie zachody
i ręce na ręce czule /.../*

Poemat „Deborah” to wersja historii miłosnej o Romeo i Julii, o Tristanie i Izoldzie, o... Ale pamiętajmy: jest to wersja Grzegorza. I nie byłby on sobą, gdyby nie zakończył i erudycyjnie, przywołując mit o Artemidzie i Akteonie, i egzystencjalnie:

*więc idź Deborah
odzyskaj tę swoją przekłątą cnotę zatrzaśniętych drzwi
i spokój narzuconych wędzideł
ani mi w głowie ani w sercu
wchodzić przez płoty do twoich ogrodów
cóż muszę
ja muszę
nakarmić sobą psy*

Janusz Taranienko

Grzegorz Stanisławski, a może mnie nie ma; wybór i redakcja
Janusz Taranienko, Białystok 2004, wydano nakładem własnym Zo-
fii Stanisławskiej.

ZBIGNIEW

PATRYK

Bardziej żyć

nie bać się niczego
zostawić

bardziej być
jutro niż wczoraj

walczyć z sobą
i stawać się bogatszym
przez to

żeby dzisiaj
bez wczoraj
mieć
doświadczać

również siebie

Beneficjum

zadbać o szansę
nie tylko dla siebie
ale i tych
co w kurortach obłudnych
nawet za darmo

kupują nadzieję
fałszywych cenników
stroją się
w modlitwy krwawe

–
uczyć
a nie pouczać

nasycić światłem
leczyć nadzieją
obudzić katharsis
męczenników

kalekich

Bez wzajemności

jest to
bardziej niż smutne
bardziej niż śmiertelne

że w nas
jest nie tylko to
co gaśnie
przemija
co jest martwe

ale
że kochamy to
przez co nigdy

– nie będziemy...
bez wzajemności

Co to znaczy

parkujesz się
w różnych kątach życia
nie nadążasz za pragnieniami
adresy więdną

i wiesz
że chcesz czas
swój wyprostować
zachciało ci się
nawet czegoś więcej
niż chleba

i co?
– prawdziwa groteska

wszystko co teraz masz
to świadomość
że możesz
– a właściwie musisz
bardziej się zgiąć
bliżej do ziemi
niż do nieba

to nie znaczy
że o czymś zapomniawsz
nie myślisz
że jeszcze umierasz w nostalgii

to znaczy
że nadal
się męczysz

żyjesz



Do rymu

można pójść do świątyni
odświeżyć się
również duchowo

na plażę
w wodzie mokrej
wypieścić się bursztynowo

na kolacje
nasyć się
nie tylko kelnerkami

...

można też pójść
na łatwiznę
pysznąc się banałami

Dobrze że tak jest

jestem perlistym gamoniem
a jednak
najlepiej uczę się

dokonując wyboru
który nie jest ucieczką

uczę się
gdy Miłość staje się
jedyną Modlitwą
a Wdzięczność
oznaka Tożsamości

choć nie jest perliście
ale dobrze
że tak właśnie jest

że nie jest tak
jak ja chciałbym
żeby było

aby w pełni
żyć

Dziewiczość

ani pozdrowiona
ani święta
nikt przed
nikt z nią
za nią

między normalnie klęczącymi
wątpliwościami
bez nadziei na owoc
teraz
ani w godzinach
grzechów

amen

Dzięki tobie

Wiesławowi Kazaneckiemu

w moim wieku
nie można już
żyć ani umierać
z miłości
– trzeba mieć kasę

a ja nadal

bazgram papier
nie wymienialny na chleb
lekarza
ani na zbawienie

Mistrzowi Transformacji
Wiesławie

grzmociłeś mnie w młodości
głosem
jak Ty wysokim
że zgrzeszę
jeżeli przestanę
męczyć się słowem

tak się złożyło
że niewiele potrafię
grzechów się lękam
więc zamiast z butelki
papierosa
zamiast za namiętą
spódnicę
ciągnę nadal
dni swojego kalendarza
stalówką

i chociaż
jak sam dobrze wiesz
klęcząc w Crystal Clear
że nie tylko żyć
z tego nie sposób
duch mój
zawsze jest syty

Dzięki Tobie

Moje miasto

choć
dusze żywych
jeszcze rozpaczliwie szukają
pod gruzami
w ciemności

nie wszystko
jest martwe
żyje nadzieja

Miasto Moje
nie kruszy się
nie gaśnie
mniej lub bardziej
trwa
walczy z ranami
bolesnej krucjaty
tych co się modlą inaczej
– i nienawidzą
Mojego Miasta

które
wciąż się modli

Życiem

Wspomnienia z odpustu pod wałami na Rocha

było już około godziny
w której słońce ziewało
a jasność ocknęła się
w jaskiniach zbójców

resztki zmieniających reszki
jarmarczylły zawistnie
srebrnikową litanią

pokutnie miażdżąc ostatni kęs
straganiaczno -aczka
siarczyście zezowałem podobizny
rocznicowego solenizanta
– na marne

znużony fiaskiem
klapnąłem odpustowo
pod zaśmieconym fiksem

wrzawa milkła
bazar karłał
twardziele suszyli piwne
mokre portki
połowice śliniły łakome paluchy
gdzieniegdzie osesek
bobrował między
wotnymi trapami

poczucie było
zmysłowo fikuśne
wszak podniebienie było
aczkami wesołe
a zęby nie rypały
myśli kosmate
wyjątkowo przejrzyście świerzbiły
pytania nijakie
serca nie targały
nie szczypały komary

i w chwili
gdy rozgrzeszona błogość zagrzewała
do cnotliwego lenistwa

zagrzmiał
zawsząd i jakby z nikąd
czule
mdlejący lament

*dla was się urodziłem
ale
żebyście tylko raz
ukrzyżowali*

Ojcowska rada

nie rozciągać siebie
nie zafajdać w czaszce
nie majtać skóro – stanem

...
żeby było apetycznie
więcej niż
na jedno

ojcowanie

JANUSZ

TARANIENKO

wycieczka

/z grochowiaka/

Myślałem że pora już wracać
/w krainę pleśni w ciemną mą ojczyznę/
Wycieczki nadszedł kres i basta
Lecz mówisz warto by za miastem
Przewietrzyć głowy Leczyć kaca

Chciałem koszule już poskładać
Wyrzucić śmieci Wezwać drwali
Ty mówisz że z zebranych malin
Pić sok będziemy w listopadach

W krainie pleśni W starym domu
Tam pajęczyną sień rozkwita
W kieliszku wódka niedopita
W talerzu śledź niedojezdzony
Niedopalona świeca dymi

Kopci znicz

od – do; pieśń świąteczna

*fizjologiczeski, psychologiczeski i filozoficzkeski
eto utopia i niczewo apriedielionnowo niet
/mój dziadek, piotr onisimowicz, po śmierci, przez sen,
do swojej córki – a mojej matki – eugenii
z osiatyńskich; na kilka lat przed moim urodzeniem/*

chrystus zmartwychwstał czas na alleluja
zmarł by odkupić – tako rzecz pismo –
odżył by dowieść że śmierć nie jest wieczna
jak po zimie wiosna vivat alleluja

vivat rezurekcja

vivat credo

vivat

jest uwierzone w zmarłych zmartwychwstanie
w żywot wieczny w amen
zapraszam ojczy do mnie na śniadanie
pokarm święcony biały obrus leży
drzewko ubrane świątecznie

vivat rezurekcja

prowadź więc ojczy z wieku i z urzędu
oraz z pierwszeństwa twojej śmierci zaszczyt
tobie przypada dom mój czeka miejsca
przy stole dosyć dla was jak i dla mnie

vivat alleluja

vivat

weź swoją żonę matkę moją przywiedź
choć chronologii przypada zaniechać
przecież rodzicom przychodzi pierwszeństwo

vivat rezurekcja

czas moją żonę na śniadanie prosić
sprowadź ją tato ze śmierci się wykpić

bo toczyć chcemy z filozofią dyskurs
jak to przed laty by w baranku zasiąść
przy stole przy świętach w opłatku

vivat rezurekcja

jadła nie zbraknie rodzinnym zwyczajem
jest biała wódka od białego rana
jest palma wbita w białego bałwana
i biały lukier maa-koow-caa
kto się nie spije tego we dwa kije
teścia z teściową święto nie ominie
choć spoglądają z groo-boow-caa
na ten boży dzień

chrystus zmartwychwstał chrystus się narodził
po to by wierzyć że czas się obraca
po zimie wiosna z jaja się wylęgnie
ze żłobka owoc a ze śmierci

nic
ość

vivat amen

vivat

pisanie z balkonu o parkowych* drzewach

*kto stracił wiarę w prosty świat
kto raz wybranych dróg nie zmienia
komu jest żal minionych lat
ten jest z mojego pokolenia*

/K. Łukaszewski/

wrócę tu
wrócę
jak pies wypędzony

* moja matka ostatnie 11 lat życia mieszkała przy ulicy Parkowej

choć drzewa parkowe dawno już wycięte
groby po karczach zasypane
a tam gdzie kwitły chaszczce i dzikie ogrody wspomnień
wrosło nowe osiedle

mimo to przyjdę
oddeptać starą ścieżkę nad stawem
napoić odgrzebane z pamięci zielska łąpuchów
przejsć uliczką której już od dawna
nie ma na planie miasta

wrócę tu wrócę
pod płot

aby na starych śmieciach zdechnąć

z głowy, czyli z *więcej wczoraj niż jutro* polemika

jeszcze tylko muszę napisać
o pejzażach
(bo o tych którzy odeszli już napisałem wcześniej)
o soplach lodu
zwisających z dachu stolarni ojca
roztapianych we dnie we wczesnym wiosennym słońcu
i na powrót zamarzających po zachodzie

jeszcze tylko muszę napisać
o pejzażach
(bo o tych którzy odeszli już napisałem wcześniej)
o podwórku pod powiekami pamięci
jakże oczywistym
aż rozczarowuje patrzenie z okna

jeszcze tylko muszę napisać
o pejzażach
(bo o tych którzy odeszli już napisałem wcześniej)
o zapachu maciejki

o śliwie i rabarbarze
o omszałych sztachetach
okalających ogród sąsiadów

a gdy już to zrobię
(bo o tych którzy odeszli już napisałem wcześniej)
calutki problem odległych lat
będę miał z głowy

wówczas
bez najmniejszego wysiłku
uniosę ją lekka
dumnie i wysoko
w jutro

sub specie

patrz na mnie patrz
obserwuj bacznie
 czy nałożyłem szalik
 którą nogą wstaję
 czy aby nie lewą bo tego nie wolno
patrz mi na ręce
 czym niczego nie ukrył w liniach papilarnych
patrz mi na słowa
 których nie wypowiedziałem
śledź moje obietnice
 których nie wyrzekłem
zarzuć mi złą wolę i skrytykuj intencje

przesłuchuj noc po nocy
wypytuj dokładnie z niebyłych zdarzeń
wypomnij wszystkie winy z ubiegłych lat
 żeby uzasadnić recydywę
obwiń
i osądź

jak zawsze zgodnie z prawdą
po twojemu

ja grzeszny
ciebie prosimy wysłuchaj nas panie
proszę o sprawiedliwy wyrok
śmierci

doskonałość

tak doskonale nie pasować
do nowomodnych manier słów
do fotokomórek samoczynnie otwieranych drzwi
i jadących trotuarów
do łąk zamienionych w handlowe centra
do bezprzewodowej transmisji danych

tak wybitnie się nie nadawać
do wszystkiego i do niczego
do klaskania gdy grają
do unżonego podstawiania ramienia
i ukłonów wyczekujących na uścisk dłoni ważnych

tak świetnie nie umieć się zachować
w balowych arlekinach smokingach i lakierkach
na oficjalnych bankietach i symfonicznych galach

tak genialnie nie potrafić się odnaleźć
wśród zadowolonych z siebie twarzy

tak dobrze sobie nie radzić
z posmarowaniem kromki chleba
z praniem skarpetek i pętelką na guzik
tak ogólnie z życiem

tak zupełnie być na bakier

.....
a tak generalnie?

– a tak generalnie to jest całkiem w porządku

psalm o łodziach

/z nowaka/

niewinna miłość
wybiegła z pagórka
dziewczęce słowa
utknęły w widoku
smak pocałunku
zawisł w krajobrazie
wtedy rozumiesz
zieloność koniczyn
wchodzisz więc szybko
nie bacząc na bramy
tu gdzie się między
drugimi mijamy

a wówczas dosyć
musnąć stopą kamień
tu kędy wzorem
żołnierz bóg bohater
aby przypomnieć
jak tamtymi czasy
wlekły się klechdy
przez sny przodków naszych

nie wiesz zaprawdę
co milczy głąz grobu
łatwo zapomnisz
wilgotności zamieć
odwrotną prawdę
powie ci świt liści
przekorny strumień

przywróci snu lament
starczy więc westchnąć
a niebo zawróci
tam gdzie przed chwilą
bies w tyglu los młócił

skoro gdy ujrzysz
odloty żurawi
nad sytnym polem
nad lustrami wody
skoro usłyszysz
stawiane niewody
wyleci kamień
z dna do źródeł rzeki
by się i nędzarz
i bogacz pokrzepił

zobaczysz wtedy
jak z lasu i z pełni
rozbrzmiewa pieśnią
kosiarz wiekuisty
i ramionami
obejmiesz jeziora
nie mówisz słowa
bo zważysz to pora
gdy sen twój życia
bogum twemu śni się

z tuwima /i innych/

bo pani patrzysz tak Wirklich realnie
choć można także z figlarnym á propos
gdy weryzm ująć nieco groteskialnie
i z fotografii wychodzi quiproquo

bo pani bierzesz tak wszystko na serio
nie per abstractio a per definitio
a życie z rzadka bywa buch-halterią
i nieraz konkret zamienia na nicość

bo pani czytasz tak wielce do-słownie
że stary norwid czułby się zawiedzion
można z francuska bardziej pół-wymownie
albo z angielska w absurdzkiem college'u

bo pani jesteś bardzo rzeczywiście
w bachu w fotelu w pejzażu i w wannie
i kiedy świece płoną uroczyste
bo pani jesteś rzeczywiście
dla mnie

HANNA E.

CYGAŃCZUK-PROKOPCZYK

Ballada o papierosie

Pan często tak jak nigdy po papieros sięgał
Muszę przyznać ja również paliłam nie mało
Patrzyłam na papieros jak w otwartą księgę
I jak w księdze szeroko otwartej czytałam

Opowiedzieć? Pan żartem czy na serio prosi?
A więc dobrze. Króciutko opowiem za chwilę
Będzie to jak Pan życzy wiersz o papierosie
A właściwie to tylko niedługi epilog

Z małego domku „giewont” z surowym górale
Wyjął Pan papierosa w białym garniturze
Potem Pan czarnowłosą zapałkę zapalił
Aż stanęła w płomiennej ognistej fryzurze

Nie jedna by kobieta wiele za to dała
Aby takie jak ona mieć płomienne włosy
Lecz wróćmy do zapałki która w ogniu stała
Aby Pan mógł jej dalszym pokierować losem

W ustach miał Pan papieros i ku niemu oto
Kierował Pan zapałkę jak płomienną falę
I zbliżył j ą do niego z ognistą pieśczętą
W której jedno i drugie miało się wypalić

Stało się jak Pan kazał Pan w ich życie wkroczył
Zapałka otuliła papieros płomieniem
A gdy Pan ja zagaślił żałobnym warkoczem
Się schyliła oddając ostatnie westchnienie

A papieros spoglądał rozpalonym okiem
I stapał się w popioły w jasną smużkę dymu
Popielniczka jak urna przyjmowała prochy
Mały szkielec zapałki giewonta drobiny

Patrzyłam i myślałam – Czy szczęśliwą była
Zapałka co dla tego giewonta spłonęła
Giewont czy był szczęśliwy że go podpałiła
Czy myśleli oboje o innych partnerach

Nie wiem i tego nie dowiem się nigdy
I NIK nie wie jak czyjeś losy się potoczą
Wiem jedynie że kolor dymu był błękitny
I że zapałka miała żałobne warkocze

Błękitne świerszcze

Kiedy już dłużej nie chcę
Być sama
Biegnę gdzie światło niebieskie
Pan w swym pokoju zapala

Błękitne świerszcze westchnień
Spłoszone odlecą w ciemność
I milczeć będą że jestem
Nad Panem Pan nade mną

Niebieskie liżą płomienie
Sufit i nagie ściany
W błękitnej tęsknocie dwa cienie
I sufit rozkołysany

Lampa błękitna pełnię
Ku samym wargom nam schyla
To usta Pana czy wino
Czy chwila

Smukłej e ranek w ramionach
Błękitnym deszczem
Usta ustami spalone
Odszkodzą od siebie jak świerszcze

Liście spadające

Wiatr rozwał gałęzie i gnie na kształt serc
Gałęzie za wiatrem nie przestają biec
Zostań jeszcze chwilę zaraz dam ci płaszcz
Biegłabym za tobą ale miły patrz

Liście spadające są jak śmiech i płacz
Pieściło je słońce – Ach! papieros zgaś!
Bo spalisz ostatni jeszcze żywy liść
Co w kształcie serc naszych przyszedł do nas dziś

Liście spadające są jak szept i krzyk
Kochało je słońce gdy nie kochał nikt
Ucichły kolorem tak jak gaśnie świt
Szeleszczącym szeptem modlą się do mgły

Szeleszczącym szeptem przylgnęły do stóp
Jak serca strącone nie wzniosą się znów
Choć w słońce wpatrzone w promienisty kurz
Chmurzą się rozwiane w chłód jesiennych dróg

Wiatr strąca gałęzie na jesienny stos
Szarpie i gdzieś pędzi a jest ich ze sto
Gałęzie za wiatrem lecz zdołał im zbiec
I znów łamie drzewa na kształt ludzkich serc

Zabrodzie I

Brzoźki w białych płomieniach
Przeciągły płacz gałęzi
Kamienie w kamiennym uśpieniu
Na skamieniałej uwięzi

Dęby w potrójnym szumie
I szeleszczące trawy
Na których Ojciec kiedyś
Swoją młody ślad zostawił

Pachnący oddech malin
Budzące się kasztany
Wierzby szumiące szpakami
Ukryły krwawe ramię

Skonały dumne leszczyny
Z rąk obcych potwornych wrogich
Akacje czy się broniły?
Czy się broniły głogi?

Już nie ma nawet płaczu
Umilkła zorana ziemia
I tylko pamięć znaczy
Te miejsca których już nie ma

Modrzewie padły na straży
Zdawało się nam wiecznej
Pokrzywa która parzy
Przetrwała ostatecznie

Jak pamięć

Zabrodzie II

Te bzy w pachnącej powłoce
Liliowo-białych poranków
I sosny ściemniałe jak noce
Tętniące sercami ptaków

Jabłonie i akacje
Z kwiatami pełnymi miodu
I psów serdeczne szczekanie
Od wschodu do zachodu

Musiałeś wszystko opuścić
Łzy matki i ojca miłość
I pierś swą młodą nastawić
I spocząć w obcej mogile

Pamięć po bliskich zostaje
Radosna lub bólu pełna
Spisana na płaczu ścianie
Bo pamięć jest nieśmiertelna

I przeszłość jest taka wieczna
Choć serc kochanych już nie ma
Serca są w ziemi bezpieczne
A ziemia – wieczna jest ziemia

Zabrodzie III

Pamięci trzech dębów

Tam w zaorany polu
Nieznaną mi ręką człowieka
Jak niby dąb ostatni
Na topór swój będę czekać

Wóz rozpaczy

Wóz odjeżdżał Za kołami biegłam z krzykiem
Do stóp małych jak do krzyża łązy przybite
Jak bezradne czteroletnie są ramiona
W krzyż rozłąki z objęć Matki rozrzucone

Tylko wierzby stały cicho na uboczu
Wylałałam razem z nimi resztki oczu
Wylałałam moje serce do ostatka
Gdy w czas wojny odjeżdżała Moja Matka

Wóz rozpaczy toczył koła jak łązy ciężkie
Czy ktoś widział jak pękało Matki serce
Nikt nie wspomniał jakby nigdy Jej nie było
Ale była w moim sercu Moja Mama

Moja Rozpacz Moja Miłość

Jeszcze

Jeszcze czuwa nad nami
Patron miłości Walenty
Dlatego śnieg pod stopami
I ogród jest w czułość zaklęty

Jeszcze dziś barwna choinka
Gwiazdę jak warkocz rozplata
I pachnie tak jakby weszła
Zielenią całego świata

Jeszcze nie przyszła rozłąka
Więc zieloność tę zmiecie
Będziemy w wierzbowych pąkach
Śnić o gorącym lecie

JÓZEFA

DROZDOWSKA

Kuliki*

Stefanowi

Maj dopiero się wykluł
z zimna
jeszcze pasma chłódów
zalegają Twoją dolinę
Biegnę nad brzeg Biebrzy
niespokojna
by nie naruszyć tych delikatności
by nie zdeptać marzeń
Na niebie koloru dziewczęcej sukienki
co jakiś czas pokazuje się
płochliwa bura plama kulika
Marzenia – kuliki pod błękitem
nieba które na chwilę los mi podarował
Już jutro tylko echo zawoła
„kulik – kulik”
i nikt mu nie odpowie

* kuliki – niezbyt licznie występujące ptaki terenów bagiennych

Narew pod Łomżą

Zbiegam twymi zboczami
wiele lat
potknąć już nie liczę
wonią macierzanki okadzone dni
niczym wojsko w rynsztunku
coraz ściślej okalają
rozlewiska twojej wody i mych łez

Zbiegam twymi zboczami
zapatrzona wprost
w twą mroczność i w swą ciemność
w twą przejrzystość i resztki swej jasności

Zbiegam twymi zboczami
mając w uszach kłaskania sandałów
o kamienne schody
i tę Woziwodzką i tę Senatorską
i za sobą niczym skrzydła brązowego anioła
kapucyński klasztor
z pacierzami zdejmującymi
gorącymi ustami
każdą z ran Jezusa – twoje i swoje rany

Potknięcia i pacierze
zbiegają ze mną
czern i jasność zboczami twymi
daleko aż po rozlewiska – gdzie pod Piątnicą
pasą się nieświadome czasu krowy

Zbiegam – tylko w uszach sandały
kłaskają o kamienne schody
zbiegam – słońce na Woziwodzkiej i Senatorskiej
bledsze już o wiek
a wody twojej tyle – bym mogła się przejrzeć
łez mych wystarczy – by obmyć
każdą z ran

* * *

Kotce Matyldzie

Oczy mojego kota jesiennieją
Coraz więcej w nich znaków zapytania
Coraz szybciej zegar przesuwa wskazówki
I mgły szare gdzieś znikąd obsiadają parapet
Jeszcze nie wygasły złote południa lata
Ale zmierzcha w nich coraz częściej
Oswajam smutek pukający o szyby
Nasycam się fioletem i brązami
Kiedy tak jesiennieją cała
Kot mój mrugnięciem oczu
Niczym ręką kropką zamyka zdanie

Przedwieczność

Marzenie Kowalskiej

Cisza półbłogiego poranka
wchodzi wszystkimi szparami
w każdy z zakamarków
duszy i rzek
Netta niczym siwy rumak
zastygły na czas popasu
i Limmat takież na mojej
fotografii złowionej
w cugle aparatu
i takież Styks
i takież Leta
Za mało we mnie ciszy
boję się więc wieczności
okiełznanej siwej
o zamglonym oku

jak przeżyć w niej chwilę
z pełną niespokojną duszą

Słuchając kapeli dziecięcej

pamięci Tadeusza Makowskiego

Kogucik zapiał. Trąbki zaśpiewały.
Po bębenkach biegnie tra ta ta!
Kapeli lepszej nie masz. Sztacheta
jeszcze dryndnie. Już zespół będzie cały.
Tańcować aż się chce. Kot czarny
tylko czeka, przeciąga się i zerka,
by w tany puścić się. Ot i za sprawą
grajków małych świat poweselał cały.
Wszystko muzyką odtąd jest.

Suwałki-Augustów, marzec 2004 r.

Spotkanie

p. Grażynie Grajewskiej

Szarobrązowe plamki saren
pierzchły przed nami
w świeżowiosenny las
w przepoczwarzające się zimy
szarozielone łąki nad Turówką
Pierzchły wraz ze słowami
o czymś mniej ważnym
wypowiedzianymi w amarantowym
przedzmięzchu
Pierzchły wraz z chwilą
– odnajdziemy ją już wnet w wieczności

Będzie się pała na sutej rozmowie
i będą tam sarny o płowiejącym brązie
Paść się będą nad Turówką
rozlewiskami ratującą z niepamięci
ślady naszego dzieciństwa
I księżyc niczym rogalik
co wymknął się niechący z rączki dziewczynki
potoczy się po nieskończonościach
A żadna z jego kruszynek nie zginie
żadne z naszych słów nie przeminie
i sarny zastaniemy te same
nad tą samą rzeką
W tym samym zadziwimy się przedzmierzchu

Augustów, 4.05.2003 r.

W Konstancji

Towarzyszom podróży

Daleka precyzji rzemiosła
obca w mowie i zwyczajach
pozostawiona dla rozpoznania
w miejscu tożsamym dla miasta
pod rzemieślniczą kolumną
zziębnięta w sączącym się powoli deszczu
ujrzałam się w jednej minucie zewnątrz i wewnątrz
melodii chodzącego po rynku katarzyniarza
Gołębie dziobały z moich rąk strach i obawy
których nie zdołało zebrać swoim uśmiechem
mijające mnie dziecko z psem podobnym memu
Wyobrażenia rzemieślniczych profesji
naśmiewały się i coraz ze mnie
a deszcz nie przestawał, czekania nie było końca
I nagle wyrwałam się z siebie

mój strach szył buty, toczył piwo, piekł chleb
papudze rzucał monety
Czekałam już w mieście tożsamym
ze mną a miękkość platanów
nie drżała pod moją barbarzyńską dłonią
i deszcz zdał mi się chwalebny
na ten czas chwilą
jego ziąb przypominał miejsca
z których wywędrowałam
i kropla po kropli
ocalał je pośród
dzisiaj

Konstancja, 2.04.2003 r.

W lustrze Dzierzbi

W lustrze Dzierzbi dziewczyna poprawia kapelusz
Nie pamięta już jej woda, nie uśmiecha się do niej
Ani dereń, ani trzmielina nie potrafią jej sobie przypomnieć
Och dziewczyno, Ryfko moja, och dziewczyno!
Tylko olcha czarna, stara olcha coś jak zza mgły przypomina
Czy to Matka Boska franciszkańska tuli dziecko zapłakane?
Czy Żydówka rozstrzelana w kapeluszu najmodniejszym,
jaki miała
Dziecko i sny swoje rzece darowała?
Nie pamięta już jej woda, popłynęło wszystko z żalem
Tylko olcha czarna, kiedy wiatr gałęzie jej załamię
Tamtej ręce przypomina rozpostarte nad dzieciną
I już nie wie czy to Ryfka, której ojciec,
kapelusznik w mieście pierwszy
Czy Matka Boska franciszkańska tuli dziecko
do krwawiącej piersi?
Dzierzbio, rzeko, strugo piękna może lepiej
tamtych czasów nie pamiętaj!
Niech wiatr, słońce, kwiaty w twoich wodach

przeglądają się ochoczo
Kapeluszy nie oglądaj, zamknij na ten widok wodne swoje oczy

wrzesień 2004 roku

* * *

Kiedy kaflowy piec nie dopowiadał jeszcze świata,
zaczynał go dopiero, co wyłaniać z bezbrzeżnych
krajów alkierza. Nic mi nie było wiadome o mitach
i duchowych przestrzeniach. Oczy zwyczajnie syciłam
blaskiem a duszę ciepłem. W całopaleniu się szczap drewna
nie było niczego z przeznaczenia. Ogień przyciągał, przykuwał
wzrok. Bezboleśnie ogarniał, zlizywał jakby od niechcenia
drobne zranienia chwil, osuszał przypadkową łzę. Na skraju
kiełkujących dopiero, co tęsknot nieświadomie i niewinnie
rozniecał się żar. Najwyraźniej krzyczało coś we mnie.
Rodziło się coś, by za chwilę spopielić się i odrodzić
większym cierpieniem.

Namiętność jedna po drugiej mościły gniazda
w wychodzących z mroku kątach. Ileż pojawiło się pytań,
ileż niewiadomych trzeba było rozwiązać.
Mamo, dlaczego nie schwytałaś wtedy tego płomiennego ptaka!
Nie ubiegłaś niebios, by się więcej we mnie nie odradzał.
Nie zatrasnęłaś drzwiczek w kaflowym piecu!
Czemu tyle ognia
musiałam doświadczyć w tyglu dojrzewającego dopiero życia.

* * *

Złote oczy mojego kota
przecinkami brązu przetkane
niby skrawek jakiegoś gobelinu
niby metafora od słońca oderwana
W tej kresce dal nieprzebyta

sny które pierzchły i nie chcą powracać
Staję w niej załęczniona
i miłością niespodziewaną zażenowana
Co by było, a co nie będzie
śniedź pokryje łyżeczki
a dzwonienie o wrąbek kubeczka
to dodatek zbyt poufały

30.09.06, Augustów

HENRYK GAŁA

Poranek do rozglądania się po pamięci

(każdego trzydziestego pierwszego grudnia)

Jutro znowu dzień pierwszy, co bywa po ostatnim
Więc zrób poranek pamięci

Nie pochowanej po zapomnianych cmentarzach szuflad
po kieszeniach zetłanych ubrań i wytartych poręczach foteli

Pamięci
szukającej swojego imienia
w jakimś niezapamiętanym słowie dzieciństwa
i znajdowanym z zachwytem i przerażeniem aż do braku sensu

Pamięci
wysychającej jak ślina na ustach starości
ale odżywającej zawsze na młodych, chociaż obcych wargach

Pamięci
która nigdy nie będzie wszystka
ale szuka wszystkiego i znajduje siebie od czasu do czasu
(jak cieszy ten zwrot wzięty bezzwrotnie od sąsiadów)

Pamięci,
która wypełnia cię nagle idącego po schodach

najbardziej stromo pnących się płasko po ziemi,
wypełnia szczelnie, kiedy zimowe ognisko
posykując na śniegu, warczy jak nasłuchujący pies

A ty uspokojony, pełen siebie
sam otwierasz nad głową swoją czytelnię nieskończoności.

Prawa natury – Kiedys

Kiedys rzeczy były osobne
I były też osobno rzeczy
i reszta, przynajmniej w bajkach o co porządniejszych piekłach
(o niebach, u nas, nie mówiło się nic konkretnego, poza tym,
że jest większe
od wszystkich rzeczy razem wziętych, że będzie)

Kiedys było królestwo granic
I granice nie miały końca
Aż po którejś z ostatnich wojen (kiedy nawet martwe przedmioty
miały duszę na ramieniu) granice odwróciły się od siebie
i rozeszły, jak żołnierze, którzy nigdy nie wrócą do koszar
ani do domów, jak ludzka skóra, przepocona i sprana
rozchodzi się w rękach
Jak dekoracje, które same się wynoszą do diabła

Kiedys
Co to za słowo? Dźwięk jak przedwczorajsza mizéria
albo jak paproch wyciągany językiem z protezy
kiedys

po którym pamięć ześlizguje się bezpowrotnie.

Wiosna

– od rana

Zeszłoroczna sójka zagląda mi w oczy,
prosto z gałęzi gołego jeszcze drzewa
Zeszłoroczna, bo mniejsza niż będzie latem
ale patrzy ciekawie

Nie wiem czego chce
I czy cokolwiek...
Więc też patrzę na nią
jakbym siedział na sąsiednim drzewie

I to teraz
Jest
Najważniejsze
Jest tylko to

Odleciała nagle
Tak, że omal nie spadłem
choć siedzę solidnie przy oknie

Chyba to była sroka
Nie sójka
Nieznajoma
Nie poznałem.

Wiosna

– popołudnie

Zeszłoroczna znajoma poetka,
nie tylko od czasu do czasu (jak Przyboś zalecał),
ale najczęściej kobieta patrzy na mnie
przez stolik (zamawiając kawę zapalając papierosa)
Zeszłoroczna, bo nie tak już uderzająco
obecna we mnie

Nie wiem czy to ona
Ani czego może tu... czy cokolwiek,
więc patrzę na jej oczy przez nią
jakby nic nie miało być

I tak jest

Zerwała się
Nagle: Pan mnie nie poznał?!
Wyszła (zostawiając zapalki)

Nie poznałem

Jeszcze jedna nieznajoma.

Wiosna

– wieczorem

Zeszłoroczna zima odchodzi
Przez cały niejeden dzień,
jakby... aby nie zwracać na nią uwagi

Ale za ciemnym oknem
i tak wiem co ciemnieje
Nikogo nie ma (chyba, że popatrzę dzieckiem)

Szyba jak tęcząca guma balonika
Jak łuska lakieru odpadająca z paznokcia
Jak oko
które chce sprawdzić czy jesteś tam jeszcze

Jesteś?
Nie wiem gdzie
Nie pamiętam jak wyglądam
Od rana nie rozpoznałem ptaka z najbliższego drzewa
ani popołudniowej kobiety,

ale chcę rozpoznać siebie
w znikającym tłumie swojego okna

Widzę oko jedynie,
które się uśmiecha na swój widok
Wiosna!
Wiosna, chociaż nie poznaję.

IRENA
SŁOMIŃSKA

* * *

mgiełka otacza
płomień
dlaczego nie powiedziałaś
że jesień przesila się
w tobie

mgliste są teraz wieczory
wygładzają zmarszczki

zestarzało się
ciało
zblakły perspektywy
tylko duchowość
śpiewa

jak dawniej nieokreślona
jak dawniej otwarta

* * *

to takie ciepłe
rękawiczka na zimę
to takie dotykalne
śnieg

to takie zwyczajne
kształtowany umysł
a wiedza umknie
wnet

to takie
duchowe –
dziedzictwo

pokolenia zbierały je
ziarnko do ziarnka

to takie czułe
na balkonie
w śniegu
gołębi parka

* * *

gdy zimą przypominam tchnienie łąki
tajemnicę wzrostu i kwitnienia
tajemnicę barwy i szelestu
owadziach pogwarek na krawędzi dnia
słońce zapadające się za horyzont krwawą
smugą
daleką wstążkę rzeki

gdy zimą pochylam się nad obrazkami
wspomnień
wydaje się, że już czekać nie muszę
że świerszcz rozśpiewał moją duszę
na pięciolinii rumianku i mięty
że chłód nie sięga mego serca że zmarzlina
nie dotyka bezpośrednio i że sople
lodowe to nie pamięć łez
że kopuła chmur zawieszona nisko

nie spadnie na mnie w drodze
do nie zakończonej duchowości
że przed śmiercią odkryję złożoność
doznania

na zimę na lato

Dla Romea i Julii

ciszo rzeźbiona w kryształe
w lodowej powtórce zachwycenia
milkną nasze uśmiechy
tężją przywiązania
ciszo
rozdzwonisz się
w migotaniu słońca

tak wiem
cisza nie istnieje
bez dźwięku
zima bez wiosny
miłość bez rozgoryczenia

początek bez końca

a jednak ci co miłują
powołałi do życia
balkony
przetrwały stulecia

* * *

a mimo wszystko jesteś
jedność
popiół przeciwieństw wystygł w tobie

tak się realizuje sens
a może pamięć

i pamiętamy
pogubione koraliki
z jarzębiny

dosłowność stawy
marzenie światła

rodzinne zaklęcia
uśnij że mi
na krawędzi ziemi
cichutko

siwe włosy smutku
jak siwe włosy matki

i sprawiedliwość
ciutaną jak grosz
do grosza
cierpliwie

* * *

tęsknię
wiosno
do narodzin
do poczęcia

ledwie zachwycony
zawilec
wyjrzał
z trawy
ledwie zachwycone olchy
rozpulchniły pąki

czułam jak moja starość
rozpadła się na wietrze
jak
rozkwitła
do narodzin
ducha

* * *

wirujące słońca
van Gogha
ruchome zboża
van Gogha

ruchliwe cierpienie
wibrujący ból

nie słyszeć to zbyt piękne

odcięte ucho

* * *

wietrznico
czasem jest ciebie dużo
a czasem
zapominasz o najważniejszych
obowiązkach
zaczytałaś się
w świat
(tekst książki to tekst tego świata zapewne)
my ludzie tak zagłębiliśmy się
w kształtowanie prawd
że świat wydaje nam się ideą

pytasz
czy istnieje dotykalne dobro
tak
matka

ZOFIA

PŁASIEWICZ

Wizyta w Krasnogradzie

Snują się przezroczyście cienie
po zagubionych alejkach
starego parku.

Przestrzeń straconego czasu
zastygła w koronach drzew.

Jesiony, kasztany,
srebrne topole, bzy.

Wysoko, wysoko,
pomiędzy kwiatami kasztanowców
słysząc jeszcze śmiech i gwarne rozmowy
dawnych gości.

Między trawami i dmuchawcami
przemykają zwinnie kauki i ajtwary
– zadomowione tu na stałe
wbrew wiekom.

Chłonę świetlistość
I zapach i dźwięk.

Trele zięby,
czyste tony wilgi

radośnie skaczące po gamie.
Zofija, zofija...
pobrzmiwa do wtóru
głębokiego głosu kosa.
Słowik stroi swój nocny koncert.

Ptasia orkiestra,
brzęczenie sytych owadów,
ogromne liście litworowca,
gąszcz.

Jakie myśli beztroskie
Płynęły między drzewami?

Jakie zwątpienia, uniesienia, marzenia?

Nad zarośniętym stawem,
któremu wierzba pochylona
miłośnie szepce obietnice,
powielam gesty natarczywego
odganiania się od komarów.
Zakłęta w geście ciągłość.

... W wiekowym spokoju drzew zostawiam swój cień

Rubis d'Orient*

Patrzy na mnie ze ściany molleny
Bolesny, cierpiący i twardy wzrok.
Silny każdym kamieniem
Przebytej drogi,
Każdym trójramięm Kreusa.

* Rubis d'Orient – to nazwa rubinów pochodzenia azjatyckiego. Jedne z najdroższych kamieni na świecie. Ciemnoczerwone, nieco mętne, podobne do kropel krwi i ropy, zastygłej na brzegach ran. Kolor, używany do malowania ikon szkoły halickiej.

Goreje stłumioną purpurą ikona.

Razem z płomieniem świecy

Drży wierny głos:

Hospodyn pomyłuj...

– Mury bezpieczeństwa

Hospodyn pomyłuj...

– Zaklinanie świata

Hospodyn pomyłuj...

– Jak wtedy, kiedy babcia śpiewała nad kołyską...

„Tusi, Tusi.

Poszł bat'ko po grusi

A mate po dyniu

Prynesut detyniu”...

Przesuwane w rękach zakładki

liستowki

Odmierzają nadzieję na lepsze życie,

a może lepszą.... Śmierć.....?

Podmuch lodowatego powietrza porusza kolorową chustkę....

Odżywa babcina melodia.

Jenisej – sierpień 2005

Szyszka znaleziona

Nad brzegiem Jeniseju.

Zapach cedrowej żywicy.

Obmyte kamienie rozpełzłe po brzegu.

Zamknięta tajemnicą tajga

Na zboczach czerwonych gór.

I tylko zawodzenie orła

Krążącego nad głową

Zwiastuje tęsknotę.

Intymna przyjemność czytania

Listopad.

Poranną mgłę zdradliwie
Rozsuwają postacie idących ludzi.

Pośpiech tłumiony jeszcze
Ciepłym snu i nostalgią ciszy.

Stukotem obcasów na bruku
Przeganiam pamięć
Dymiącej filiżanki kawy.

Listopadowa rzeka przygotowuje się
na spotkanie z lodem.

Obok klaksony samochodów,
płynące światła reflektorów...

I tylko nieobecny mężczyzna na bulwarach
Powoli przewracający zmarzniętymi palcami
Kartki książki,
Zanurza się w metafizyce.

Rozmowa – 25.V.2006

Biały śnieg płynący z gruszy.
Żaglowce kołyszące się już tylko na promieniu słońca
wpadającego przez maleńkie okienko poddasza,
bukiet kwiatów Rene Groszanga na kominku.
Przestrzeń wypełniona słowami na powrót stwarza
16-letniego chłopca
biegnącego po bruku uliczek nie istniejącego Wilna.
Przywołuje strach, nienawiść, żal, śmierć.
I czasem... zaplątaną miłość, której już nie znajdzie
Na gruzach cementarzy.

* * *

Bóg zamieszkał w drewnianej kapliczce
Między starymi kobietami
Przygarbionymi do ziemi.
Między kurzem a promieniem słonecznym.
Między płotem, a przywiązany do niego
Wiejskim Burkiem –
najwierniejszym z wiernych.

Oddech rzeki...

Oddech rzeki
Skrapla się w początkach dnia.

Wilgotnym westchnieniem
Budzi nieskończoność.

Wieczne trwanie....

Toczy swe wody
Opowieść o tym
Co zamknięte w kamieniu.

Historie płynące
w kamiennych żyłach.

Wspomnienie dawnej pieszczoty
Rozchyla twardą skorupę
Kamiennego ciała.

Tęsknotę i niepokój
Mojego serca....
Zamyka Oddech Rzeki.

Tors

Profesorowi Andrzejowi Strumiłło – 18.11.2006

Z chaosu pogmatwanych linii
Wyłania się szlachetna bryła.
Wyływa jak wyspa z oceanu:
Nadzieja i siła.

Precyzyjnie naniesione kreski
Siłą woli, pragnieniem
Nieskończoności,
Rozedrganym niepokojem
I pewnością
Rodzą czas
Nieśmiertelny.

Potęga myśli wybranych,
Omija
Rzeczywistość
Chochłowych ludzi.
Ponad spojrzenia,
Ponad zdziwienia,
Niezrozumienia.

Siwa głowa pochylająca się nad
Stołem z przyborami do malowania
Przypomina samotność cieśniny
Między dwoma kontynentami.

Czarny pies przypada do nóg.
Cień czasu, biały krzyk światła.
Rodzi się człowiek ze skały.

Siła życia, siła tworzenia.

LEONARDA

SZUBZDA

* * *

co zrobisz z tą miłością
kiedy nagle cię zaskoczy

zaskomli jak kundel
otrze się o nogi
poliże ręce

co zrobisz z tą rozpaczą
kiedy przyjdzie nieproszona

zdławi krzyk nim narodzi się
wewnątrz ciebie

zamiast wątroby i żołądka
będziesz miał
kamień

miłość i rozpacz wciąż przychodzą
by w naszych sercach gniazda uwić
i spór odwieczny z sobą wiodą
czy nas rozpalić czy ostudzić

* * *

kamienista ziemia wokół nas
nawet tam gdzie lodowiec
nic nie pozostawił
zawsze można znaleźć
kawałek głazu
pasujący do dłoni

kto jest bez grzechu
rzuca pierwszy
kochamy być pierwszymi
winy maleją
uchwalamy bezprawia
na własny użytek
dekalog skamieniałych sumień

tam gdzie lodowiec
nic nie pozostawił
ze słów kamieni
ze skał uczynków
coraz wyższe moreny
obojętności

* * *

kiedyś mieliśmy niebo
miało ściany dach
stół pośrodku

przypinaliśmy skrzydła
unosily nas ponad chmury
jakie to było łatwe

nie wiem kiedy
rozsypało się niebo

nie wiem gdzie
pogubiliśmy skrzydła

po co skrzydła
gdy brakuje powietrza

* * *

przychodzimy
z nieznanych galaktyk
na Ziemi
która niby nasza
usiłujemy odnaleźć
w sobie siebie

z ledwie poznanymi nieznajomymi
jak swoje płodzimy obce dzieci
niezbadane tajemnice
genetyki

czasem oswoi nas
przydrożny kamień
rozpoznamy siebie
w nagrobnych płytach
mgnienia
bez szansy na trwanie

odchodzimy
zawsze nie w porę
żegnani
jak jesienne ptaki
zielenią powracamy
każdej wiosny
w przestworza łąk

WŁODZIMIERZ SAWCZUK

Rodziny dom

stoi
podobny do mojej młodości
... tej samej
jaką zostawiłem

dzisiaj przyjechałem
by ucałować próg na
którym ojciec
zostawił ślady

wieczór wspomnień
ciężkich jak łąza
gromnicznej świecy

zabolało.

A dzisiaj jadę

Ja
syn marnotrawny
nieczuły na litość,

(tak
w domowej księdze za obrazem
pająk wyczytał)
zostałem ten dom
jak drapaka na kij
aby inni zamiatali moje grzechy
– wyrwałem duszę światu
dziś jadę
by przeprosić bramę zardzewiałą
chlew
co złożył się do snu na niby
i korytko dębowe zesłane
– przegrałem z czasem.

xxx

W ramionach samotności
dojrzewają nasze lata
choć wiatr czasami
warkocz myśli splata

za nami już
słońca wiosenne ziewanie
za nami już
nasze bez troskie kochanie

przed nami
pola w zaciszu Słobódki
przed nami
lasy na kresach Kuzawy
przed nami
dzieci z gromadką wnuków
bo takie są losy
rodziny Sawczuków.

WOJCIECH ZAŁĘSKI

AKWARIUM

– Jakby w nim położyć „Kolucha” – odezwał się Cipak – to by mógł udawać królową Śnieżkę.

Parsknęliśmy śmiechem. Prawda, akwarium było tak duże, że dla „Kolucha”, który ostatecznym kurduplem wcale nie był, mogło robić za całkiem obszerną, trumnę.

Siedzieliśmy całą sitwą na murku dzielącym dwa podwórka... ruski Kolka, karzełek Koluch, grubas Cipak, Znajda, Ukrainiec Hryń, ja i patrzyli na wystawione przed dom Owizynów, akwarium. Nikt z nas takiego wielkiego nie widział. A kto spośród nas w ogóle widział akwarium? Chyba, że to z gabinetu biologii, gdzie za zieloną od glonów szybą łążyły dwa raki i szczeżuja? Ale i ono, w porównaniu z tym na podwórku, było maleńkie.

– To prawda, że twój stary przywiózł je od Szwabów? – Spytał Kolkę Cipak.

– Prawda. Wieźli je ruskim samochodem wojskowym. Stało w piwnicy, aż kupił je Owizyn dla chorego na płuca syna „Cycka”?

– To twój stary taki ważny, że ruskie go wożą? – Spytał złośliwie Cipak.

– Bo on też ruski, tylko z Polką ożeniony. – Wyjaśnił wszystko wiedzący Koluch.

– Ruski?... – Obruszył się Kolka – Musem tatkę wzięli do Krajowej Armii. A jak wyszło, że Polak, to go odesłali do Polskiego Wojska.

– Tere fere kuku...i zaczął robić w milicji?

Kolka zignorował zaczepkę Kolucha i opowiadał jak to było

z akwariem. Stary był wtedy jeszcze w Armii Czerwonej. Stali w Elblągu i jak to na wojnie, szukali czegoś do żarcia po opuszczonych domach... Zaszli do jednego mieszkania, do drugiego... a tam nic. Już przed nimi inni byli w spiżarni i czego nie zjedli to porozbijali. Wszędzie pełno szkła, kuchnia zasypana mąką, a na ścianie napis zrobiony marmoladą?... **MIN NIET!**

O dziwo!... w stołowym pokoju stało sobie, na pomocniku kredensa, nie rozbite, duże akwarium a w nim beczelnie pływały żółto ceglaste rybki. Obok leżała spora tytka z szarego papieru z pokarmem dla rybek. Na torebce ktoś kopiał ołówkiem, po rosyjsku, napisał: **RUZKI CZŁOWEK RYBA NADA KUSZAC.**

Co miało zapewne znaczyć.. *człowieku rosyjski miej Boga w sercu i nakarm rybki.* Niemcy naród o ustalonych zasadach. Nawet po tym co robili na wschodzie nie utracili wiary w logikę bycia człowiekiem. Tylko, że tym razem człowieczeństwa wymagali od tych których tych cech odmawiali.

Razem z ojcem Kolki mieszkanie plądrował Gruzin i Abchaz. Abchaz nie lubił Gruzina i oddał by swój przydział machorki każdemu kto by mu dokuczył. Teraz głośno czytał co pisało na tytce: – *Ruski człowiek ryba nada kuszac.* Pomyślał... chwilę obracał papierową torebkę w palcach, patrzył na kolorowe ryby i gadał do siebie:

– *Nada kuszt'? Czto nada kuszt'? Jobany w rot Giermaniec! Takoj ryby i Gruzin kuszast' ni budzie. Tffffu!* – Splunął do akwariem.

Ryby podpłynęły do śliny i zaczęły ją skubać. Rozbawiło to Abchaza. Pluł raz po raz do akwariem, trząsał się ze śmiechu i łapiąc za podrygujący brzuch... wołał

– *Kak Gruzin. Pluj jemu w rozu a on gawarit spasibo...*

Gruzin jakiś czas stał za plecami Abchaza i słuchał monologu. Po ostatnich słowach powalił go na kanapę, lewą dłonią zgarnął wargę, wąsy, nos i zadzierając brodę do góry, błysnął wyciągniętym spod bluzy kindzątem... jeszcze ułamek sekundy i Abchaz przeniesie się do bajkowych ogrodów Allacha. Szczęściem w tym ułamku sekundy do pokoju wszedł ojciec Kolki... chwycił Gruzina za rękaw bluzy, pod nóż wsunął lufę pepeszki i wrzasnął:

– *Stoj! Swołocz! Tabacznaja pyl! Wooooon ad siuda!*

Gruzin puścił twarz Abchaza, zlął z niego, schował nóż pod bluzę i lekkim podskokiem siadł na parapecie okna.

W trzy dni później niemiecki snajper postrzelił Abchaza. Konał

na rękach Gruzina, a ten płakał jakby mu umierał rodzony brat.

Teraz Gruzin wychylał się z okna i wołał coś po gruzińsku. Ktoś mu z dołu odrzyknął. Gruzin złapał doniczkę z wędzącym kwiatkiem, cisnął w dół i zeskoczył z parapetu. Z zewnątrz huknął strzał. Brzęk sypiącej się na podłogę szyby nie przstraszył Abchaza i Gruzina... ostrożnie wyglądali za parapet i rechotali.

Tymczasem ojciec Kolki zajął się zawartością akwarium. Przez szydełkową serwetkę wylał wodę i z tak zaimprovizowanej sieci wybrał trzepoczące się rybki. Było ich jedenaście. Jedenaście placzków wielkości łyżki stołowej... może nawet nieco większe.

Oskrobał je w kuchni, sprawnie wypatroszył, z kilku leżących w węglarce polan rozpałił pod płytą ogień. Uznał, że opału nie starczy. Przyniósł z pokoju dwa krzesła, obcasem rozdzielił je na małe części i ułożył w węglarce.

Poszukując oleju przejrzał wszystkie szafki, półki w kredensie i spizarnce. W metalowej puszcze z namalowanym na wieczku mu-rzynem zbrojnym w dzidę, znalazł spory zwitek niemieckich banknotów. Powachlował się nimi i wepchnął do ognia.

Wreszcie w mieszkaniu obok, na dnie słoika, trafił na resztkę smalcu. Powąchał... – może być. Ale mąki, poza tą wymieszaną ze szkłem na podłodze w kuchni, nigdzie nie było. Przypomniał sobie szarą tytkę z pokarm dla rybek podobnym do tartej bułki. – Może być. – Wysypał na płaski talerz, obwąchał. Cuchnęło rybą. – *At... wsio eto ryba.*

Rozpałił pod płytą ogień i ułożył ryby na patelni. Zapach roz-płynął się po opustoszałym domu. Do kuchni wpadli Abchaz z Gru-zinem i stanęli jak wryci.. Ojciec Kolki smażył żarcie. Rzucili się w głąb mieszkania zamykać okna i drzwi... za chwilę zwali się tu cały pułk!

Ryby usmażone na rumiano w panierce z dafni zjedli ze sma-kiem. Co prawda, głodu nie zaspokoili, ale za to odbijało się im ry-bią karmą przez kilka następnych dni. Ile razy któryś z nich czknął, ojciec Kolki mówił – *Łoj kak wkusno.*

Na kwaterze dziwiło to wszystkich jako, że odbija się tylko sy-temu. Politruk zaczął coś węszyć. Wzywał ich kolejno do siebie i kazał wyjawić gdzie zadekowali żarcie, które jak widzi codziennie po cichu podżerają? A żarcie, tak jak i oni jest własnością Armii! Za zawłaszczenie mienia Armii... *razstrie!* W najlepszym przypadku *karnyj batalion.* Gdy ojciec Kolki delikatnie zwrócił uwagę politru-kowi, że już w takim batalionie są, politruk zrobił się czerwony na

gębie i jak granat eksplodował takim stekiem przekleństw, że choć były po rosyjsku i w ijdysz, ojciec Kolki wszystkie intencyjnie pojął. Stał i słuchał w niemym podziwieniu.

Szcześnie przyszedł rozkaz wymarszu i kolejne spotkanie z politrukami odbyło się w warunkach frontowych zapewniających równowagę sił, co politrukowi nie wyszło na dobre. Ale o tym ojciec Kolki nie lubił mówić... chyba, że po bardzo dużej wódce. Inne rzeczy, równie niewiarygodne, ojciec Kolki opowiadał z dużym pietyzmem dla szczegółu, co przykuwało uwagę słuchaczy, jednak na pytanie... jakim cudem akwarium przetrwało przemarsze kolejnych wojskowych oddziałów nie umiał odpowiedzieć?

Po jakiś czas, gdy przynależność armijna i narodowa ojca Kolki uległa zmianie, wracając z frontu miał okazję zajrzeć do Elbląga i owego mieszkania... akwarium wciąż stało na stole tak jak je pozostawił..

Zapadłe milczenie przerwał Cipak.

– Gdyby nalać wody i wsadzić tam Kolucha, to by go można sprzedać za karpia...

Nikt się z żartu Cipaka nie zaśmiał i tylko Znajda zaczął kombinować:

– Gdyby wieczorem napaść wody i wrzucić z setkę prawdziwych koluchów... to by się rano Owizyny zdziwiły...

Wszyscyśmy na niego popatrzyli z uznaniem... ale zaraz Cipak posiał ziarno wątpliwości.

– Durny? Wiele wody trzeba by się natachać? Jakże ze sto wiadra.

– Albo i lepiej. – Dodał Kolka.

– Iiiiiiiii, zaraz sto wiader. Wiadro ma jakie dziesięć litry? A akwarium? Żeby pozamieniać na słoiki... Cztery w górę, pięć na grubość, to cztery razy pięć będzie dwadzieścia. I na długość będzie jakie dziesięć. To będzie dwieście litry. Dołożyć to co idzie na okrągłe, to będzie jakie trzysta litry.

– Trzydzieści wiader. Jest nas sześciu... To wychodzi po pięć na łeb!

– Po sześć. Bo do noszenia jest nas pięciu. Koluch nie będzie z wiadrami latał... bo będą mu się po ziemi ciągały. – Wyjaśnił Znajda.

– No i bezemnie – zakończył sprawę Cipak – Ktoś musi koluchów nałapać. Nie?

Jak pomyśleli tak i zrobili. W czasie noszenia wody Hryń przyniósł z altanki w ogrodzie gumowy szlauch... podłączyliśmy go do kranu i elegancko, po cichu bez latania z wiadrami, akwarium same napełniło się po brzegi. Za to cwaniak Cipak wyszedł na dumnia. Pół dnia siedział przy śmierdzącym ścieku miejskim i łowił ciemniki. Niezłe się nawet wkurzył jak wrócił z rybami i zobaczył, że akwarium samo się napełnia.

Nazajutrz była niedziela, a my już od rana wisieliśmy za murem dzielącym podwórko czekając na wyreżyserowany przez nas spektakl. Zapowiadała się niezła szopka. O siódmej wyszła matka Cycka... inaczej Józka, syna Owizynów, co wcale nie dawno, zmarł na płuca. Józka nikt z nas nie oglądał, bo szkodziło mu słońce i powietrze. Był ciągle pod uważnym okiem matki... znaczy pod cyckiem.. mamini cycek, krótko mówiąc – Cycek. Po śmierci, nie wiedzieć z jakiego powodu, zdechły w akwarium wszystkie rybki i Owizyny wystawiły je na podwórko.

Wiec kiedy matka Cycka zobaczyła akwarium pełne wody i setkę igrających w niej ciemników, upadła na kolana i zaczęła płakać, całować akwarium a potem głośno do niego modlić. Tu za płótem nie można było dobrze usłyszeć co mówiły poruszające się usta. Dobiegały tylko fragmenty – Cud... cud... wybac mi Panie... wybac Józiu swojej matce...

Nasze łajdackie serca stanęły w gardłach jak kęsy niedojrzałej gruszki i rosły. Patrzyłem na Cipaka i widziałem jak jemu przestraszone oczy wylazą spod czarnych brwi. Byliśmy solidnie wypłoszeni, wiedzieliśmy, że zrobiliśmy coś wyjątkowo paskudnego. Na podwórko wyszedł, stary Owizyn. Matka Cycka podniosła się z kolan i coś mu tłumaczyła co chwila wskazując dłonią cholerne akwarium. Owizyn zaś wolno, uważnie lustrował wzrokiem teren. Zastygliśmy za płótem w krzakach bzów. Tamten pochylił się i coś z ziemi podniósł. Była to rozepchana końcówka szlauchu. Nie trzymała się kranu, więc Hryń odciął scyzorykiem zużyłą część i zostawił przy akwarium.

Dureń. Teraz Owizyn pójdzie do starego Hrynia, bo tylko oni w okolicy mają szlauch. Znajdą nas. Żeby winę rozwodnić i rozłożyć na więcej tyłków mały Hryń wszystkich wspie. A wieczorna wyśokość wypłat zależała od tego czyi starzy surowiej ocenią moralną stronę stworzonej przez nas sytuacji. W końcu nic żeśmy nie pobili, nie zniszczyli... ale wiedzieliśmy, że rżnięcie się nam wszystkim sprawiedliwie należy.

– Ja kiedyś – pochwalił się Kolka – włożyłem w portki raketkę od ping-ponga. Nawet się matka nie skapowała. Tylko szedł od tego straszny hałas.

– Bujasz. – Z niedowierzaniem powiedział Koluch. – Stara lała po desce i nie skapowała się? Musi przygłucha.

– Sięgam Bogu! Tak była wkurzona. A ja tak wrzeszczałem, że się sąsiedzi zlecieli.

– Eeeee... bujasz. Twoja stara tak cię często łostoczy, że prędzej sąsiedzi przyjdą zobaczyć czemu wieczorem u was cicho.– Zakpił Cipak.

– Ja mam w chlewku stary sweter i jak dwie warstwy włożę w portki to prawie nic nie czuć. – Pochwalił się Koluch.

– A w co tam takiego kurdupła łać... w takie pięć minut? Ja to się dopiero mam.– Pożalił się Cipak. – Stary daje mnie wypłatę kozią nóżką na goły zadek.

– To się zesraj. – Poradził Znajda. – Jak raz popuściłem, to do dziś mam spokój. Tylko matka złapie za pasek... ojciec mówi: – Zosia... zostaw zasrańca, bo on to śmierdząca sprawa.

Ale na skargę nikt nie przyszedł. I fakt, że nie było garbowania naszych zadków nie był formą rozgrzeszenia, nasze sumienia obciążył widok matki Cycka modlącej się do akwarium, która jakoś tak po miesiącu, zmarła.

Po pogrzebie żony Owizyn gdzieś się z naszej ulicy wyprowadził. Czasem spotykaliśmy go w mieście, ale nas nie zauważał i nie odpowiadał na nasze pełne pokory – dzień dobry.

Akwarium stało do jesieni, potem rozstrzelali je z procy chłopcy z drugiego końca ulicy Kościuszki. A ci co zamieszkali w miejsce Owizynów z metalowej ramy zrobili klatkę dla królików.

BANERKA

Podkówka jak podkówka... zwykła, żelazna. Nikt jej nie ciskał za siebie na szczęście, bo była przybita do Kostkowego buta i trzymała się tam tylko na jednym gwoździu. Kostek oglądał ją z niechęcią, w końcu oderwał i cisnął za okno. Nikt w klasie nie przypuszczał, że takie nic, taki małe paskudztwo jest w stanie gwałtownie przyspieszyć nam dzieciństwo.

W latach pięćdziesiątych oberwana podkówka była normalnością. Każda matka oglądając wieczorem nasze kamasze, meldowała każdemu ojcu jej brak.

– Popatrz tato zaraz mu się zedra obcasy.

Każdy ojciec oglądał uważnie trzewik i mrużąc coś pod nosem, wyciągał spod łóżka skrzynkę z narzędziami, wyjmował z niej żeliwne kopyto, nadziewał but na żelazny jęzor, przybijał nową podkówkę i kwita.

Kostek nie miał ojca, co po wojnie nie było czymś szczególnym. Powodów pół sieroctwa było wiele: zginął na froncie, wyszedł z domu i nie wrócił, aresztowali Niemcy, aresztowali Rosjanie, aresztowało UB, trafił do łagru, trafił do obozu, trafił na minę, wyjechał na ziemię odzyskane czyli na zachód, zagrożony opuścił kraj, zwiął od uwiędłej miłości. Powodów dla których nie miał kto Kostkowi przybić podkówki do obcasy było wiele. W tym przypadku można mówić o wyjątkowym szczęściu, byli z matką tylko we dwoje, a w tych okolicznościach to było szczęście.

Mieliśmy z Cipakiem zwyczaj kopać puszkę po konserwie do szkoty, ukrywać ją w krzaku, a po lekcjach kopać z powrotem do domu. Tego dnia naszą unrowską banerkę dokopaliśmy do barana.

Szkoła mieściła się w ogromnym budynku na terenie poniemieckich koszar, po wojnie zasiedlonych przez naszą konną artylerię. Jedną stronę ulicy Orzeszkowej zajmowały stajnie. Konie z wypalonymi na zadach numerami żołnierze wyprowadzali rano i wiązali w boksach tuż za murem odgradzającym koszary od ulicy. Idąc ulicą pani Elizy słychać było dobiegające zza czerwonego muru rżenia, tapania i nieznośny smród końskiego moczu.

Mijając wylot ulicy Orzeszkowej do Kościuszki wkopywaliśmy naszą puszkę na teren koszar. Przy jednym bloku mieszkalnym ktoś ogrodził kawałek terenu siatką, za którą paś się dorodny baran, pułkowa maskotka albo tęsknota mieszkającego tam oficera. Tu odkładaliśmy na chwilę banerkę i zaczynaliśmy drażnić barana. Nie wiele było mu trzeba. Na nasze – beeeeeee, beeeeeee – zwierzak cofał się drobnymi kroczkami dla większego rozbiegu by zrywać się do błyskawicznego ataku. Myśmy hardo tkwili na swoim miejscu czekając kiedy dumny baran tryknie łbem w siatkę ogrodzenia. Odbijał się od niej, siadał na zadku i w bezgranicznym zdumieniu toczył baraním wzrokiem za oddalającymi się z rechetem prześladowcami i hałasującą na bruku banerką.

A że życie jest pełne niespodzianek nie wiedzieliśmy, że tego

dnia wszystko będzie inaczej. Gdy baran już ruszył do szarży stwierdziliśmy ze zgrozą, że zrolowana siatka leży obok a nasze pośladki uratować mogą jedynie chyże nogi. Galop istotnie był wspaniały. Nadludzkim wysiłkiem dopadliśmy drzwi szkoły i zanurkowali w głąb mrocznej klasy. Uratowani opadaliśmy dysząc ciężko na stare, wysłużone ławki.

Poniemieckie ławki miały specyficzną fakturę powstałą dzięki cierpliwemu działaniu kozików i cyrkli młodzieży kształconej w duchu pruskiej tężyzny i socjalistycznej równości. Więc mazurzy z Niemcami, Polacy i bosc Antki zza Buga żmudnie przez całe lata kancerowali je ołówkami, gwoździami, cyrklami i w ogóle czym kto miał pod ręką. Każdy ostro zakończony przedmiot nadawał się do wciskania miękkisza pomiędzy twarde, sosnowe słoje dzięki czemu ławy ławek przypominały zaorane jesienią pole.

Pośrodku ławek tkwiła jeszcze jedna zmora... kałamarze. Co jakiś czas rano nauczyciel napełniał je atramentem z wielkiej butli. Nigdy też nie wpadł na pomysł, by przed dopełnieniem obowiązku napełniania sprawdzić zawartość kałamarzy. A w środku było sporo niespodzianek i wszystkie kończyły się jakąś ohydą na starannie wykaligrafowanej stronie kajeta. Najgorsze były kawałki utopionej bibuły czepiające się stalówki, włosy i ciekawskie muchy. Taka, jeśli przeżyła kąpiel i udało się jej wyjść z pułapki kałamarza, zaraz pragnęła zażyć spaceru po napisanym w pocie czoła tekście. Wystarczyła chwila nieuwagi i skupienia się na tym co mówił nauczyciel.

Nigdy też nie udawało się dociec, czy mucha sama z siebie zbecześciła kajet... czy pomógł jej w tym siedzący obok kumpel.

Te pruskie ławki, jak i cała szkoła, śmierdziały niemiłosiernie. Twierdzenie, że historia jest bezwonna nie zasługuje nawet na uwagę. Mojemu pokoleniu socjalizm kojarzy się ze smrodem pyłochłonu którym cuchnęły korytarze szkół, koszar, sądów, urzędów bezpieczeństwa i instytucji państwowych. Potem przyszły lata w których pyłochłon stał się zmorą starszej, „postępowej” młodzieży rozpuszczając słoninę bergsztajgierów... podeszew bikiniarskich butów dziesięć razy dratwą szytych. Ale było to zmartwienie bikiniarzy i miód na dusze duchowych ich wrogów... zetempowców.

Tego dnia Kostek urwał wiszącą na ostatnim gwoździu podkówkę i cisnął przez okno na szkolne podwórko. Podkówka furknęła w locie, ale przed oknem wykonała skręt, minęła łukiem ką w którym stało się „nosem do pajaków”, przeleciała przed obli-

czem ojca polskich dzieci Bolesława Bieruta, tu nagle skręciła i wyrznęła w uniesioną groźnie brew Kostka syna ludu i „warszawskiego brukarza”, Konstantego Rokossowskiego. W szkole dźwięk tłuczonej szyby nie jest czymś nadzwyczajnym, ale zawsze po nim zapada cisza, którą w tym wypadku przerwał, pełen zgrozy, cichy pisk Wandzi Cybulko.

– Kostek pobił Kostka!

Ktoś Kostka poprawił na Koście i cały szkolny tłumek, cisnąc się do naszej klasy skandował:

– Kościa pobił Koście! Kościa pobił Koście!

Do klasy zaczęli zaglądać uczniowie i nauczyciele z górnych pięter. Ci ostatni, wyraźnie przepłoszeni, szybko zamykali drzwi. Nie ulekkł się tylko najmłodszy, od niedawna pracujący w naszej szkole, pedagog Rezun. Zajrzał, a twarz jego przybrała barwę czerwienią od krawata który nosił na zielonej koszuli.

– Milczeć! – Wrzasnął Rezun – Czego się cieszysz reakcyjna bando!? Że sprofanowano portret najlepszego z najlepszych? Kto to zrobił!?

Po co było pytać? W zapadłej ciszy stał blady, zgarbiony jak starzec szukający bezradnymi oczami w kimkolwiek wsparcia, Kostek. Daremnie oczy żebrały... żadna z rozbawionych twarzy nie wyrażała współczucia.

– Kto to zrobił? – Powtórzył pytanie Rezun.

Nie wiadomo kto pierwszy pokazał palcem Kostka i powiedział – On!

– On! On! On! On! – rozgdakali się wszyscy.

Po latach, każdy z nas będzie miał wrażenie, że stało się to z jego oskarżenia. Ale teraz przechodziliśmy obok Kostka z poczuciem wyższości. A on, coraz bardziej mały i samotny z chwili na chwilę zamykał się w sobie. Stał w środku jeża palców, a lzy przestępcy politycznego ciekły dwoma strumieniami po policzkach.

Kiedy w drzwiach klasy ponownie pojawił się młody nauczyciel w towarzystwie dyrektora i surowego z natury biologa „Minoga” zamarliśmy ze zgrozy.

– Sprawy mają się kiepsko, – syknął Cipak. – oby nie skończyło się to milicją.

Szkolna ekipa śledcza wysłuchała relacji Wandzi Cybulko i dyrektor zapytał „Minoga”:

– Co pan, panie kolego o tym sądzi? Co powinniśmy zrobić?

– Nic. Zawoła pan konserwatora Żemajltis, a niech wstawi szy-

bę, jako że to sprawa dla woźnego, a nie dla dyrektora.

– A co z nimi? – Spytał dyrektor półgłosem i ukradkiem, kciukiem wskazał na nas.

– Nic. Przecież to głupie szczeniaki. Nic nie było. Nic się nie stało.

– Jak to nic nie było towarzyszu? – Włączył się do rozmowy Rezun. – Jak to nic się nie stało? Popełniono polityczne przestępstwo, dywersję, znieważono wizerunek bohatera narodowego, urzędującego marszałka... a wy mówicie – nic nie było? Ja was od jakiegoś czasu obserwuję i wy zawsze jesteście po stronie reakcji.

– To wszystko należy rozpatrzyć w aspekcie wychowania młodego człowieka. – Dyrektor usiłował ratować sytuację. – Nadarza się świetna okazja żeby nimi wstrząsnąć do głębi, żeby uwierzyli nam a nie reakcyjnym szeptankom w domu nad talerzem zupy.

– Panie dyrektorze czy mogę iść do swoich zajęć? – Spytał „Minog”. – Ma pan w tej materii wyjątkowo kompetentną osobę.

– Uważacie, że to nie dla was zajęcie? Może i macie rację? Niech tym się zajmą ludzie do twego powołani. Wami też powinni się zająć.

– Co pan, panie kolego chce przez to powiedzieć? – Spytał gardłowym głosem dyrektor.

– Ja nic nie chcę mówić, ja tylko zrobiłem to co wy towarzyszu dyrektorze powinniście zrobić natychmiast... zameldowałem.

Pod nami ugięły się nogi. „Minog” wyszedł bez słowa, a dyrektor złapał młodego za rękaw koszuli i pociągnął na korytarz. Potem zajrzał do nas jeszcze raz i przez uchylone drzwi polecił. – Żeby mi nikt nogi na korytarz nie wystawił!

W krótkim czasie zdarzenia nabrały tempa, rozwarstwiając się na poszczególne nasze losy. Przyjechało sześciu po cywilu i jeden w czarnym, skórzanym płaszczu. Widocznie najstarszy, bo go wszyscy usłusznie słuchali.

– Tu siądą dzieci inteligencji, tu robotników, a tu chłopów. – Rozkazał nam wskazując ręką rządu ławek.

– A gdzie my mamy sobie siąść... aaaa? – Spytała Łabuciówna.

– A wy kto?

– My zza linii Kierzona.

– Gdzie twój ojciec robi?

– W sklejkach.

– To siadaj do robotników.

– Ale tata robi w biurze w sklejkach.

– A to won do nierobów! Do inteligencji!

Tymczasem z rządu robotniczego powstał Mirek Cipak, przeszedł przez klasę i przysiadł się do inteligencji

– A ty Miruś czego siadasz do inteligencji? Przecież twój tata pracuje w transporcie jako mechanik? – Zapytał ważny ubowiec.

– Mama mówi, że tatko to nierób. Nic nie robi tylko pije... to musi inteligent.

Kiedy już wszystkich usadzono wedle klasowego klucza, ten w skórzanym płaszczu polecił dyrektorowi puścić całą pozostałą młodzież do domu, a nas pojedynczo wołano do sąsiednich klas, gdzie jeden pytał, drugi pisał, a trzeci łał. Dzieci robotników łał pasem, chłopów kablem przedłużacza a inteligentów bykowcem. Trzy osoby bez lania i przesłuchania odesłano do domu.

Już pierwsi poproszeni na rozmowę tak się darli, że pozostali, zdani na własną wyobraźnię, dostawali gęsiej skórki i zaczęli pochlipywać. Byliśmy głodni, chciało się pić, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć słowa.

Pierwszy wrócił Cipak. Z twarzą umazaną krwią. Wyglądał okropnie. Ale nie było w tym nic straszego, wiedzieliśmy, że farba puszcza mu się z nosa na jego życzenie. Dzięki tej umiejętności udało mu się wziąć bykowcem tylko raz. Ledwie ubowiec przełożył go przez krzesło i przyłał, trysnęła z nosa czerwona fontanna. Po nim wrócił nie lubiany w klasie grubas Tul. Był silny prawie jak Cipak i łał nas kiedy mu na to przyszła ochota, zabierał drugie śniadania, znaczki pocztowe, guziki i stalki. Jego powrót zrobił na nas silne ale dobre wrażenie. Teraz do klasy wszedł nie pogromca a strzęp tamtego grubasa. Szedł wolno, na rozkraczonych szeroko nogach z mokrymi plamami szczechów na spodenkach i pończochach. Jednak satysfakcję mieliśmy krótką, tam nie było mocnych, ze strachu, nerwów i bólu zeszczął się każdy. Ale gruby był pierwszy, co w tym ponurym spektaklu na swój sposób było radosne. Kto wracając nie płakał, po jakimś czasie kładł głowę na zgięte przedramię i tylko podskakujące plecy świadczyły o jego pożegnaniu z dzieciństwem.

Każdy wchodząc do klasy z oprawcami, potężnym rykiem starał się wzbudzić litość. Niestety to tylko rozjuszało ubowca egzekutora i powodowało, że przykładał się do roboty solidniej. Bizunów dawał tyle ile uważał za stosowne. Najwięcej wziął Staszek syn węglarza. To nie było bicie, jego po prostu łajdak skatował.

Ojciec Staszka miał dwa belgijce... unrowskie perszerony, którymi rozwoził po mieście węgiel, a że lubił, podobnie jak jego sze-

ściu dorodnych synów, wypić i pobić w mieście, nazywano ich „rodzinką bandyckich węglarzy”. Z sześciu braci, za bójki, zawsze trzech siedziało w kryminalu.

Tym razem, gdy ubowiec w skórzanym płaszczu usłyszał nazwisko Staszka, zwrócił się do oprawcy.

– Temu dołoż w moim imieniu dziesięć za braciszka. – Tu pokazał koledze świeżą bliznę pod lewą skronią.

Nim egzekutor zdążył powalić chłopaka na krzesło, ten z całych sił rąbnął go kolanem w podbrzusze. Pas wypadł oprawcy z ręki, a on sam wił się na podłodze sycząc – zabiję sukinsyna! – Niestety, pisarz dopadł drzwi przed Staszkiem i udaremnił ucieczkę. Kopali go we dwójkę. Do nas przyniósł go ten w skórzanym płaszczu wlokąc za kołnierz jak stary koc. Dyrektor przyprowadził polonistkę aby się nim zajęła. Starsza kobieta pochyliła się nad chłopcem, potem uniosła głowę i odważnie powiedziała ze zgrozą:

– Czy w was jest jeszcze coś z człowieka?

Ten w skórzanym płaszczu wyszedł na korytarz i dla zasady zwymyślał oprawców. Ale nic to nie dało, następnemu tak wleli, że się sfajdał i jak wrócił do nas smród był tak obrzydliwy, że dorośli wyszli na korytarz.

Pytania zadawali proste: kto kazał Kostkowi pobić portret marszałka? Czy to prawda, że Juchniewicz, syn przedwojennego adwokata dał Kostkowi nowy piórnik z wyrzeźbioną głową górala i góralską ciupagą z szarotką, żeby ten dokonał haniebnego czynu? Paru nawet potwierdziło tą wersję, zwłaszcza gdy pytanie zadano tuż po laniu.

Fakt, że piórnik Kostkowski dał ojciec Juchniewicza wraz z kompletem szkolnego ubrania był wszystkim dobrze znany. Ale sprawa Juchniewiczów stała kiepsko i nie wiadomo, czym by się skończyła, gdyby nie „Rezun”, który do szkoły przyprowadził matkę Kostka. Kostkowska usiadła kamieniem pod gabinetem dyrektora i siedziała dotąd aż przyjął ją człowiek w skórzanym płaszczu.

W efekcie po Cipaku najmniej ucierpiał sprawca całej awantury. Matka Kostka była wzorowym przedstawicielem klasy robotniczej. Wyzyskiwana przez przedwojenną i powojenną burżuazję była biedna jak kościelna mysz. Przyjechali w 45 roku ze Staszkiem i małą walizeczką ze Stanisławowa. Tu w Ełku, na szczęście, nie mieli żadnej rodziny.

Prawda, miała małą maturę, co za sanacji uprawniało do zawarcia związku małżeńskiego z porucznikiem Kostkowskim, będąc jed-

nak kobietą skromną, wolała pracować popołudniami w szkole jako sprzątaczką

Człowiek w skórzanym płaszczu, po rozmowie z nią wezwał dyrektora i długo mu wymyślał. Potem wszedł do klasy, gdzie wszyscy siedzieli kątem na półdupkach i tak po prostu powiedział: – Musicie iść do domu.

Wtedy gdzieś zapodziała się nasza banerka i już nigdy nie kopaliśmy jej ani chodnikiem, ani środkiem ulicy. Bo czy ludzie dorośli mogą tak się bawić?

Kostkowskiej zakazano sprzątać gabinet Juchniewicza, a za parę miesięcy adwokat, wraz z rodziną, znikł z miasteczka i nikt nie dobiegał gdzie.

WSZYSCY RZUCALI KAMIENIE

Wszyscyśmy rzucali kamienie w kolorowe witraże okien neogotyckiej kirkchy koło parku. Z wybitych szkielek i skrawków szyb od szklarza robiliśmy kalejdoskopy... wspaniałe, kolorowe bramy do światów wyobraźni, do przeżywania abstrakcyjnego piękna.

Każdy kto rzucał kamienie, choć się do tego nie przyznawał, robił to w jakiejś skrywanej, rodzinnej intencji. Ja tłukłem je za wuja Tośka który prze Bug, Tatry, Węgry dotarł do „cioci Frani”, a przez Dunkierkę odwiedził „ciocię Anię” by zginąć na Saharze. Jak mówił wujek Władek: – chroniąc angielską d...ę. Z długiej listy rodzinnych pretensji do Niemców los wuja był najbardziej heroiczny, więc reprezentatywny.

Wszyscyśmy też powoli dorastali do dnia w którym Jasio „Kamyk”... „Kamyk” bo za pięć groszy połykał kamień... odczytał umieszczony nad portalem świątyni napis srebrną szwabachą na czarnym tle – **Christus**.

Słów było jeszcze kilka, ale „Kamyk” nie był w stanie ich rozszyfrować. Dla nas i to już wystarczyło aby odkryć straszną prawdę... był to ten sam Chrystus który w niedziele i święta spogląda na nas z krzyża w „małym kościele” Św. Wojciecha.

Po tym odkryciu, my świętokradcy, przestraszeni siedzieliśmy jak stado wróbli na pokrytych zielonym nalotem piaskowcowych blokach pozostałych z pomniku jakiegoś niemieckiego generała.

Siedzieliśmy pogrążeni w strachu marszczącym na karku skórę i w medytacji.

– To oni wierzą w tego samego Pana Boga co i my? – Przerwał ciszę Kolka – Jak to jest ten samy Bóg...

– Jaki ten samy, jaki ten samy? – Oburzył się Cipak – Ichni jest niemiecki.

– A co krzyżacy na płaszczach nosili? Krzyży... takie jak nasze. A oni byli Niemcy. – Dodał Koluch.

– Durny! Oni specjalnie malowali te krzyży na sobie żeby Polacy nie mogli w ich mieczami pruć. Ty by w krzyż uderzył?

– Co ty? Z byka spad? Żeby mnie ręka uschła? Mama mówiła, jak u nas te... no... te co krzyży rąbali... to dla ich potem ręce *zdubie-
li*.

– Jak ręce zdubieli?

– No sztywne jak dębowe polana porobili się. Znaczą zdubieli.– Wyjaśnił Kolka.

– Yyyy. Twoja matka buja.

– Nie buja, nie buja. U nas w Grajewie – poparł Kolkę przykładem Koluch.– jednemu... co na matkę rękę podnios i umarł... ręka z grobu po śmierci wystawała. A co ją odetną... to odrośnie.

– Tobie też matula mówiła? – Cipak machnął z rezygnacją ręką.

– Co? Zapomniał ty jak „Zielone Ucho” do krzyżyka strzelał?

– Oj durnie wy – rozłościł się Cipak i podjął przerwany wątek zawojowania Polaków – Niemcy wiedzieli, że my katolicy i jak do nas z krzyżem włazo, to im łatwo będzie Polskę zawojować.

– To może oni specjalnie robili takie nibykościół? – Pokazał Koluch na kirchę.

– Jakie nibykościół? To tam jest nibybóg? To taki samy Dom Boży jak św. Wojciechu... głupku. Noooo... i komu durniu wybijałeś szyby?

Zapadła cisza pełna poczucia winy. Zrobiliśmy to cośmy zrobili i koniec. A pozostał problem jak z tego wybrnąć z honorem i choć trochę winę naszą pomniejszyć.

– O święty Jacku z pierogami – westchnął Kolka – i co teraz będzie?

– Będzie co ma być. A dla ciebie nic... bo ty kacap. – Uciął Cipak.– Ale my się z tego musimy spowiadać.

Zapadała znowu cisza, którą przerwał Koluch głośno rozważając.

– Jak to jest kościół taki samy jak nasz to i Bóg jest ten samy

a my bratku mamy nie tylko grzech... ale grzech śmiertelny.

– Jak grzech śmiertelny?

– No taki, że może jego tobie ksiądz dopiero na śmiertelnym łożu odjąć. A jak przy tym księdza nie ma... to kaplica... idziesz do piekła.

– Jak to tak, że ja mam grzech śmiertelny a kacap za to samo nie ma grzechu?

– Jak wlałem Ginterowi... – wtrącił się milczący dotąd Grzesiek „Znajdus”. Znajdus bo znaleźli go kolejarze w pustym wagonie bydlęcym po repatriantach ach. – Jak wlałem Ginterowi to niechcąc oberwałem dla jego z szyi medalik ze świętym Józefem. To znaczy, że on był też wierzący chociaż szwab.

– Durny ty... pewnie że wierzący. Bo on nie szwab a mazur. A mazury to Polacy co ich Niemcy zawojowali.

– To czego on Ginter?

– A czego ty Kolka?

– Ja nie Kolka tylko Mikołaj. Ojciec mnie Kola woła.

– Bo ojciec ruski. A jak ojciec ruski to i syn ruski. Ka pe wu? Kapujesz?

– Jaki ja ruski... Kolce po policzku potoczyły się grochy łez. Pacierz polski umiem.

Tu Kolka przeżegnał się po rusku i zaczął po polsku mówić ojczenasza.

– Ale ty Kowalenko a Ginter Wiszniewski. – Wyjaśnił Kolce sprawę do końca niedźwiedziowaty Cipak, Mirek Czepkowski.

– Za to ty Czepkowski!... – Wrzasnął wyprowadzony z równowagi Kolka. – Czepkowski! Cipkowski! Cipakowski! – Zerwał się z kamienia i uciekając krzyczał – Cipkowski! Cipowski!Cipak! Cipak! Cipak!

Zmartwieliśmy. Tego przezwiska Mirek bardzo nie lubił. Wiedzieliśmy o tym i Cipakiem nazywaliśmy go tylko w rozmowach pomiędzy sobą i to ściszoneg głosem. Ważył dwa razy tyle co każdy z nas i każdego biorąc za koszulę potrafił wycisnąć w górę jedną ręką.

Teraz poderwał się na nogi i ruszył w pogoń za Kolką. Ale że siła bystrości nie towarzyszy szybko zrezygnował z pościgu i zdyszany wrócił do nas sapiąc: – jak gnoja... jak gnoja dostanę w ręce to go... to go rozerwę jak zabę.

– Wsadź mu w d..... słomkę i nadymaj. – Poradził któryś.

– Ty Mirek silny chłop, ale z Kolko nie zadzieraj. – Poważnie

poradził Kamyk. – Wiesz dobrze gdzie jego ojciec robi. W zeszłą sobotę Stasiakowa powiedziała o nim czerwony bajstruk a w poniedziałek stary Stasiak już bzyczał na milicji.

– Ty Kamyk... a dlaczego ty Stasiaka pocztowce karmisz? – Zastanowił się podejrzliwie Znajda. – Ty zawsze chciałeś mieć takie gołębie. Może to nie Kolki stary języka sadził?

– Ty co? Z gruszki spad?

Naraz zrobiło się strasznie. Jeszcze może straszniej niż wtedy kiedy Kamyk odkrył, że kircha to też Dom Boży, czy też kiedy Jasio „Zielone Ucho” strzelił do krzyżyka na placu handlowym.

Codziennie cała sitwa zbierała się na boisku szkolnym handlowców. Było to miejsce spotkań chłopaków z rogu Kościuszki i Szopena. Każdy kto by próbował tam wejść i rządzić po swojemu brał baty... zwłaszcza ci znad rzeki i drugiego końca Kościuszki. Ale kiedy myśmy chcieli wykapać się w rzece powyżej ujścia ścieków miejskich, aby od nich nie dostać lanie w rewanżu, przekradaliśmy się ogródkami.

Tego dnia Jasio przyniósł na plac samopał starszego brata odłany solidnie z aluminiowego garnka. Dał każdemu pomacać, potem z namaszczeniem załadował siarką z główek zapalek i prochu zebrałego na wąskotorowce... Sowietci wysadzili na wąskotorowce w powietrze wagon z amunicją. Nie cały proch spłonął i sporo jego walało się pomiędzy kamieniami bruku na rampie i torach. Był to nasz pirotechniczny magazyn.

Jasio przybił ładunek papierowym stemplem, wrzucił do lufy mutrę i dwie śruby... nie wiedząc, że już wcześniej brat upchał tam jeden ładunek prochu.

– Zobaczycie, że mu lufę rozerwie. – Zakrakał wieczny czarnowidz Koluch.

Tymczasem Jasio rozglądał się – w co by tu... w co by tu wystrzelić? – Wzrok jego zatrzymał się na słupie do siatkówki i krzyżuku w prostokątnej ramce pracowicie wyciętym szczyrykiem Cipaka. Podniósł samopał do oka, wycelował, potarł pudełkiem zapalek zapłon.. Rozległ się huk... zbyt potężny jak na samopał... i wrzask Jasia. Samodzielka z rozerwaną lufą leżała na ziemi i dymiła. W powietrzu czuć było prochem i potężnym rżnięciem jakie czekało strzelca, zaś pośród handlowego placu, trzymając się za ucho, Jasio tańczył dziki taniec ostatniego Mohikanina. Spod palców wyływała mu stróżka krwi.

Tymczasem ucha wcale nie było tam gdzie powinno być. Znaleźliśmy je po kilku dniach, leżało sobie pod płótem całkiem zielone i nie przypominające ucha. Tragedia była tak dojmująca, że ominęło go nawet rżnięcie. Ale, że dydaktyczna egzekucja musiała się odbyć skrupiła się na tyłku starszego brata... jako, że się wykryło kto zwał dził aluminiowy garnek.

Teraz zaplatani w łańdach świętokradztwa, z głębokim poczuciem winy szukaliśmy sposobu jej zmazania.

– Co pobite się nie skleci. – mruknął Koluch – zresztą kircha zamknięta i tak nie da się pomodlić.

– Klucz mają Wieczorki. Widziałem jak wieczorem wynosili kafle. Musi piec rozbierali? – Powiedział Kamyk.

– Rozbierali piec? – Upewniał się Cipak. – Znaczy szabrowali.

– Kradli.

– Nie kradli a szabrowali. – Bronił godności Wieczorków Cipak.

– A jaka różnica kraść czy szabrować?

– Jak ja tobie wezmę ciebie nie pytając... to jest kradzież. Ale jak się mnie przyda to co niczyje to to jest szabier.

Objasnił Cipak, od czego nam się mniej mroczno na duszach zrobiło. No bo jeśli wybijaliśmy okna w niczym, to tak jakbyśmy szabrowali. Przecież nikomu nie robiliśmy szkody.

Wywód Cipaka winy naszej nie zmniejszył, ale jej poczucie znacznie.

– Jak Wieczorki kradną – brnął w moralne zawiłości Koluch – to mają w tym interes, a myśmy tylko tłukli szyby.

– Ale Panu Bogu gamoło!

– To oni też Panu Bogu piec ukradli!

– Wiecie co? – Odezwał się z bezpiecznej odległości Kolka, licząc, że Cipak jak zapalczywy tak nie pamiętliwy. – Wiecie co? Ja mam kredę?

– Też coś... Ja mam złotą karekę w chlewku. – Zaśmiał się Znajda.

– Ale kredą można coś napisać...

– Gdzie napisać? Co napisać?

– Że przepraszamy.

– Kogo przepraszamy Szwabów czy pana Boga? Czego ty z to kreda się uczeplił?

– Pamiętacie co na lekcji Rezun mówił?

– Noooo... że Boga nie ma. – Przypomniał Zielone Ucho.

– A my wiemy, że jest i że myśmy Boga obrażali. To napiszemy na drzwiach kirchy, że BÓG JEST.

– Eeee. Toż tam już pisze Chrystus i mało kto to widzi. Trzeba napisać tam gdzie ludzie chodzą i czytają.

– W kinie!

– Mam! – Zawołał Kolka. – Napiszemy na drzwiach milicji.

Propozycja była bezbłędna, ale też wiało od niej grozą. W powietrzu wisiało pytanie, którego nikt nie zadał a wszyscyśmy czekali na odpowiedź.

– Iiiiiiii... Szkoda roboty. Byle menda weźmie szmatę i zetrze... nawet rękawem.

Ktoś podważył sens działania, a że już zmierzch wydłużył cięnie ukrywając w nich szczegóły rzeczy, wszyscy rozeszli się do domów.

Nazajutrz, pod Komendą Powiatową stał tłum cywilów i mundurowych. Wśrubowałem głowę w gąszcz nóg i bioder... Na głównych drzwiach, nie kredą a szarą, milicyjną farbą było napisane z zaciekami –

PANA BOGA NIE MA –

Pierwszych dwu wyrazów raczej się domyśliłem niż przeczytałem, bo klęcząca na obu kolanach kobieta zdążyła już je zmyć benzyną.

– A ty tu czego zasrańcu? – Spytał otyły sierżant i palnął mnie w łsy, wygolony łeb okutym kozerkiem milicyjnej czapki. – Won uczyć się do szkoły!

DARIUSZ ADAM
ZELLER

* * *

z okazji dnia codziennego
u stóp Twoich składam
wiersz

niech zostanie już z Tobą
choćby nie wiem co
stać by się miało

choćby już tylko pacierz
skrył się we mnie
i czekał

skoro nie boisz się mojej miłości
przyjmij ten wiersz zbity
jak kwaśne jabłko

Czerwony maj

ten wieczór nie chciał odejść
uwieszony na włóknach drzew
przedłużał się niespiesznie
w noc –
paletę cieni przemieszanych

twoje oczy
splątały echo mego wołania
tańczyły niepokorne
gwiazdy

zanim cię poznałem
strącałem chmury
w noc –
spóźniony

ten wieczór
nauczył mnie żyć
twoim spojrzeniem

* * *

ten sznur pocałunków
był jak więzień
skazany na śmierć

musiał umrzeć szybko
i boleśnie

odejść w niepamięć
wraz z Tobą

odejść i skończyć raz na zawsze
całą konieczność

ten sznur – rozerwany
i jego koraliki
rozrzucone po świecie...

Historia pewnej znajomości

Trzecia w nocy. Przyszła do mojego łóżka o trzeciej w nocy. Szlochając zapytała czy mogłaby przetrwać do rana. Spróbowałem – co ci jest: zadumo?

Ale ona tylko przyłożyła swoje smutne oblicze do mojego boku.

Milczała.

Pewnie wstydziła się przyznać do chwil słabości. Pewnie. Lub po prostu nie chcąc być sama szukała kochanka na dalszą część nocy. Po prostu.

Cienie znikają z powiek wraz z bielmem szarości. Nastaje ranek, a wraz z nim dziwny atak żalu. Że to już zaraz. Że za chwilę odejdzie. I znów przyjdzie.

Czekać. Czekać aż przyjdzie. I znów zostawi.

Pękaty wazon białych nocy.

KRYSTYNA BEZUBIK

Dwadzieścia cztery

*Nie umrę, sił mi doda pietruszka i marchewka.
Znów banał. Jak tu ze mnie wyrosnąć ma poetka.*

B. Stępiak – Wilk

Mogłabym napisać powieść. Ale mi się nie chce. Mogłabym stworzyć świat, wymyślić ckliwą historyjkę, dodać jakieś symbole, jakiegoś diabła, anioła, wszystko z lekka odrealnić, zabarwić dawką bezbronności, dorzucić nieco erotyzmu. Tylko po co? Siedzieć ileś godzin przed komputerem, dać się ponieść fantazji, zwiększyć ilość dioptrii w okularach. W sumie tracić czas. Lepiej jest się zająć własnym życiem. Znaleźć na nie receptę. Tylko gdzie? Jestem w głupim wieku, kiedy nikt i nic mi nie podpowie. Rok temu byłam Julią i miałam lat 23. Za rok będę mieć życie połamane jak patyk. A teraz? Głupie 24, z którymi nie za bardzo wiadomo co zrobić. Brakuje mi kontekstu, jakiegoś punktu odniesienia. Czegokolwiek. Krótko mówiąc, skazana jestem sama na siebie. I o tym mogłabym napisać powieść! Wystarczy dodać nieco bujania w obłokach i wyjdzie coś ekstra, super fajnego. Ale mi się nie chce. W gruncie rzeczy nigdy mi się nie chciało. A że w międzyczasie coś pisałam? Jakie to ma teraz znaczenie? Jakiś konkurs, jakaś wygrana? I co z tego? Nudziłam się, więc pisałam. Poza tym w poradniku było napisane, że trzeba robić w życiu coś fascynującego. Wtedy pisanie wydawało się fascynujące. Miałam mnóstwo pomysłów, które rodziły się w mojej głowie w najmniej odpowiednim momencie. Przy zmywaniu naczyń,

podczas kąpieli. Do czytanych książek dopisywałam swoje własne wątki. Siedziałam z kartką papieru, lub przed komputerem i przerabiałam rzeczywistość tak, aby była ciekawsza, bardziej stworzona pod moje dyktando. Na papierze robiłam to, na co nie miałam odwagi w rzeczywistości. Wtedy pisanie było realniejsze i ciekawsze niż życie. Teraz już nie. Bo w sumie, co może być fascynującego w siedzeniu przed komputerem, wpatrywaniu się w ekran, pisaniu kilku zdań tylko po to, aby po chwili je wykasować? Nic, absolutnie nic. Poza tym przestałam stosować się do rad z poradników i gazet. Koniec z tym! Jak pomyślę, ile czasu traciłam zajmując się czymś tak mało efektywnym, rzygać mi się chce. Nic nie zyskałam, a straciłam czas, który powinnam była poświęcić na szukanie swojego miejsca na ziemi. Chociaż kłamię, coś zyskałam: pliczek nikomu niepotrzebnego papieru. Zawsze to coś. Pliczek papieru zamiast sztuki makijażu i uwodzenia. Pliczek nikomu niepotrzebnego papieru, szkła kontaktowe i brak perspektyw. Cholera jasna. Już wtedy czułam, że coś jest nie tak. Nie, nie czułam, ja wyraźnie widziałam. W końcu ile razy pytałam samą siebie, co robię nie tak. Czemu ludzie patrzą na mnie, jak na dziwolągą, gdy tylko zaczynam opowiadać o swoich tekstach? Dlaczego sobie nie radzę z rzeczywistością? Dlaczego zwykły rachunek do opłacenia napełnia mnie przerażeniem? Dlaczego?... No cóż, dzisiaj wiem, na czym polegał mój błąd. Zamiast spotykać się z facetami, ja całowałam się z monitorem i flirtowałam z klawiaturą. Pieściłam myszkę, zamiast oswajać się z koniecznością płacenia rachunków. Pisałam zamiast żyć. Pisałam, a wszystko co ciekawe omijało mnie. Chociaż kłamię. Nie wszystko. Było jedno fajne spotkanie z mężczyzną, który niby interesował się moją pisanią. Niby miał mi pomóc. Podpowiedzieć, co jest dobrze, a co źle. Co powinnam zmienić, a co pozostawić po staremu. No i niby to zrobił. Tylko, że tak przy okazji swój zły humor na mnie wyładował. Obrzucił mnie frustracjami, uśmiechając się złośliwie. Patrzył na mnie tak, jakby chciał, abym się rozplynęła w powietrzu. Niewiele brakowało, a krzyknąłby: zgiń, przepadnij zmoro nieczysta. Czemu zakłócasz mój święty spokój i jeszcze próbujesz mi wmówić, że sam cię tu zaprosiłem? A skoro cię zaprosiłem, czemu się spóźniłaś te dwie minuty? Rodzice nie uczyli cię punktualności? Z minuty na minutę było gorzej. A ja biedna siedziałam i to znosiłam. Jego ironię, sarkazm, obrażanie mnie. Bo jak miałam zaprotestować? Przecież to taki autorytet. A poza tym, bardzo mi się wtedy podobał. Moje hormony w jego obecności szalały jak głupie. Ciekawe, jakby zareago-

wał, gdyby się dowiedział, co się dzieje w moich myślach za sprawą jego obecności. Przecież po to miałam na sobie krótką spódniczkę, aby mógł włożyć pod nią swoją rękę. Ale i tak nie zauważył mojej mini, bo naprzeciwko nas stał wielki stół. A on, pan profesor, był bardziej skupiony na wyładowywaniu swojej złości, niż patrzaniu na mnie. A ja biedna siedziałam jak ta trusia. Buzia w ciup, grzeczna minka... Młoda i głupia byłam. I trochę za dużo fantazjowałam. A on chyba tego nie widział. W sumie, gdyby zaczął realizować moje fantazje, zabiłabym go. I to bez chwili wahania. W sumie dobrze, że nigdy nie dowiedział się, co się działo w mojej głowie, przynajmniej życie zaoszczędził. Fakt, facet mnie pociągał. Nawet bardzo. Może nawet więcej niż bardzo. A jednak mimo wszystko, nie rozumiem, jak mogłam mu pozwolić tak jechać po sobie. Może to przez nieśmiałość, która mnie wtedy męczyła, a może coś innego spowodowało, że nie byłam w stanie zaprotestować. Może to ta beznadziejna salka. Ciasna, duszna, okna nie dało się otworzyć. Facet chyba miał jakieś dziwne upodobanie do głupich pomieszczeń, w których inni ludzie tylko się dusili. To go wyróżniało z tłumu. Upodobanie do dziwnych pomieszczeń unosiło się nad nim jak aura widoczna z daleka i tak cholernie pociągająca. Fakt, że te dziwne salki dawały mu możliwość łatwiejszego znęcania się nad ludźmi. Człowiek się dusił, a on mógł sobie bezkarnie wymyślać, ten pomysł na miarę pensjonarki, to zdanie efektowne, ale pozbawione treści, a ten chwyt od dawna oklepany i do tego pozbawiony jakichkolwiek wartości intelektualnych (jakby po prostu nie mógł powiedzieć głupi). Czy pani w ogóle nie zna zasad gramatyki? Ależ znam, panie profesorze. To czemu się pani do nich nie stosuje? Stosuję się, panie profesorze. To czemu tu tak dużo błędów gramatycznych? To jest efekt zamierzony, panie profesorze. Proszę pani, nie wierzę pani. W tekście nie ma żadnego, powtarzam, żadnego wskaźnika, uzasadnienia, że pani błędy są działaniem celowym. I ta tematyka! Naprawdę nie ma pani o czym pisać? Niby jest to oryginalne, ale takie... Myślałam, że powie do dupy. Nie powiedział. Znalazł bardziej cenzuralne określenie. I tak pół godziny się rozwodził, od czasu do czasu pytając, czy rozumiem. Rozumiałam, znacznie więcej, niż mu się wydawało. Rozumiałam, że żona musiała go rano wkurzyć, że dziecko przyniosło złą ocenę ze szkoły, a ja byłam świetnym kozłem ofiarnym, taką owieczką, która siedzi, się uśmiecha i udaje, że wszystko jest okay. Udałam świetnie. Uśmiech nie opuszczał moich ust, a głowa potakiwała w pełnym zrozumieniu i poczuciu pokory przed tak wielkim

autorytetem. Pożegnałam się kulturalnie, znacznie kulturalniej niż na to zasługiwał. Wyszłam na ulicę. Kopnęłam latarnię i doszłam do siebie. Dosłownie i w przenośni. Ale dość tego rozpamiętywania, najwyższa pora wstawać. Już późno. (...)

Jaka cudowna woda. Można sobie pośpiewać, bo i tak nikt nie usłyszy. Zdecydowanie wolę prysznic niż kąpiel. Prysznic został przeznaczony dla tych, którzy prowadzą aktywny tryb życia, więc jakby się uprzeć, można powiedzieć, że dla mnie. Od dzisiaj staram się żyć najaktywniej, jak się da. Koniec z chandrami, bujaniem w obłokach i traceniem czasu. W końcu trzeba zacząć żyć intensywnie. Chociaż na swój sposób, zawsze to robiłam, nawet za czasów pisania. No, nie przeczę, zdarzały się dni, kiedy ogarniała mnie apatia. A raczej wielki lęk przed wszystkim, co się wokół dzieje. Wtedy nie byłam w stanie się ruszyć. Leżałam godzinami na kanapie i niby spałam, niby myślałam. Coś czuję, że śpiąca królowna musiała się znajdować w takim stanie, przez te swoje sto lat. Na przepięknym łożu, otoczona cierniami leżała, zbijała bąki i leczyła chandrę. Po stu latach ją wyleczyła i pojawiły się różyczki. Mogła wstać z łoża, wyrzucić wrzeciono i działać. Tak jak ja, kiedy w końcu podnosiłam się z łóżka. Głównie dlatego, że już tak śmierdziałam, że samej siebie nie mogłam znieść. Nie ma to jak poczucie higieny własnej. Prysznic i ulga, że nikt nie ma do mnie pretensji, że go wzięłam, bo jeszcze godzinę wcześniej zastanawiałam się, czy można mi się umyć. Woda i mydło naprawdę potrafią zdziałać cuda. Stare powiedzenie nie kłamie. No dobrze, może nie mydło, a dość porządny żel pod prysznic. No i jeszcze balsam, maseczka, peeling. I kilka innych dodatków, ale idea końcowa jest ta sama. Symboliczna rola oczyszczająca wody. W końcu tego uczą polonistów na studiach. Rozpoznawania symboli nawet tam, gdzie ich nie ma. Więc niby zwykły prysznic, a tak naprawdę cholerna symboliczna woda, która oczyszcza nie tylko ciało, ale i duszę. Przywraca mnie do życia zgodnie ze swoją rolą. No fakt, że sama woda to za mało i te inne akcesoria też są ważne, ale nie pozbawiamy się tej dawki metafizyki i symbolizmu. Woda to woda. Zwłaszcza tak cudownie ciepła jak ta teraz... (...)

Trzeba się w końcu ubrać... Co ja tu mam? To nie, to też nie, to chyba też nie. Jest ciepło, więc nałożę tę bluzkę. Na wszelki wypadek wezmę ze sobą sweterek. I jak zwykle spodnie. Tak będzie najwygodniej. A wygodą to ważna rzecz. Szczególnie wtedy, gdy trzeba załatwić tyle rzeczy i nie wiadomo, czy cokolwiek się uda zrobić... Uda się, nie uda, dziś się spotkamy. Nareszcie. Ale upojna noc mnie

czeka. Będzie po prostu bosko. Ale to dopiero wieczorem... Niech się zastanowię, jak tu najlepiej zaplanować ten dzień. Oczywiście najpierw Urząd Pracy, bo w nim jestem umówiona na konkretną godzinę. Przynajmniej teoretycznie. Potem spróbuję roznieść parę cefalek. Może to coś da... Szkoda jednak, że nie piszę powieści, wtedy bym schowała miniaturowego anioła stróża do torebki i miałabym z głowy, czy wszystko będzie w porządku, bo on by się tym już zajął. Po to w końcu są anioły. Nawet te miniaturowe, które się nosi w torebce. Gorzej, gdy nagle im się znudzi bycie aniołem. Wtedy zdejmują skrzydła, nakładają rogi. I zaczynają się problemy, bo nawet nie wiesz, kiedy twoje życie zdążyło się schrzanić. Ale to nie powiesz, więc nie ma żadnego anioła opiekuna, który nie tylko zatroszczy się o mnie, ale również w ramach walki z nudą skomplikuje mi wszystko. W powieści mogłoby tak być. Nawet w opowiadaniu. Ale to życie, a nie powieść i o wszystko muszę troszczyć się sama, nawet o komplikowanie swojego własnego życia. Nikt nie zrobi tego za mnie. Prościej byłoby napisać powieść, ale ja powieści nie piszę, bo mi się nie chce. Chociaż, czy ktokolwiek może mnie zapewnić, że jednak nie miałam Anioła Stróża, który nagle się znudził i stał się diablikiem, który teraz wszystko mi utrudnia. A że nic nie wiem o jego istnieniu? Anioły chyba są niewidzialne, diabełki też. Zdaje się, że noszą jakieś czapki niewidki, czy coś w tym rodzaju. Pewnie kiedyś siedział mi taki na ramieniu, podpowiadał co mam robić. A potem przeniósł się na drugie ramię i teraz podpowiada jak mam wszystko schrzanić. Nie, anioły to jednak wredne, złośliwe, podstępne stworzonka. A że noszą aureole? Chwył reklamowy i tyle... No tak, nie zapomnieć spakować komórki. Jeśli jej nie wezmę ze sobą, na pewno ktoś ważny będzie się do mnie próbował dodzwonić. Zawsze tak się dzieje, chyba zgodnie z zasadą praw Murphy'ego, czy kogoś w tym rodzaju. Poza tym on powinien potwierdzić, że dzisiaj przyjedzie. Ciekawe, czy jednak nie przysłał mi smsa, gdy byłam pod prysznicem... Mam złe przeczucia. Żeby tylko nic się nie zmieniło... Kurde. Ja czekam na smsa od niego, a on zawzięcie milczy. Może nie ma forsy. Może ukradli mu telefon. Może UFO go porwało. A może jak zwykle czeka do ostatniej chwili. Czemu on zawsze trzyma mnie w niepewności?! Tyle razy już się kłóciliśmy. Tyle razy go prosiłam. Ale jakoś to niczego, nigdy nie zmieniło. Ja mówię swoje, on robi swoje. Kiedyś go zabiję, a może po prostu znenawidzę. A właściwie, czy ja go już teraz przypadkiem nie nienawidzę? Jakie to ma znaczenie, czy się kocha faceta, czy też się go

nienawidzi. Efekt końcowy jest ten sam. Gdy się budzisz, o nim myślisz. Gdy zasypiasz, o nim myślisz. Cierpisz przez niego. Nie możesz spać po nocach. Marzysz, aby go spotkać i powiedzieć, co czujesz. Przeklinasz w myślach. Śniesz. Itd. Ktoś kiedyś powiedział, że między miłością i nienawiścią granica jest bardzo cienka. Im dłużej o tym myślę, wydaje mi się, że nie ma żadnej różnicy. Miłość i nienawiść to prawie to samo. Przynajmniej zewnętrzne objawy są identyczne... Powinnam napisać o tym powieść. Ale nie warto. (...)

Muszę sobie kupić jakieś buty, bo te już się rozpadają... Nie chcę, nie mogę. Niech ktoś zajmie się tym za mnie. Dlaczego sama mam przechodzić przez ten horror? Bo jest przyjemnością? Przecież to kompletna bzdura. Fakt, sklepy są niby okay. Ale co z tego, jak i tak nie ma w nich nigdy tego, czego akurat potrzebuję. Mojego rozmiaru, koloru. Jak chcę płaskie, to same szpile, jak szukam eleganckich, to same sportowe. Czasami aż boję się wejść do sklepu. Scenariusz zawsze jest taki sam. Wchodzę, bo widzę świetną wystawę. Nadzieja rodzi się w sercu. Błysk w oku. Jakby w transie otwieram drzwi. Automatycznym krokiem podchodzę do półek i tu nagle rzeczywistość bywa tak okrutna, że aż rani. I tak jest w pierwszym, drugim, dziesiątym sklepie. W końcu kupuję byle co, aby tylko pasowało na nogę, a w domu płaczę, że przecież w tym się nie da chodzić. Naprawdę nie rozumiem, jak kupowanie butów może sprawiać przyjemność. Chyba że masochistkom. A ja masochistką nie jestem. Chyba. Choć kto wie. Może rzeczywiście mam jakieś masochistyczne skłonności. W końcu w życiu różnie bywa. Kiedyś mnie w szkole uczono, że znamy siebie tyle, ile nas sprawdzono, a jakoś nikt nigdy nie sprawdzał, czy jestem masochistką, czy też nie. Może gdyby przeprowadzono na mnie jakiś test, jeszcze by się okazało, że nią jestem. Najlepiej jakby taki test przeprowadzili przybysze z innej planety. Oni przynajmniej byłiby obiektywni... Ależ wspaniały pomysł do powieści S-F. Przylatuje UFO. Porywa moją bohaterkę i przeprowadza test na obecność skłonności masochistycznych. Czemu kosmici nie mogliby wykonywać testu na obecność skłonności masochistycznych jak my na obecność HIV? Powiedzmy, że dla nich masochizm jest równie brutalną i śmiertelną chorobą jak dla nas AIDS. Chcą poznać naszą cywilizację, ale zanim się na to zdecydują, muszą się upewnić, że nie zagrażamy ich zdrowiu i życiu. Więc przylatują na Ziemię, łapią przypadkowych ludzi, przeprowadzają na nich badania, a potem kasując pamięć, odsyłają z powrotem na ziemię. Czemu nie? Świetny pomysł na odcinek „Archiwum X”, jeśli

nie powieści S-F... Agencie, pani Smith zniknęła nagle podczas kolarczy z mężem. Pięć minut później znaleziono ją całkowicie nieprzytomną na szosie nr 5, 10 mil od jej domu. Ciekawe, naprawdę ciekawe, wyczuwam w tym działanie sił pozaziemskich. W tym czasie kosmici. Pip, piiiip, bim, bom... Szkoda, że nie znam nikogo, komu bym mogła podpowiedzieć swój scenariusz, bo sama nie zajmuję się tym, a powieści nie napiszę, bo mi się nie chce. W sumie, komu by się chciało? Tylko wariatowi. Przeciężni zjadacze chleba z musztardą nie zdają sobie sprawy, że tylko wariaci potrafią pisać powieści. Aby wymyślać narrację, trzeba mieć chory umysł. Pisarze właśnie tacy są. Wariatami o chorym umyśle. Że też jeszcze nikt nie odkrył ich sekretu. Jestem jedyną na świecie, która może ich zdemaskować i zaprowadzić do szpitala psychiatrycznego. Przecież niewiele brakowało, a sama bym się włączyła do ich grona... Znam te gierki, udawanie całkiem normalnej, kiedy pod obojętną miną roją się majaki na miarę Goyi. Gdy normalny człowiek siedzi i zastanawia się, co zje dziś na śniadanie, czy też myśli o ostatniej kłótni z mężem, taki siedzi i wymyśla, jak wygląda jego bohater, co też może ożywić akcję i cały czas pisze. Nawet kiedy nie pisze. Bo myślenie już jest formą zapisu... Recepta na bycie pisarzem jest zaskakująco prosta: lekko zwariować, ale tak, aby inni się nie zorientowali, o co chodzi. Z daleka omijać psychiatrów. Zapisywać swoje majaki na papierze, a innym wmawiać, że ma się talent... O pisarzach też można stworzyć powieść. Jakiś alegoryczny dom wariatów. Panie doktorze, poznałem kobietę; piękna jak lalka. Mojego przyjaciela, bliskiego przyjaciela doprowadziła do próby samobójczej. Pierwszą przeżył. Nie wiem, co z drugą, bo zastosowałem zakończenie otwarte i niedomówienie... Panie doktorze, potop! Szwedzi najeżdżą Polskę, potrzebuję źródeł historycznych, by uwiecznić moją wizję obrony Częstochowy. Panie Sienkiewicz, powtarza się pan. Który raz już pan opisuje ten potop? Pierwszy panie doktorze. Jak to pierwszy, a co było w zeszłym tygodniu? Powstanie Chmielnickiego... Panie doktorze, czy chce pan poznać moją bohaterkę. Piękna kobieta, szuka miłości, mogę pana umówić z nią na kawę. Panie Kowalski, ja mam żonę i dzieci. Żona o niczym się nie dowie... No i moja stacja. Nareszcie na miejscu. Nawet nie jest tak późno... O Boże, przecież to profesor! Mam nadzieję, że mnie nie zauważył... Ale facet ma tupet. Przebiec mi drogę tak zniecka. Nie ma co, świetnie zaczyna się ten dzień... (...)

Dlaczego tak łatwo jest się naciąć na całkowicie nieodpowied-

niego faceta? Zawsze ci się wydaje, że tym razem będzie inaczej, że on jest inny. I rzeczywiście na początku on przejmuje się twoimi uczuciami, a potem okazuje się, że to kolejna pomyłka. Całe szczęście, że w innych dziedzinach nie popełnia się tak często pomyłek, bo świat już dawno by nie istniał... Ale oczywiście, gdzieś musi być ten ideał, książę z bajki, który nie tylko będzie świetnie całował, ale również w innych sprawach okaże się rewelacyjny. Gdzieś musisz być mój ideale. Pewnie nie śpisz po nocach, marząc o mnie i zastanawiasz się, jak mnie odnaleźć. Mój kochany, ja też cię szukam. Możesz być tego pewien. Choć mam jedną wątpliwość. Kiedy cię spotkam, co ci powiem? Jak mam rozpoznać, że to właśnie ty? Może już byłeś w moim życiu, może już mnie mijales na ulicy, a ja nie wiedziałam, że to właśnie ty... Nie, niemożliwe. Książca z bajki nie da się przeoczyć. On ma nad sobą wypisany wielki transparent „TO TEN”. A jakbym była ślepa, wokół niego latają motyle, w ręku zielony badylek i ptaszęta nad nim śpiewają. A gdybym oprócz ślepej, była głuchą, on ma niezawodny radar, który sprawia, że zauważy mnie z odległości co najmniej 100 km. W tej sytuacji nie możemy się minąć. Nie możemy... (...)

Czyżby moja komórka? Tak, dostałam smsa! To od niego! Nareszcie. Nareszcie... Nie..., chyba musiałam źle przeczytać, przecież niemożliwe... A jednak. Nie przyjedzie. Nie wierzę... Po prostu nie wierzę. I jak się jeszcze przymila!... To jego „aniołku”! Ja nie jestem niczym aniołkiem. Jestem puchem marnym i wietrzną istotą. Jakby ktoś chciał dostrzec we mnie anioła, bardzo by się zawiódł. Daleko mi do bycia wyrozumiałą, cierpliwą, łagodną i ty o tym dobrze wiesz! Tylko czemu mi się znowu zbiera na płacz? Nie mogę płakać, bo mi się cały tusz rozmaże. Niedoczekanie twoje, abym się przez ciebie rozmazała. Nie jesteś tego wart! Kurde, nie mogłeś mnie wcześniej uprzedzić? Nie mogłeś?! Od tygodnia planowaliśmy to spotkanie, od tygodnia... Boże, nie mogę płakać... Gdzie ja wsadziłam te chusteczki? No tak, nos czerwony, powieki zapuchnięte, tusz rozmazany. Wyglądam jak zombi, albo jeszcze gorzej. Mazgaj ze mnie i tyle. Przecież tym ryczeniem nic nie zmienię. Dosłownie nic... I co ja mam teraz zrobić? Wrócić do domu, upić się i szukać diabła na dnie szklanki?... Ciekawe skąd się wzięło przekonanie, że diabły mieszkają na dnie szklanki lub kieliszka... Zabiję go. Po prostu zabiję. Będzie sobie leżał na cmentarzu, a na nim będą rosnąć kwiatki. A gdy będę miała ochotę, to go sobie odwiedzę. Na pewno zawsze będzie na miejscu. I już mnie nigdy nie zawiedzie, nie nawa-

li... Kurde, przecież tyle czasu planowaliśmy to spotkanie, tyle czasu, tyle wersji ułożyłam, tyle zdążyłam sobie wymarzyć. Ale on... On jest jak ogr. A wszyscy wiedzą, że ogry są jak cebule: duże, śmierdzą i się przez nie płacze. No fakt, on nie śmierdzi, ale jest duży i często przez niego płacze. Fakt, nie pozostaje dłużna. I tym razem nie pozostanę. Na cios odpowiem ciosem. Zaraz mu coś takiego napiszę, że się nie pozbiera. Nie pozwolę, aby ktokolwiek ranił mnie bezkarnie. Już nie pozwolę. Znam swoją wartość. To go ugodzi w czule miejsce... Poszło... Zobaczmy, co na to odpowiesz?... Głuche milczenie. No tak, zawsze milczy w sytuacjach konfliktowych. (...)

Zamienię cię. Zobaczysz. A jeszcze lepiej na twoje miejsce kupię sobie psa. Będzie lepszym towarzyszem niż jakikolwiek mężczyzna. Psy potrafią słuchać z uwagą, patrzeć w oczy i zawsze mają dla ciebie czas. Mężczyźni mogliby się tylko od nich uczyć. Gdybym pisała książkę, w moim świecie istniałyby punkty tresury dla mężczyzn. Poprzez obserwację i odpowiednie ćwiczenia faceci nabieraliby niektórych psich odruchów. Przede wszystkim chyba wierności. A może nawet posunęłabym się dalej i wprowadziła męski ideał – psa zamienionego w faceta przez dobrą wrózkę. Nie, może już zbyt absurdałne, chociaż urocze. A czy to ważne, że absurdałne, przecież ja nie piszę powieści. Po co mi? Pisanie szczęścia nie daje. Mężczyzna najwyraźniej też nie. (...)

A może miłość to tylko wymysł, zasłona dymna, pod którą ukrywają się zmysły i strach przed samotnością. Może nigdy nie istniała. Ktoś kiedyś wymyślił ładną bajkę, na którą nabierają się tacy jak ja... Miłość, samotność... Miłość jest samotnością we dwoje, może tylko mniej upierdliwą niż w pojedynkę. A może bardziej... Ale brzydka okolica. Niemożliwe, że to tutaj. A jednak, adres się zgadza... Nie chcę tutaj pracować, ale CV zostawię. Co mi szkodzi. Jeśli zechcą mnie zatrudnić, okolica wypięknieje. Na pewno... Okay, trzeba wejść i wyrecytować swoje... No nie, trzymajcie mnie. Czy ta kobieta myśli, że dziś się urodziłam? Przecież wiem, że jeśli nie będzie zainteresowana moją ofertą, nikt się do mnie nie odezwie. Nie od dziś szukam pracy. Mam takie doświadczenie, że powieść mogłabym napisać. Nawet alegoryczną na miarę Kafki. Bohater nagle spada do zimnego piekła, którym jest labirynt... Czemu zimnego piekła? Labirynt rozumiem, ale zimne piekło... To chyba jakiś oksymoron... Krytycy mogliby się przyczepić. Tak jak profesor... Już widzę jak mówi. Pani bardzo ciekawie przekształca rzeczywistość,

przyznaję, jest to oryginalne, ale..., jakby to ująć... Godzi pani w przyzwyczajenia czytelnika, zmienia prawa natury, niczym nie uzasadniając tych zmian. Każę czytelnikowi myśleć, zastanawiać się, zgadywać, nie dając żadnych wskazówek. A przecież, powinna pani zdawać sobie sprawę, że czytelnik nie lubi myśleć. Czytelnikowi trzeba podpowiadać!... (...)

Mam dziś świetne pomysły. Niejeden bestseller by z tego wyszedł... Może powinnam spisać na kartce te swoje pomysły i wysłać je do jakiegoś znanego pisarza. W sumie, czemu nie? Co mi szkodzi? Dobry pomysł, tak dobry, że już widzę siebie tworzącą listę swoich pomysłów. Z lekkim biciem serca spisuję je na kartce... Kto w dzisiejszych czasach pisze na kartkach? Przecież nawet ja piszę na komputerze. Ale mi się na romantyzm z tymi kartkami zebrało. Bo pomysły na powieść. Poyerka ze mnie i tyle... Spisuję swoje pomysły... Potem w internecie wyszukuję adres jakiegoś pisarza. Najlepiej jakiegoś sławnego. Na pewno znajdę go w internecie, w internecie jest wszystko. A potem, a potem oczywiście wysyłam list, mejla, co za różnica. Byle doszedł. I tu zaczyna się najlepsze. On otrzymuje list od nieznanomej. Jest święcie przekonany, że to kolejna wielbicielka. Otwiera, zaczyna czytać, a tam zamiast wyrazów uwielbienia moje pomysły na powieść. Czyta i z zachwytu nie może złapać oddechu. O mało się nie dusi. Po chwili siada do komputera i zaczyna rozpisywać mój pomysł. Pracuje dzień i noc, bez wytchnienia. Pada z sił, ale pracuje wytrwale. W końcu pracą ludzие się bogacą. Gdy kończy jest na skraju wyczerpania, ale się opłacało. Wydawnictwo zachwycone, czytelnicy jeszcze bardziej. Mój pisarz zbiera same pochlebne recenzje. Ze sławnego robi się hipersławny. Ale jest uczciwy i zawsze mówi, że pomysł podpowiedziała mu uroczą, młoda, inteligentna kobieta, czyli ja. Ja też robię się sławna i już nie mam problemu ze znalezieniem pracy, bo pisarze walą do mnie drzwiami i oknami, abym im przekazywała swoje pomysły. Czyż nie byłoby cudownie? Chyba tak zrobię. Skoro mi się nie chce pisać, nie trzeba zakładac, że wszystkim się odechciało. Jeszcze kilku wariantów po tym świecie chodzi. Nudzą się, więc piszą. Jak ja kiedyś. Ale już mi przeszło... (...) Postanowiłam zerwać z pisaniem. Nie żartuję. Nie chce mi się już. Wyrosłam z tego, teraz będę się zajmować samymi poważnymi sprawami. Poza tym pisanie było dobre dla studentki, a nie mam tyle talentu, aby zająć się tym bardziej poważnie. Trzeba się w końcu przyznać przed samą sobą. Jestem grafomanką i tyle. Nie, wcale nie chodzi o profesora... Naprawdę. Profesor może

mówić sobie co chce, pluję na to. (...)

Biedny profesor, nigdy nie rozumiał, czemu tak dużo miejsca w swoich tekstach poświęcam wadze. Widać, że jemu presja bycia szczupłą nie grozi. Ale dobrze, że nie dostrzegł mojego litościwego wzroku, jeszcze by się obraził i mocniej mi dołożył. Fakt, innych rzeczy też nie dostrzegł. Najwyraźniej miał kłopoty ze wzrokiem. Powinien nosić okulary. Do twarzy by mu w nich było. Ten męski łuk brwiowy podkreślony dobrze dobraną oprawką. Już to widzę... Ojej, schudłam! Prawie kilogram. To chyba przez bieganie w poszukiwaniu pracy. Kurde, nawet bezrobocie ma swoje dobre strony. W tym przypadku jest to ponad kilogram dobrych stron. Jak jeszcze trochę pobiegam, laska się ze mnie zrobi. I w końcu uda mi się wciśnąć w tę cudną spódnicę. Może już teraz mi się uda. Muszę koniecznie sprawdzić... Prawie, jak jeszcze trochę pobędę bezrobotną, na pewno ją zapnę. Szkoda, że nigdy nie udało mi się w niej wyjść. Wiem, nie powinnam jej kupować, skoro już w sklepie była przyciasna, ale tak pięknej spódnicy nie zostawia się na wieszaku. Taką piękną spódnicę się kupuje, a potem robi się wszystko, dosłownie wszystko, aby się w nią zmieścić. I niedługo mi się uda. Na pewno, przecież jestem na dobrej drodze. Co ja tu jeszcze mam? Mój ukochany sweter. Ile razem przeszliśmy. Chyba wszystkie wakacje ze mną spędził. Staruszek okazał się wierniejszy niż faceci. Nie opuścił mnie nawet po tym deszczu. Ale wtedy zmokliśmy. A potem cały tydzień łało. O wyjściu z namiotu można było pomarzyć. Chyba dopiero po powrocie do domu udało nam się dosuszyć. A tę dziurę wypaliłam świeczką. Nie żeby specjalnie. Po prostu tak wyszło. Nawet się na mnie nie obraził... A te stare spodnie miałam na sobie, gdy pierwszy raz cię całowałam. Cudownie było. Tak inaczej niż z innymi... Wtedy uwierzyłam, że jesteś inny, ale chyba się pomyliłam. Nie ma innych facetów. Wszyscy są tacy sami. Powinnam sobie zapamiętać do końca życia. Teraz pamiętam, a jak tylko się spotkamy, dopadnie mnie amnezja. Dziwna choroba. Zawsze pojawia się w najmniej odpowiednim momencie... A w ogóle połowę tych rzeczy powinnam wyrzucić. Tylko zajmują półki. I niczego nie mogę znaleźć. Ubrania też potrzebują trochę przestrzeni. Przecież niemal słyszę jak błagają mnie o odrobinę wolnego miejsca, bo się duszą. Nie tylko ludziom może brakować powietrza. Tak, koniecznie muszę czegoś się pozbyć. Tylko czego? Lubię swoje rzeczy. Nawet te stare. Tyle wspomnień w sobie noszą. Gdyby potrafiły mówić, nie jedno by opowiedziały. Były ze mną w tylu miejscach. Zapamiętały tyle

cudzych spojrzeń. Więcej niż ja. Ja nie wszystkie zauważyłam. One tak. Kostium z obrony. Bluzka z pierwszej rozmowy o pracę. Nasza pierwsza randka... Ciuchy są lepsze niż pamiętnik. Wszystko zapamiętują. Nikt niepowołany ich nie przeczyta. Niemi świadkowie życia, zbrodni, smutków... Nie mogę ich wyrzucić. Za bardzo je lubię. Za wiele się z nimi wiąże. Nie mogę, po prostu nie mogę. I na pewno nie jestem wyjątkiem w tej kwestii. Na pewno nie. Przecież kiedyś czytałam książkę, w której bohaterka wspomina swoje życie poprzez przegląd ubrań. Też bym tak mogła. Ale gdybym pisała powieść, moje ubrania same by mówiły. To one by opowiadały, gdzie były, co widziały, kto na nie patrzył. Powiedzmy, że można zacząć tak. Bohaterka sprząta swoją szafę. Całkiem zwyczajne zajęcie. Wyjmuje po kolei każdy ciuch. Ogląda go starannie. I zaczyna sobie przypominać. Ale nagle cała sytuacja się zmienia. Wspomnienia bohaterki zamieniają się w opowieści ubrań. One, zgodnie z zasadą odrealnienia, mają swój własny głos. Granica między fantazją a rzeczywistością się zaciera. Już nie wiadomo, czy ubrania rzeczywiście same mówią, czy też cały czas są to tylko wspomnienia bohaterki. Choć zbyt szczegółowe jak na zwykłe wspomnienia. Zbyt wiele rzeczy, które się działy za jej plecami... Nie pamiętasz, kiedy odwróciłaś się do niego plecami, cały czas miał ten wyraz twarzy. Czulaś jego uprzączywy wzrok na plecach, kiedy odchodziłaś. Tak, patrzył na ciebie. Nie wierzył, nie mógł uwierzyć... Zdumienie, na jego twarzy było zdumienie, ale ty tego nie widziałaś, bo odwróciłaś się od niego. Ja widziałam, opowiada np. sweter... Czemu nie? Całkiem niezły fragment do powieści. Ale nie napiszę powieści, a posprzątać muszę. Naczynia nie pozmywają się same. Wredne są i tyle. Ja tu skonana, ledwo się trzymam na nogach, one doskonale widzą w jakim jestem stanie, a i tak nie ruszą się i nie umyją. Może by je tak zamienić na jednorazówki? Tyle kłopotów miałabym z głowy. Chociaż śmieci częściej musiałabym wynosić. W sumie, więcej ruchu i dodatkowo kilogram ubywa. Kolejny plus dla jednorazówek. Najwyraźniej są idealne. A ja myślałam, że ideały nie istnieją... (...).

Jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który by się wysilił i wydekłamał poemat na moją cześć. Co ja mówię, poemat? Nawet głupiej fraszki nigdy nie dostałam. A przecież doskonale potrafię sobie wyobrazić sytuację, gdy on..., on daje mi własnoręcznie napisany wiersz. Jesteśmy razem w samochodzie. Zatrzymaliśmy się na uboczku. Jestem nieco zaskoczona i pytam, czy coś się stało. On mówi, że nic się nie stało, ale ma coś dla mnie. Zaczyna tego czegoś szukać.

Podeksycytowana, czekam z niecierpliwością. On wyjmuje z teczki i podaje mi kartkę złożoną na pół. Nieco zdziwiona otwieram ją. Zaczynam czytać. Dopiero po chwili dociera do mnie, co dostałam. Nie wierzę własnym oczom. Czytam każdy wers po trzy razy. Jestem tak wzruszona, że nie potrafię wydusić z siebie słowa. On patrzy na mnie z niepokojem. Wiersz jest beznadziejny, ale i tak zachwyca mnie, przecież to wiersz napisany dla mnie. Nie mogę uwierzyć, cały czas nie mogę uwierzyć, że on napisał dla mnie wiersz, że odgadł moje potajemne, najbardziej skryte pragnienia, że... Po jakimś czasie ze ściśniętym gardłem mówię mu, że to najpiękniejsza rzecz jaką w życiu dostałam. Łzy wzruszenia kręcą mi się w oczach... Rzucam mu się na szyję (o ile jest to możliwe w samochodzie), on mnie obejmuje. Jesteśmy tak szczęśliwi, że świat przestaje się liczyć... Tak, jesteśmy szczęśliwi w momencie, gdy on unika spotkania. Nie wierzę, po prostu nie wierzę, że coś mu wypadło. Gdyby tak było, napisałby mi jakieś wyjaśnienie. Olał sobie mnie i nasze spotkanie. Pewnie teraz z jakąś inną zabawia się na tylnym siedzeniu. Nienawidzę go! Nienawidzę! Nie wiem, co bym z nim zrobiła, gdyby teraz się przede mną pojawił. Chyba bym go utłukła, kopnęła tam gdzie boli najbardziej. Co, tylko ja mam cierpieć?! Aż tak naiwna nie jestem! Cholera, gdzie jest jakiś talerz do stłuczenia?! Trach! Przez niego jeszcze muszą szkła sprzątać, jakbym mało miała roboty!... Ten talerz był więcej wart niż on! Ale już nie jest. Mają teraz dokładnie taką samą wartość. Nadają się tylko na śmietnik... (...)Gdybym napisała książkę o takim zakończeniu, dopilnowałabym osobiście kształtu słowa koniec. Przecież w szczególności diabeł siedzi. Podobno siedzi jeszcze na dnie kieliszka, ale tego nigdy nie udało mi się sprawdzić. Chyba nie lubią mnie diabły, bo jakoś nigdy mi się nie pokazują. A szkoda, bo muszą to być zabawne stworzenia. Przecież diabeł jest aniołem, któremu się nudziło, więc poszukał sobie jakieś rozrywki. W końcu skrzydła i aureola są takie nudne. A poza tym kłopotliwe. Aureolą wiecznie zahacza się o framugę drzwi, a skrzydła nie mieszczą się w kawalerce. Rogi są o wiele praktyczniejsze. Łatwiej je schować. Gorzej z ogonem, ale pomysłowe diabły i z tym sobie poradziły. Nie wiem jak. W końcu nie spotkałam żadnego diabła, więc nie miałam okazji zapytać. Ale jednego jestem pewna. Diabły nie zajmują się wyłącznie złem. Czasami, gdy mają taki kaprys, pozwalają sobie na zrobienie czegoś dobrego. A przede wszystkim próbują się dobrze bawić, bo na tym polega ich życie. A że przy okazji wyrządzają krzywdę swojej ofierze, kogoś zaprowadzą do piekła,

to już najmniej istotne. Jeśli koleś był na tyle naiwny, aby nabrać się na sztuczki diabła, to już jego problem. Za naiwność i głupotę trzeba płacić, nie ma zmiłuj się. Tak już jest urządzony ten świat. (...)No i nie mam pomysłu na ten wieczór. Nie piszę powieści, bo mi się nie chce, nie wychodzę, w sumie z tego samego powodu, nie czytam, bo to samo, a w telewizji nic nie ma. Internet. Czat?... , nie, strata czasu, ale zawsze mogę sprawdzić pocztę... Kurde, nawet coś dostałam! No tak... , znowu chcą mi powiększyć penisa. Chyba ktoś naprawdę przejął się teorią Freuda i chce mi pomóc, abym się nie męczyła. Bo przecież, jak można żyć, cały czas zazdroszcząc mężczyznom penisa i planując dokonanie kastracji? Nie wiem, po prostu nie wiem. Jak mi się do tej pory przy takiej presji udało nie zwariować? Przecież to cud! Dosłownie cud... Szkoda, że nie proponują mi pracy. Znacznie bardziej by mi się przydała niż powiększanie nieistniejącego penisa. A może jednak go mam, tylko nic o nim nie wiem. Nie czytałam zbyt uważnie Freuda. Jak on to tłumaczy? Uczucie okaleczenia? Pewnie dlatego co miesiąc krwawię... Coś w tym jest. Jak się uprę, odnajdę jakiś sens, stworzę własną teorią na temat teorii Freuda i dostanę kolejnego Nobla. Chociaż wolałabym Oscara... Może nakręcę film o mojej teorii na temat teorii Freuda. Napiszę scenariusz, zajmę się reżyserią, zagram główną rolę. Im większą ilością rzeczy się zajmę, tym większa szansa, że za coś dadzą mi tego Oscara. W najgorszym wypadku kilka nominacji... Czemu nie, jutro przeprowadzam się do Hollywood. Kariera filmowa przede mną! Byle tylko na żadne trzęsienie ziemi nie trafić. Głupio by było zginąć pod gruzami miasta na początku świetnej kariery... Młoda, utalentowana, przed debiutem zginęła na stopniach do sławy, na stopniach wytwórni filmowej, która miała zrealizować marzenie jej życia, miała zapewnić jej co najmniej nominację do Oscara. Na pogrzebie tłumy przyszłych fanów, którym odebrano możliwość oklaskiwania przyszłej gwiazdy. Tłumy łatwo pocieszyć, możliwość oklaskiwania zastąpiono możliwością oplakiwania. Gorzej z nienakręconymi filmami. Całe wieki, będziemy czekać na geniusz, który udźwignie na swych barkach ciężar nowatorstwa naszej tragicznie zmarłej, przyszłej gwiazdy. Co za wielka strata dla całej ludzkości, dla całego wszechświata. Co za wielka strata... Może i strata, ale takie epitafium w pełni rekompensuje niezdążenie zrobienia kariery, cokolwiek by to znaczyło... Fajnie byłoby być gwiazdą. Ale mi to nie grozi, chyba że rzeczywiście wyjadę do Hollywood. Czemu nie? Zawsze można spróbować swojego szczęścia. W końcu trzęsienia ziemi nie

zdarzają się tam codziennie. Chyba... Skąd ja mam wiedzieć, nigdy tam nie byłam. Jak się zdecyduję na wyjazd, to kogoś zapytam. Wejdę na specjalne forum o trzęsieniach ziemi, na pewno takie istnieje, i zapytam. Wyjadę i zrobię karierę filmową. Brzmi nieźle. Kariera filmowa... Kamera, aktorzy, plener..., w sumie brzmi ciekawiej niż komputer i pisanie, które nikomu do szczęścia nie jest potrzebne. A na pewno mi nie jest potrzebne. Nie potrzebuję pisania. Nie potrzebuję spędzania czasu przed monitorem. Nie potrzebuję..., wcale nie czuję wewnętrznej potrzeby, zmyślania niestworzonych historii, a na pewno nie czuję wewnętrznej potrzeby ich zapisywania. Nawet jeśli jeszcze czasami, z rzadka coś wymyślam, robię to sporadycznie i na fali przyzwyczajenia. W końcu dopiero dzisiaj ostatecznie postanowiłam nie pisać. Nic dziwnego, że stare nawyki jeszcze przypominają o sobie. Jestem tak pewna, że nie chcę pisać, że mogłabym o tym powieść napisać. Ale nie napiszę. Bo nie chcę, wcale nie chcę! I już nie zmienię zdania! Choćby nawet pojawił się przede mną profesor i błagał na kolanach, abym znowu pisała, nie zmienię zdania! Choćby nawet brudząc swój jasny garnitur, tarzał się przede mną, nie zmienię zdania! Choćby nawet kłamał się i przyznał, że wtedy się mylił, że kłamał, że wcale nie myślał tego, co powiedział, nie zmienię zdania! Nie będę pisać, już nigdy w życiu!

EWA

PEREPELICA

* * *

wiem
jest już bardzo późno

sny się na nas obrażyły
a kawa już oddała nocy ciepły oddech
i straszy zimnym pocałunkiem

Morfeuszem – nocnym posłańcem przesyłam Ci westchnienia
odpowiadasz że już nie grywasz z nim w szachy
i każesz mi spać przy zamkniętym oknie

a ja co noc otwieram okno i odganiam sny
o zapachu rozgrzanej ziemi...

bosa

rozkładał powoli moje skrzydła
delikatnie abym ich nie schowała

rozczesywał mi pióra złotym grzebieniem
a we włosy wplatał promyki słońca obiecując im baśnie
aby nie uciekły

ubierał mnie w sukienki z porannego brzasku
mówiąc że mi w jasnym do twarzy

stopy zawsze zostawiał bose
abym lepiej czuła świat

do ręki przywiązywał ćmę
bym w nocy nie czuła się samotna

uczył jak zaplatać niebu warkocze
i jak śpiewać gwiazdom kołysanki

nigdy mi nie wybaczył że oddałam skrzydła
i pogubiłam jasne sukienki

* * *

zapisani w sobie zasypialiśmy na brzegu świtu
gdy niebo zapomniało że ma być nad ziemią i wpadło
przez okno
by podglądać nasze sny
pajęczce-cienkie-nici
świat się kończył i zaczynał na nowo
z niebem przed nami
 potem zostałam z pajęczyną
w oknie
niebo zostawiło ją gdy wracało do siebie –
napisz do mnie znowu
niech znowu będzie pusto nademną

MAŁGORZATA DOBKOWSKA

Natura

nieustannie podążasz ku krawędziom
i zaczynasz taniec
powtarzasz strach jest grzechem
balansujesz

a gdy rozrywasz pleśń/pod spodem bije nadal/
chłodne żywe źródło

* * *

jabłoń grusza wiśnia
o bielony pień oparci
badamy ciemny obłok liści/owoce opadają do
rąk
tłoczą się wiercą niecierpliwe/namawiają sztur-
chańcem
kuszą zamknięciem dłoni
na obłóci kształtu

jestes wędrownym jabłkiem/pójdź gościńcem/
zobaczysz cudo a jakież ono

znowu śpisz z otwartym okiem

* * *

w butli ciszy/zawieszasz dźwięki /
na cienkich drutach/dotykasz
poruszasz/wichrowe dzwonki

* * *

ta fala już odchodzi
siedzisz i patrzysz/na niby skończoność/
powtarzalność natury/kraniec świata /
dostępny tylko pozornie
tobie zwierzęciu ładu

Haiku w Łzie

wolno niespodziewanie bez wzbiera/czekasz aż wybuchnie /
prosto w serce i rozerwie je

Otwarte haiku

w gnieździe kieszeni leżą klucze
w związku z tym masz
nieograniczone możliwości

Wiatr. Opuszczenie

odciskasz pięta/ślad na piasku /
głębiej i głębiej
kręcisz gorliwie

zanim rozejrzysz się
wyruszysz dalej
z karawaną?

ELIGIUSZ

BUCZYŃSKI

pożegnanie

dopiero gdy weszliśmy na szczyt dowiedziałem się że spadnę.
gdzieś w pobliżu cichej nocy której szum drzew
już przestał zagłądać pod sukienkę.
pamiętasz nadzieję? traktowaliśmy ją jak senną marę
bo dobre słowa i tak
zatrzymywały się tuż przed ustami. jak osłupiałe bez kory pnie.
na niebie parkował wielki wóz
wtedy schowałaś się za sosną a ja
twarz i ręce zanurzałem coraz głębiej w ciemność
a to jak sen
pomyślałem
a to jak śmierć
zostały przecież
tylko

...

deszcz
i duchy.

jutro

między brzegami ramion
stawiam przystań
przy której zakotwiczy
dryfująca cicho noc

zew

bezsensowność
światło wpada zza czarnej szyby
wyrwanej z ramion księżycy

między głową a poduszką
zwisają widma promieni ogrzewających dzień
i zaczynam
niekończącą wędrówkę
aż za ciepło i jasność
– za racjonalne koło

szukając miejsca pod skórą nocy i sycącego snu
– codzienne ziarno prawdy...

...silny głos nie rodzi się z gardła
przenika horyzont
tylko pełna ognia dusza!

Dopóki mróz nie zakotwiczy w naszych żyłach

wieczór opadł z sił i zwałił się na szpaler
powyginanych ulicznych latarni

światło przygasa i coraz silniej
pluje w nas krwią

przemierzamy oblodzone chodniki
rozsypane ulice i nie da się
tego porównać z niczym

to my – udający spokojne
powroty z pracy
do pracy
bez aplauzu

i uśmiechu
tak naprawdę
ciągniemy
wlecemy
za sobą
doczepioną ciężkimi
stalowymi
hakami – zimę

Kilka żartobliwych zdań a' propos ciemności

ogromny pasażerski statek
rozsunięty długim dźwiękiem
właśnie rozrywał martwą zatokę

tłum przepychając się
i potykając

wysypywał się na brzeg

potem chmara ludzi szła razem
aż do pierwszego rozwidlenia

tu żegnali się rozdzielali
i jakby
odstrzeleni

niewidomi

pojedynczo

znikali

w środku

przyjaźnie

rozchylonych

ud

nocy

Od nowej linijki

brawo rozległo się z widowni
i wszystkie mrówki zeszyły
ze sceny

czysty jak cień
znów mogłem planować
podejmować nowe zadania

ale na to musiałem czekać
wiele długich miesięcy

dopóki autobusy nie zjechały
do zajezdni poza granicami miasta

dopóki oddech nie nauczył się
regularności i świadomości tego
że oddycha

dopóki nie wypełnił się stary
czarno biały film z napisem KONIEC
choć nie oznaczało to
żadnego
końca

znów mogłem zaszyć się w kryjówce
mrowiska wzniesionego pod pnem

świętego drzewa
i nasłuchiwać
łomotów serca
szumu duszy
pieśni krwi

a rzucone na ziemię spracowane
anioły zapełniały spizarnię darami
za które nie dziękowałem

to – komu udzielają łask
nie robi im żadnej różnicy

KAMIL

DĄBROWSKI

Zen

koty nie jedzą cały dzień.
zwykle obserwują świat zamkniętymi powiekami.
wachlują swoimi kocimi wąsami w rytm
kwitnących wiśni.
o zachodzie słońca kładą się
pod progiem świątyni.
otrzepują ze swoich pazurów
resztki karmy.

Contemporary idea

obywatelu!
poezja cywilna jest naszą
wspólną sprawą!
zapoznaj się z sygnałami alarmowymi
i przekaz je innym.
alarm powietrzny:
dźwięki powtarzające się
w modulowanych wersach
alarm o skażeniach:
dźwięki trwające 10 sekund
powtarzane przez 3 minuty
w trzech tryptykach.

alarm o klęskach żywiołowych
i zagrożeniu środowiska:
dźwięk ciągły trwający
3 wiersze.

po odwołaniu alarmu wyjechać z miasta.
po prostu wyskoczyć z ubrania,
z przyzwyczajień.
nie odbierać telefonu.
zwyczajnie.
oddychać pełną piersią
i słuchać tego dźwięku.
najmniejszego.

Archiwum. Przystanek

wszystkie odmierzone odległości
zbiegną się kiedyś w pewnym miejscu.
może nawet w tym samym
co rok temu
kiedy patrzyliśmy
jak gołębie wydziobywały
ostatnie okruchy
przed zbliżającą się zimą.
a my szczerze
zamykaliśmy usta
wciągając jesień
do płuc.

10 km do Buenos

takie epatowanie autodestrukcją.
zwykłe grzechy
są poza zasięgiem
mistrzów.

ANDRZEJ PIETRASZ

* * *

noc stanęła przed ławą przysięgłych
została osądzona i skazana
na dożywotnie przebywanie w ciemnościach
za nakłanianie do samobójstwa

ludzie jednak nie powinni spacerować
nocną porą
zwłaszcza ci w tak zwany wieku produkcyjnym

a był taki cudowny
miał wielu przyjaciół
może zbyt wielką wyobraźnię
ale to normalne w tym wieku
i w jego ówczesnym stanie
przecież próbował zrozumieć
że kamień nigdy nie będzie żyrafą
lub że nie można spędzić życia na słupie
jak tego pragnął

teraz spaceruje w blasku
a jego sandały nie wiedzą czym jest kurz

Slogany

upiję się ze szczęścia
upiję się z radości
jestem bogiem dla samego siebie

krew jest słodsza od miodu
przez białe majtki zawsze widać włosy łonowe
gdy się pochylasz dolina między twoimi piersiami pogłębia się
rowy tektoniczne w mózgu
złote piwo
kutas rozgrzany do czerwoności
politycy kłamią
śnięte ryby są święte
„każdy dzień jest wiecznością”
śmierć zdarza się codziennie
ekstaza jest siostrą przyrodnią cierpienia
dziura w dupie śmierdzi jak stary ser
żywiąc urazę niszczysz się
wyobraź sobie śmierć Johna Lennona
krasnojulki są na świecie
najpiękniejszą częścią ciała są pośladki
powieś się na kłamce hipokryto
bekanie w niektórych kręgach po prostu nie uchodzi
kobieta najpiękniejsza jest na plaży lub w przyćmionym świetle
– byle naga
„nie podoba mi się twoja ręka na moim ramieniu”
różowe zasłony na oknach świadczą o jednym
biały mur też świadczy o jednym
o możliwości napisania chwytliwego sloganu
ale cóż można napisać

* * *

wyprawa w góry
po kres dnia

po kres wieczoru
na spotkanie
z wychodzącą naprzeciw ciemnością
trzymającą w dłoni białe pióra
na powitanie
które w tej rzeczywistości
wyglądają jak dwie ucięte dłonie
największego z czarowników

dojrzeć je takimi jakie są
to najtrudniejsza rzecz
pod słońcem

RYSZARD ZIĘCKOWSKI

Wizja lokalna

najpierw musiał być młody człowiek
z głową z nefrytu
/kochanek z bursztynu przyszedł później/
i kobiety w bieli i bez skrzydeł
na karłowatych uskrzydłonych konikach
pędziły aby dokonać wizji lokalnej
wypędzenia z raju
a podobne były jeźdźcom kładącym zboże
i kiedy stęknął zegar zbierając siłę do ostatniego uderzenia
z diademowego czoła kochanka z nefrytu
trysnęły
krew i roztańczenie
i kapały na bursztyn
młody człowiek klęczał na swoich słonecznych nogach
zegar cykał drapieżnością czasu
płosząc wizję lokalną

Szukanie Boga

kochanek z nefrytu
szukał Boga
pomiędzy pierwszym
i ostatnim uderzeniem zegara

wizja lokalna
osiągnęła szczytowanie
karłowate koniki rżały
czas skręcił się w spiralę DNA

ojcowie poronili
Boga nadal nie było
kochanek z nefrytu
rozpoczął medytację

* * *

w jej oczach odbija się świat
kochanka z nefrytu
najsilniej błyszczą głowa
i diadem

czas koncentruje się
w dużej wskazówce
kłującej ciemne oczy słońca
pełnię południa

kochanek z nefrytu pojawia się
w południowym słońcu
wtedy nie może kochać
choć sam pragnie miłości

masz ciemne oczy
i śpiew kochanka
a wtedy nadchodzi ten z bursztynu
z nowymi marzeniami

Modlitwa

Krystian in secula seculorum stella amoris
konia z czarnymi grzywami
depczą łąkę tętentem
kochanek z nefrytu
bije w dzwony
in secula seculorum Krystian
tyle lat płacze dziecko
nie przewijane przez czas
latarnia ze zwieszoną głową
nad sentymentem ulicy
in secula seculorum non abi
dziewczynki podrzucają czarne pióra
dziękczynnych wzruszeń
bije je w takt
ojciec dziećmi pijany
in secula seculorum Krystian
stary kowal kuje
bursztynowym młotem
ciepłym zapachem
białe bzy płaczą
in secula seculorum tu es sol meae vitae

SYLWIA URBANIK

* * *

Niczym cienie snujemy się
po bezkresnym świecie
Poszukujemy sensu siebie
Im głębiej sięgamy tym rozumiemy mniej
Niczym tumany kurzu
przebiegamy przez życie
Nie znajdując zrozumienia
Niczym poranna rosa
Spływamy po istnieniu jak po liściu
Nie znajdując odpowiedzi.

* * *

Chciałabym
Iść ciepłym brzegiem morza
Nie czuć
Pochłonięta łagodnym błękitem
Patrzeć
Na archaiczne muszle
Dotykać stopami
Miękkiej przestrzeni

Chciałabym
Zapomnieć że istnieję
Zatopić w bezkresnej toni
Delikatnie wyznaczyć kres
Rysować białą dłonią
Koniec

Chciałabym umieć marzyć
Ostatni raz uśmiechnąć
Do słońca
Myśleć
Że patrzyłam oczyma anioła

❖ KONKURSY ❖

Protokół posiedzenia Jury konkursu poetyckiego

O Srebrne Pióro MDK

Dnia 16 maja 2007 r. jury w składzie:

1. Jan Leończuk – Prezes Białostockiego Oddziału ZLP, Dyrektor Książnicy Podlaskiej – przewodniczący Jury
2. Wiesław Szymański – poeta, dziennikarz Redakcji Kulturalnej „Radia Białystok”
3. Janusz Taranienko – poeta i krytyk literacki, nauczyciel instruktor MDK

Po zapoznaniu się z 30 zestawami wierszy nadesłanymi na konkurs, postanowiło:

- przyznać nagrodę główną konkursu za zestaw wierszy opatrzony godłem „cogito”
- przyznać I nagrodę za zestaw wierszy opatrzony godłem „per aspera ad astra”
- przyznać II nagrodę za zestaw wierszy opatrzony godłem „kamea”
- przyznać III nagrodę za zestaw wierszy opatrzony godłem „perszing”

- przyznać 3 równorzędne wyróżnienia za zestawy wierszy opatrzone godłami: „kłoska”, „kliwer” oraz „toja”.

Po otwarciu kopert z godłami Jury stwierdziło, że:

1. Nagrodę główną – „Srebrne Pióro MDK” – zdobył Dawid Klepadło z XI LO w Białymstoku – godło „cogito”,
2. I Nagrodę zdobyła Katarzyna Paulina Perkowska z X LO w Białymstoku – godło „per aspera ad astra”,
3. II Nagrodę zdobyła Katarzyna Mieleško z III LO w Białymstoku – godło „kamea”.
4. III Nagrodę zdobyła Dorota Perszko z ZSO w Hajnówce – godło „perszing”.
5. Wyróżnieniami uhonorowano:
 - a. Sylwię Rzacę z SLO w Białymstoku – godło „kłoska”,
 - b. Patryka Gawrychowskiego z III LO w Białymstoku – godło „kliwer”,
 - c. Karolinę Glińską z IV LO w Białymstoku – godło „toja”.

Jury pragnie wyrazić swoje zadowolenie z poziomu nadesłanych wierszy, biorąc pod uwagę fakt, że jest to pierwszy, po latach, tego rodzaju konkurs w regionie.

Jury pragnie również zwrócić uwagę na celowość organizacji konkursu poetyckiego rozpisanego wśród uczniów szkół średnich w województwie podlaskim i sugeruje, by był on kontynuowany w latach następnych – przy być może nieco zmienionej formule oraz zdecydowanie bardziej intensywnych formach promocji konkursu.

Białystok, 16. maja 2007 r.

Dawid Klepadło

Lato '06

Czas błędzących palców

smak ust
Twych
Naszych

Zapach ciał
cichy krzyk
niemych piosenek

przykryci kołdrą – nocą
wrywamy skrzydła ceniom

świt zmywa z nas grzech

Lepszy świat

Filozofia
Mieści się w popielnicy u starego bibliotekarza
A anioły handlują organami na warszawskim bazarze
Ludzie pracy niecierpliwie
obgryzają paznokcie
czekają
kiedy
władze uchwalą prawo dżungli

piętnastolatka
puka do drzwi koleżanki
oddając pożyczone akrylowe paznokcie
(szczęśliwa opowiada że ma już to za sobą)

a dzieci jak to dzieci
w Mc Donaldzie przerzucają się hamburgerami

nikt nie ogląda wiadomości
na co komu puste statystyki:
pan i panna Nikt
popadli w depresję
obywatel K.
podcina sobie żyły

poszukują drogi do lepszego świata

Smutna historia miłosna

Wiosna
załała skroń

spragnionych
komarów
wyssane
palce

między
krzewami
zakopane słowa

tęsknię za archaizmami
ze słownika naszej miłości

nagle wyszeptałaś:
„kiedyś tu wrócę”

czekam

Katarzyna Paulina Perkowska

* * *

w zatłoczonym autobusie
te same twarze
nieznanych mi dotąd
w wyobraźni maluję na nich
wszystkie kolory ciepła
są cichym płótnem
pogodzonym z pędzlem

z kolejnym przystankiem
mieszam farby
i oto mam nowe portrety
z zadowoleniem wycieram ręce
o wytarte dzinsy

wychodząc zapominam o stopniu
wylewając odrobinę czerwieni

* * *

klasztorne zioła
zbierane przez miłych braci
współweselą się
przy koncercie świerszczy

tak pnąc się wokół nóg w sandałach

wyciągają wysoko listki
łaskoczą skrzydła ptaków

wszystkie

konkursy

gorzkie piołuny
waleczne pokrzywy
spokojne melisy
błękitne chabry
tańczące na wietrze czarne bzy
obietnice pocałunku- jemioly

zasuszone w kartach modlitewnika

nawet korzenie w wilgotnej ziemi
zmartwychwstają
z pomocą silnych rąk

o właściwej porze
dzwonki konwalii ustępują
dzwonom z wieży
wzywając na jutrznię

* * *

za przydrożną kapliczką
skręcam w lewo
już z daleka słyszę
szum starych brzoź
w ten sposób witają mnie
gubiąc kilka liści

gdy zbliżał się front
krwawe krople żywicy
spadały na ziemię
tuż pod nogi żołnierzy...

wbiegam na schody
w sieniach czuję
znajomy zapach domu
to w jej oczach widzę
cień tamtych lat

wtedy na rynku
 dwadzieścia dwie pary oczu
 w których nie było już miejsca na strach
 przedarły się przez gęsty dym
 w nieznaną stronę

babciu
 mówię

Katarzyna Micleszko

zmierzch kukiełek

trzeba iść dalej
 włożyć do szuflady
 zdmuchnięte już
 końce
 marzeń

spójrz na
 te kryształki cukru nad głową
 gwiazdy z nieba
 które tylko ty znałeś
 każda miała
 swoje
 imię

było
 przed tą granicą
 Jeden i Osiem

kartonik ze zdjęciem
 sumienie odpływa
 w puszcze zawrotów
 głowy

ciepła moneta w
dłoni
nowa kolejka
do wyścigu

zabawki szklanki wypełnionej po brzegi

kiedyś
małe
duże
imaginacje
Piętnasta Zero Dziewięć
Osiemnasty Raz
Sto lat

statek odpłynął
toną
gwiazdy
w
pyle
dnia

* * *

liście i kwiaty machają
na
pożegnanie

za szybą tańczą
drzewa
obrót
za
obrotem

gdy słońce z sykiem
na krańcach
płonie

z betonem zlewasz się
w
jedno ciasto

niebotyczny system
stali i szkła
otwiera
zimne ramiona

Ergo sum

na białej sztaludze
tuliłam ołówek
w tym czasie farby
płynęły przez palce
lepkim strumieniem
wsiąkałam w płótno
innego świata

Dorota Perszko

* * *

Tak dziwnie,
nieładzko
patrzę w niebo...
jakby już było moje.
Zastawiam drzwi,
blokuje zamki,
by przypadkiem
cos się nie zmieniło.
Usiadłam na baczność,
żeby nie przegapić miłości...

konkursy

Wzrokiem maluję
na niebiesko
zielono
szaro
moją wyłączność...

* * *

Wypisz mi miłość w tabletkach
abym nie umarła z jej niedoboru,
wskaż na mapie,
żebym dróg nie pomyliła.
Podaj przepis... tylko książkowy
abym nie przesadziła w składnikach.
Narysuj plan, trzy rzuty, profil...
oby się nie zachwiała ta miłość.
Wszystko gotowe...
tylko jej wciąż nie ma...

* * *

Nauczyli się mówić
Dlatego wciąż nie mogą się zrozumieć.
Budują wieżę Babel,
To chyba tradycja...
Latają w przestworzach,
Choć dziury w ziemi robili...
I nie wierzą,
Że pióra pływają po wodzie...
I nie czują,
Że wosk parzy w stopy...
Wierzą, że dotrą.
To nic, że trup zasłał im drogę...

Karolina Glińska

Chwila

Na plaży we dwoje
w koszu schowani
niemi i głusi – zakochani.

Nie przywołuj ma duszo
wspomnień do pamięci.

Pozostańmy tam na zawsze
w głuchocie i bezruchu zakłęci.

* * *

Kreśliśmy kredowe chmury
– na chodniku.
Stąpaliśmy po niebie.

Teraz już tylko to serce zostało
– w betonie.
Przy studzience na Mickiewicza.

Patryk Gawrychowski

Zaskoczenie

Znaków i pojęć świat mnie przykuł,
Skostniała prawda w chłodzie zdań,
Lecz szept mnie przeszył: „Lunatyku!
Przebudź się, ocknij, z próżni wstań!”

Jak w blask spod śniegu kwiaty wschodzą,
Ja wschoǳę z stosu czarnych cyfr.
Szyba ostatnią jest przeszkoda,
A za nią dziwny świat- jak szyfr.

Bo oto wieczór w kulę światła
Swą fioletową ręką tłukł,
Aż kula w drzazgi się rozpadła,
Które spadają mi do nóg,

Które skapują z nieba na łąki
W łapczywe usta niskich ziół.
Každy błysk w inny kąt się zbłakał,
W inną się ciszę každy wsnuł.

A łąka drzemie- lampart cichy;
Złociste pręgi ma, a sierść
Zieloną. Chrzęstem świerszczy prycha
I sam łagodny jest jak świerszcz.

Zmierzch się potoczył, w ciemność plusnął,
Ostatni refleks w trawie zgaśł;
A noc to jest już inne gusło!
Noc... czarodziejstwo niemych gwiazd.

Skulone w pustce przed wieczorem
Z pól się podniosły jasną mgłą;
Nie zniewolone w gwiazdozbiory
Samotne, srebrne gwiazdy drżą.

To wszystko wielkie jest kadzidło
I przypadkowy okiem gest
Wystarczy- z worka wyjdzie szydło,
Wszystko się stanie, jakim jest.

Bo za tym dudni miast orkiestra:
Dymy, krzyk syren, beton, gaz.

I ogień jak świerszcz gra na deskach,
Trzaskaniem głuszac ciszę gwiazd.

Bo tam się zrywa tynk jak skórę,
Pięścią wybija oczy szyb.
Z żelaznej gleby rośnie w górę
Łuny czerwony, straszny grzyb.

Między tym ja – na ostrzu noża
Układam w szachownicę dni.
Ty zbaw mnie, nieobecny Boże,
Od duszy, która we mnie tkwi.

Dobranocka

Czas ust bezradnych do krwi zagryzania
Zrobił twe oko jaskrawym jak księżyc,
Więc dziś przebrzmiałe matactwa odsłaniasz,
Więc znasz już nici, z których tkano więzy.

Zasiedli przeto przy okrągłym stole;
Przy Lancelocie śmiał się zdrajca Mordred,
Lecz zbrakło maga z siwizną na czole,
Zabrakło króla zwierzchności pokornej.

Ale radzono! Ujawniano śmiało
Sprytne trybiki ukrytego kłamstwa,
Które w świadomość ludu się wkładało,
I które nagiąć miało do poddaństwa.

Już małe dzieci śliska dobranocka
Skrycie łamała w sposób podświadomy;
Naiwne główki maglowała do cna,
Bo Miś Uszatek miał kubrak czerwony,

A wdzięczny kurczak wieloznacznym młotkiem
Uderzał w gwoździe, przybijając listwy,
Bo czarnobrody zbój oczy miał słodkie,
Kiedy odcinał trzos kapitalisty.

Myśmy przejrzeni ukryte symbole,
Wasza przebiegłość już nas nie oszuka.
Dlatego tutaj, przy okrągłym stole,
Będzie się Polska kształtowała druga.

Zapamiętamy wasze chytne sztuki,
Będziemy o nich mówić do znudzenia
Dla was na hańbę, dzieciom dla nauki.
Niech prawda świeci, niech się rozprzestrzenia!

Będziemy o was opowiadać więcej,
Niżli o sobie. Gdy Naród zapłacze,
Lub gdy się wzburzy, dobrze brudne ręce
Wytrzeć o Misia czerwony kubraczek.

Drgnięcie

Tyś jest płomykiem, co moja
Zaparza krew jak herbatę
I chłodną wodą ze źródła,
Kojącą barki skrzydlate.

Ty jesteś nieba witrażem-
Tęczą z powietrza drzazg jasnych-
Więc światło na mojej twarzy
Ma w sobie magię... i gwiazdy.

Ty mi się wśniłaś we włosy,
W palce wspiewałaś melodią;
Jesteś jak złoty niedosyt,
Lub księżyc nad filharmonią.

Sylwia Rząca

Lucius Domitius Ahenobarbus

Filii magni de Roma
nie przybyłem rządzić wami
bo ponad wszystko kocham dźwięki lutni
więc kiedy gram na niej wzruszam się i płaczę
a śpiew mój jest ptakiem
który szybuje nad dachami imperium.

Tutaj w pałacu panuje marazm
dlatego oddałem władzę w ręce Seneki.
Każdego ranka zaprzęgam rydwan.
Gdy pędzę szybko wiatr smaga mi twarz
rozwiewa włosy
dopiero wtedy czuję własną potęgę.

Filii magni de Roma
nie będę dobrym cesarzem.
Na tron posadziła mnie Agrypina
mam także mordercze skłonności od dziecka
nadużywam alkoholu
z kobietami postępuję nieprzyzwoicie.

A nad ranem
gdy męczą mnie sny o rządzeniu
ja – jutrzienka
ja – zorza
ja – brzask różany
szepciem powracam do łona matki.



Konkurs Poetycki

Majowej Konwalii

Otwarty Konkurs Poetycki „Majowej Konwalii” organizowany jest przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Wasilkowie od 2005 r., odbywa się on w ramach Dni Wasilkowa, pod Honorowym Patronatem Burmistrza Miasta. Celem organizatorów jest inspirowanie ludzi utalentowanych, stworzenie możliwości prezentacji dorobku poetyckiego oraz konfrontacja twórczości poetyckiej.

Nasze konkursowe przedsięwzięcie w roku 2006 wsparł finansowo Zarząd Województwa Podlaskiego oraz Burmistrz Wasilkowa. Wydaliśmy tomik poezji „Z ziaren słów...” zawierający utwory laureatów i uczestników Konkursu z lat 2005-2006. Oceny wierszy zarówno w I, II jak i III edycji konkursu dokonało szacowne jury, w skład którego weszli: Pan Jan Leończuk – poeta, tłumacz, dyrektor Książnicy Podlaskiej, Ksiądz Ryszard Kotkowicz – poeta, proboszcz Parafii p.w. Najświętszej Maryi Panny Matki Miłosierdzia w Wasilkowie, oraz Pani Małgorzata Rokicka-Szymańska – kierownik Biblioteki Powiatowej. W III edycji do jury dołączyła Pani Irena Grabowiecka – prezes Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, która była również redaktorem tomiku wierszy „Z ziaren słów...”

Pozwolę sobie przywołać garść wspomnień z poprzednich edycji.

Mottem konkursu w 2005 r. były słowa Kard. Stefana Wyszyńskiego „*Człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za uczucia, które ma dla innych, ale i za te, które w innych budzi*”. Wiersze były zatem przepełnione zarówno miłością do bliskiej sercu „małej ojczyzny”, jak i uczuciem do drugiego człowieka.

Druga edycja Konkursu nawiązywała do słów Ks. Jana Twardowskiego *„Wierszę ocalają to, co podeptane. W dobie komputerów i techniki objawiają się jako coś ludzkiego, serdecznego, co nie jest zatrute nienawiścią, złością, sporami. Wnoszą ład i harmonię. Odkazują dzisiejszą rzeczywistość”*. Odnieśliśmy się do roli poezji w ulepszaniu dzisiejszej rzeczywistości, do jej uzdrawiającej i dobroczynnej mocy.

W roku 2007 motto stanowiły słowa Ryszarda Kapuścińskiego: *„Podróż po świecie to wędrówka od prowincji do prowincji, a każda z nich jest samotną i tylko dla siebie świecącą gwiazdą”*. Utwory konkursowe nawiązywały zatem do podróży – tej dosłownej, emanowały obrazami pięknej i tajemniczej przyrody, niesamowitych miejsc; jak i podróży w sensie metafizycznej wędrówki myśli i uczuć.

Konkurs miał zasięg ogólnopolski, cieszył się dużym zainteresowaniem. Idea „poetyckich potyczek” pod hasłem „Majowej Konwalii” spotkała się z serdecznością i wsparciem Burmistrza Wasilkowa, członków szacownej Komisji Konkursowej i wielu innych osób.

Elżbieta Kisło
– dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Wasilkowie

Wybrane wiersze laureatów III Otwartego Konkursu Poetyckiego „Majowej Konwalii” maj’2007.

Anna Piliszewska – Wieliczka
I nagroda

* * *

tam gdzie kończy się świat
i zakręca
wąska pylasta droga
ze szramami kolein
świętek bosi przystanął

z twarzą skośnie splekaną
obróconą
w stronę koślawych chat
tam za garbem – pagórem
Tan za łanem
kartofliska wpisane w
złocisty krajobraz
i naraz
senne światło
smugami się kładzie
snuje się ugorami
przyklęka na miedzy
a starcy zapewniają
że umierać pora
a potem
drzemią w sadach
pewni własnej wiedzy
a Bóg
znów marszczy czoło
i z chmur się wychyla
dziwny cień upuszczając
na śliwy i grusze
a anioł
się rozhuśtał na nitce pajęczej
puszcza oko świątkowi
licząc
ludzkie dusze

Święta przydrożna

stoi Święta Przydrożna
w pstrej aureoli
ptaków komarów ostów
pod żółtymi kiściami
czeremchy
z krzywym parasolem
wybująłych pokrzyw

i wiekowego bzu
 co skręconym korzeniem
 przenika
 kruche ściany
 kapliczki
 u stóp której świecą
 bezcenne klejnoty –
 rosa fiołki i piołun
 ponad głową Przydrożnej
 w przedziwnej harmonii
 giez meteor i motyl
 a kapuśniak
 wraz z wiatrem
 wydzwania kantyczki
 i zagłada w okienko
 przez czerwień
 witraży tarmosi
 liche daszek
 ściekając po gontach
 aż się Świętej Przydrożnej
 łoża toczy po twarzy

Izabela Grelowska – Kraków
 II nagroda

Lipowe kapliczki

od podziemi i piekieł do samego nieba
 ciągną soki lipowe- chmury karmi gleba

sycąc śpiewem zielonym liści mamrotaniem
 wraca co z dawna prochem było i skonaniem

płyną pniową doliną raz wyklęte cienie
 modlą się jak umieją o swoje zbawienie

przed każdą napotkaną drzewianą kaplicą
zaglądając w Chrystusa frasośliwe lico

zaklinając na jego wiekuiącą mękę
prosząc o łaskę każdą lipową Panienkę

której jeszcze rzeźbiarza nie dobyło dłuto
z pnia nieskalanego żelazną pokutą

a wszystkie te Chrystusy wszystkie te Maryje
błogosławią poszumem wszystkiemu co żyje

i temu co umarło co się nie zrodziło
i temu co jak one – nie istniejąc – było

Brzoza.

rozmarzona myślałam o tym że to miłość
o brzozę się oparłam ale pnia nie było
gładkie nuty gałązek białe kartki kory
oszukały mnie palce zmyliły kolory
a choć na mchu stanęłam to pode mną skała
stopy mi skaleczyła i w mgłę się rozwiała
i tak już pozostałam w bezbrzoziu w bezziemni
tylko cienie dostrzegłam – potem nawet cieni

Małgorzata Siemieniuk – Łapy III nagroda

Nie plujmy na swe gniazdo

Istnienia ludzkie piaskiem przysypane,
odcięte szpadą czasu, prochem w nicość legły.
Niech prawda o przeszłości nie będzie zdradzona,
nie będzie zdeptana, choć czas to odległy.
Znikają kurne chaty, niegdyś strzechą kryte,

wspomnieniem są wiejskie tłoki i piękne obrzędy.
 Zanika czar polskiej mowy, gdyż na każdym kroku
 zaciskają swą obręcz obcej mody trendy.
 Nie dajmy zniszczyć ziemi, gdzie tkwią korzenie nasze,
 nie plujmy na swe gniazdo, na orła w koronie,
 niech słowa nasze staną się chlebem powszednim
 i treścią dnia codziennego.

Wiatraki

Chociaż kusi nas widok NIKE z Samotraki
 nowojorskie wieżowce, obce niwy, gaje
 jednak droższe ponad wszystko są POLSKIE WIATRAKI
 takich nigdzie nie znajdziesz, zwiedzając kraj nad krajem.
 Wiatr gwizdże w starych skrzydłach, wspomina dawne czasy
 gdy żarna mełły mąkę, krzyk ludzi, rżenie koni,
 chleb wiejski na ręcznikach, matczyne pocałunek,
 ktoś gdzieś w oddali wołał „do broni, do broni”
 A teraz cisza, spokój, śpią prastare dzieci
 łąki pokryte mleczem a lasy wrzosami,
 bociany tną przestworza, myśl draży sumienie
 jesteśmy jak więźniowie pomiędzy wiekami.

JULIAN

DWORAKOWSKI

Żniwo

– Prawdę mówiąc – pomyślał sobie pan Jan – napatrzyło się w życiu, nasłuchało, że drugie życie można by tym obdzielić. – Oczami przemierzał niebieskie przestworza, z dobrą ciszą w sercu spotykał wzrokiem kopułę pastelowego błękitu. Słońce stało w zenicie. Przygarbiony, spuścił oczy ku ziemi, lecz patrzył teraz w siebie, ku odległym obrazom, w otchłanie pamięci. Wzruszył ramionami, wiedząc, że pod taką gwiazdą urodzony i na podobnej gwieździe przyszło mu żyć. – Przecież to iskrzące się złoto dookoła – uśmiechnął się, objąwszy oczami władztwo nad dojrzałymi zbożami, bo lśniły mu w sercu radością.

Kłosa wypełniały się jak prorocтво; ujął w dłoń kilka, ale ich nie zrywał, bo wypełniły się swym proroctwem: tak szczegółowo mówiły mu o ziarnie jego oczy i palce.

– Najlepszy artysta nie dorówna temu, co widzę. On przecież tylko czerpie z natury – zauważył i niepostrzeżenie zaczął utożsamiać się z malarzem, w gruncie rzeczy różnił się z nim. – Malarz nie może wyjść poza ramy natury, a dłonie ludzi, ich ramiona stały się ramami dla tego, co przede mną było, jest i po mnie nastąpi. Dobrze się stało, że tak daleko siebie zapędziłem. Nie zaszkodzi podrapać się po myślach; zawsze to lepiej niż drapać się w głowę – sam przed sobą tak się usprawiedliwiał i pochwalał siebie za myśli dalekie i bliskie.

Doceniwszy w ten dość niepospolity sposób pracę wszystkich pokoleń, znowu począł snuć porównania, z których urodzajna ziemia i trud człowieka wciąż wychodziły zwycięsko wobec wszystkich

arcydział pędzła. – Obraz to rzecz skończona, zamknięta. Nawet przy najpiękniejszym ktoś przez chwilę, choćby i długą, postoi. A ten dookoła ja też ciągle stwarzam, maluję, i całe szczęście, że nie dane mi go zakończyć... – Myśli wiązały się w bukiet, że już, nimi zajęty, nie dostrzegając maków, żóltuchy, powoju ani ostów. Nic w tym nie było dziwnego, bo z konstelacją barw i zapachów, z szumem roślin zżył się jak z powietrzem.

Cały urodzaj miał przed sobą. Chłonał pełną piersią, głębiej niż tylko oddechem, i zamyślane brzozy, i brzęczenie pszczoł, całą potęgę woni i całą urodę świata. Lekko mu było i nie odczuwał tych blisko dziewięćdziesięciu kajdan, jak nazywał minione lata, które próbowały wiązać mu nogi. – Zawsze to lepiej rozpuścić nogi i ręce po swoim niż język po cudzym, czy łąpać słodźić w cudzym i niedźwiedzią przysługę sobie wysapać – przeszło mu przez głowę.

Patrzył na łagodny, spokojny uśmiech pól i na niebieskie oczy w nich, beztrudnie spotykające się z jego oczami.

Nad polami miękki podmuch zakotyssał kłosami. Odkąd sięgał pamięcią i dokąd sięgały opowieści, zawsze w niedzielę po sumie, tuż po obiedzie, gospodarz powstawszy zza stołu, śladami przodków obchodził pole, zwłaszcza przed żniwami.

Wielkim czy małym zapowiadało się żniwo, on czuł się robotnikiem.

Na skraju lasu zaniósł się kaszlem, aż odgłos zza drzew powrócił do niego. Przystanął, zapatrzył się na przygarbioną jarzębinę... Zobaczył twarze sprzed lat, kosiarzy, zbieraczki, powrozy słomiane i snopy, wozy drabiniaste z końmi i dzban z wodą, a w nim skórkę razowego chleba. Pamięć z wyobraźnią splotyły się jak nigdy. – Pewnie i ona zapłacze jesienią tymi czerwonymi oczami za tym, co przeminęło. Alboż ona nie myśli, nie czuje – tak szukał w zgiętej jarzębinie duszy upodobnionej do niego.

Niepostrzeżenie garście zżętego zboża składał w snopy, a te zestawiał w kopice zwane dziesiątkami. Potem wszystkie układał na furach, a z nich – pełne stodoły i spiczaste stogi na złotej połaci, w odległym czasie, w wyobraźni, jak ów malarz na płótnie. – A teraz, a teraz... – kołatała niezborna myśl – a teraz... – Ochłonał powoli, choć wciąż miał w oczach dwa piętra pól z tą samą roślinnością: jedne sprzed lat i te obecne. – No tak, ale gdzie „Pochwalony...”, gdzie „Panie Boże, dopomagaj!”, przyśpiewki, radość w pracy i z pracy? Wypłoszyły się jak ptactwo i zwierzyzna. Do skansenu. Tam mają swoje gniazdo. Dobrze i to – westchnął. –

A kto dziś zaczyna robotę od znaku krzyża? Od kamery żniwowanie – ubolewał. – Już młóci językiem i przed żniwami... Bursztynowej Komnaty nie odnaleźli, ale gabinet Bieruta już dawno wyorali. Wiedzą już o tym, tylko po imieniu nazwać nie potrafią. To taki pekawunen opačkany sztucznym miodem. A co, nie mam racji? – denerwował się głośno. – Tak kombinują, czy tak kombinują, wyjdzie na owak. Uroczyste rozpoczęcie żniw... na 22 lipca. Sam widziałem ostatnio, jak szklane bóstwo „błogostawiło” i popędało. Farba łuszczy się, a podkład moralny, jak widać, ten sam tych już później urodzonych – wyraźnie rozdrażniony, półgłosem odpędał od siebie gorzkie myśli.

– Dziś dziecina nie zadrapie nożyny na rżysku; tylko patrz, jak pogardzi bułeczką... chowa się dobrze na wymaganiach. Na suchym chlebie i wodzie człowiek nauczył się myśleć zdrowo – uspokajał siebie, nie czyniąc nikomu zarzutów, ani pochwał dla siebie nie mając.

Przysiadł na trawie, bo ciężkie myśli przygięły go aż do ziemi. Posmutniał, bo długo myślał o tym grochu i tej kapuście, w które zaplątali się ludzie. Tak określał lata zielone ostatnio, lecz według jego oceny mało użyteczne. Przekreślił się na bok i twarzą przylgnął do ziemi jak do piersi matki. Jedna i druga były mu żywicielką. Widział rysy twarzy matki, tej, za którą jako dziecko ciągnął w pole. Teraz z ziemią i z matką pierwszy raz rozmawiał jednocześnie, zupełnie inaczej niż dotychczas, i napełniało to go cichym szczęściem.

– Nie jest ze mną tak źle, trzymam się dobrze, skoro pamiętam twarz matki – a twarz matki zlewała się z twarzą ziemi, i ta dziecinna twarz jego, i ta starcza, poszły za nimi w parze.

Leciutki chłód szczypał go po ciele, gdy ocknął się pod wieczór. Może rozmyślał, a może przysnął i takie myśli wypełniły jego sen, a może jedno z drugim się zmieszało; nie potrafił tego rozgraniczyć.

Przy ziemi ciągnęły się dwie strugi woni, mieszając się ze sobą. Od lasu powiało zapachem igliwia i żywicy, a od strony pół niosło wysuszonym ziarnem, spieczonym na słońcu, jak zapachem tylko co upieczonego chleba z otwartego pieca.

Wsparł się na łokciach i usiadłszy, znów się zamyślił. Przypomniał mu się dom z dzieciństwa i piec chlebowy. Usta miał przejęte pragnieniem wody z razowymi chlebowymi skórkami, a myśl o tym wraz z wyobraźnią stały mu się dzbanem. – Żeby tak jeszcze zaprzężony wóz drabiniasty, bliscy i znajomi w lnianych koszulach – zate-

sknił. Powstał i ogarnął spojrzeniem całą dostojność pól aż po widnokrąg: – I u pani Elizy nie było piękniej niż tu – pomyślał, przypominając, jak w odległej młodości zimową porą w drobnych literach odnajdował przestrzenie jasnego lata. – Albo to aż tyle kilometrów od owych pól książkowych? – zapytał sam siebie. – Nie. Tak jakbym tam stał albo mnie tu przeniesiono. Ale gdzie są ci ludzie, jak byli na tych polach jeszcze niedawno? Coraz ich mniej, coraz mniej... Może za rok tu przyjdę, może przez dwa lata przekartkuję te pola po swojemu...

Spojrzał na ślad odcisnięty przez niego na trawie; patrzył, jak ów nietrwały wizerunek niknął, zamazywał się, ginał...

To jest moja twarz, plon mego życia – westchnął aż gdzieś z głębi duszy.

Z lekkiego wzniesienia osuwał się ku dolinie, ku łąkom.

Powrócił do siebie i wracał do siebie.

IRENA SŁOMIŃSKA

Adekwatne

– Wyobraź sobie pokój. Gęsty od cienia nakładającego się grubymi warstwami na ręce, tropiącego kontur nosa wmontowany w zapamiętane tło włosów. Tak to się zaczyna zwykle. W zamkniętej czworokątnej przestrzeni, czekającej na nagły wybuch dotyku. Ciepło każe zapominać o pustce. Wyobraź sobie, a potem wyjdź w fotomontaż krajobrazu nasyconego zielenią. Taką drogę przemierza zwykle zasiedziała wyobraźnia czyhająca na to, co adekwatne.

To był popis. Kobieta wyciągała rękę i tropiła ślady światła na skórze rozrzucone nieregularnie i stonowane z drapieżnym wahaniem głosu. Próbowwała być. Odbijała się w oczach i z satysfakcją przygryzała wargę. – Wyobraź sobie...

A przecież wszystko zaczęło się zwyczajnie. Są rodzaje urlopów dla nikogo, beznamiętnych anonimowych trwał w oczyszczonym powietrzu znad jeziora X. albo Z. Gorączka plaży nie zagarnia sobą do końca spoconego ciała, a obrazy zachowują pod powiekami fioletowy, senny kształt. I tylko na zasadzie trwania kształtu zewnętrzna magia stapia się z oczekiwaniem.

Pierwszy dzień. Słońce wspina się na grzbiet nieba i przenicowuje rozpostarte ciało promieniami. A w uszach napina się krzyk. Może oszołomione cierpienie chwyta po omacku zewnętrzne i pakuje je do jaźni – i przychodzący człowiek nie musi się opisać gestami, staje nagi na pograniczu cierpienia i przerasta fikcją. I to nieważne, że kiedyś kobieta miała osiemnaście lat i nie umiała pływać, lubiła zabawę w koty i przestrzeń w mózgu otwartą na to, co ma nadejść i nadejść nie może.

Ten nadchodzący to chłopak. Zwyczajny. Ani specjalnie przy-
stojny, ani interesujący. Oczy patrzą zbyt otwarcie, żeby wierzyć;
i sakramentalne cześć nie rozwiązałyby żadnej innej sytuacji. –
Cześć – mówi – jesteś jak z Rubensa – ruda, a ja lubię pasjami rude
koty. Passjami – deklamuje i odrzuca do tyłu włosy trochę długie
i wypalone. – Cześć – odpowiada kobieta, próbując wyłowić w fiole-
cie zwyczajne – podoba mi się.

– Gdyby nie to, że Jadźka nie dopisała, nie spotkalibyśmy się –
cedzi chłopak, mieszając ręką piach gęsty jak glina, jest przywykły
do budowania pod palcami form nieistniejących. To takie mityczne –
myśli kobieta. Fatum. – Idź się kąpać – mówi – popatrzę. Lubię cyrk
i muskularne konie. Chłopak podnosi się i już jest w wodzie poza
zasięgiem wzroku. – Wyobraź sobie pokój... – mówi kobieta, bo wie,
że już jej nie słucha, że stopił się z siwą materią wody. I że wróci i że
nie będą mieli o czym rozmawiać, bo on akurat nie lubi Mandelszta-
ma, a „Dzikie palmy” Faulknera są mu obce. I kobieta wie, że obce
zaczyna się gdzieś poza samym Mandelsztamem, ponieważ zapisane
zostało też we wnętrzu jego wierszy.

Tak się powraca – myśli kobieta – do ciepłego trwania embri-
onu we wszechświecie zamkniętym jak koło. Nie dziwi się powrotowi
chłopaka i temu, że patrzy na nią jak na obcy, nierozumny kształt,
który trzeba tresować do specjalnego rytmicznego ruchu mięśni pod-
ających się i opierających powietrzu. – Wstań – mówi – pobiegamy,
to znaczy pobiegniemy sobie brzegiem wody, tam... Macha ręką
i znowu niepotrzebnie odgarnia sobie z twarzy natrętnie włosy. – Co?
– pyta kobieta i przewraca się na bok, żeby złapać trochę tchu i ko-
niecznego cienia. – Jak chcesz – mówi, podnosi się leniwie, znowu
siada. – Nie.

– Wiesz, spotkamy się dziś wieczorem – prosi chłopak. –
Tam... koło stodoły. Pójdziemy na tańce. – Dobrze – odpowiada ko-
bieta, czując na ustach piach.

Spotkali się. I było fajnie. Szaleństwo pulsowania w rytmie
ograniczonym przejrzystą konwencją ścierało pierwotność słońca
z twarzy. Ręce były chłodne. Potem było picie kiepskiego wina.
I przyszła Jadźka. – Oczy ci wydrapię, ruda małpo – mówiła bezna-
miennie, wypuszczając niepotrzebne ciało w pustą noc.

– Tak łatwo zabijać ptaki – myślała kobieta wracając do pen-
sjonatu. Czują wino we włosach i to było szczęście. Prawie.

Następnego dnia leżała pod nagim słońcem i przeżyła pamięć
jak kot, który niepotrzebnie drapał przed tysiącletnim ostrymi pazu-
rami piach.

Ofelia

Bohater Alojzy Z. wzbierał codziennie nocą – rzeka tłuszczu rozlewała mu się ciepło pod skórą. Czuł przyjemne wypełnienie ostrych konturów ciała materią szlachetną, wzbudzającą poczucie ciągłości istnienia. Nawet bohaterstwo wydawało mu się problematyczne – dzikie wyrwanie się ze spokojnego, fascynującego, wszechogarniającego falowania.

W taką noc nie miewa się snów. I dlatego to, co się zdarzyło bohaterowi, z najróżniejszych przyczyn, a przede wszystkim z powodów psychologicznych, musimy uznać za rzeczywiste. Otóż w rzezoną noc wdarła się do pokoju Alojzego Z. kobieta. Było to nad wyraz nieprzyjemne – coś, co wdiera się przemocą w przyjemne falowanie wszechobecności, w intensywny spokój ducha, w filozoficzną kondensację świata. To wybryk kardynalny, chuligaństwo, za które sądzić powinni, tak, sądzić – zazgrzytały w panu Alojzym resztki kantów.

Kobieta była mizerna, trochę młoda i dostatecznie kanciasta, żeby rozbić sobą nagromadzoną wokół pana Alojzego otoczkę ciepła.

– Panie, niech mnie pan ratuje – wrzasnęła dziko i panu Alojzemu wydało się, że jest niedostatecznie ubrana. Kant biodra jakoś ostro nacierał na wydatny brzuch filozofa.

– Ależ proszę pani, co się stało?

Kobieta z trudem chwyciła oddech. Powiedział więc, aby ją uspokoić:

– Proszę panią o spokój, odtwórzmy fakty.

– Co odtworzyć? Ależ ja nie chcę niczego odtwarzać. Panie, ja już mam dość, ja już nie chcę niczego odtwarzać.

– Nigdy się nie ma dość – rzekł filozoficznie pan Alojzy. – W dążeniu do prawdy nigdy nie należy zbaczać z wybranej drogi.

– Zimno tu – szepnęła kobieta. – Czy mógłby mi pan zrobić herbaty? Może być z rumem – dodało spostrzegając popłoch na twarzy filozofa.

– Hm, herbaty... – chrząknął pan Alojzy, wyobrażając sobie skomplikowaną procedurę nastawiania wody i mycia brudnych szklanek. – To może już sam rum – dodał, wyciągając butelkę spod łóżka.

– Niech będzie – zgodziła się kobieta – byle szybko. – Spraw-

nie wychyliła pół szklanki. – Posunie się pan. Chcę spać.

Ależ pani jest cała mokra. Co się stało? Może trzeba zwołać policję. – Pan Alojzy był skonsternowany. – Nigdy w życiu nic podobnego mi się nie zdarzyło.

– Nie, nie trzeba. Co by mi z tego przyszło? Jak znajdą Hamleta, to już na amen będzie po mnie.

– Co? Kogo? Nie rozumiem – wysapał pan Alojzy.

– Ależ pan nudny. Jak długo mam wyjaśniać, że już niczego nie chcę odtwarzać? Gwiżdżę na to, za żadne pieniądze. Nie chcę i już! Pewnie byś pan chciał mi tu i ówdzie kwiatki... i śpiewać. Co za chryja! Chociaż jak pan chcesz, to i zaśpiewać mogę: „Góralu, czy ci nie żal...”

– Proszę panią bardzo, niech się pani uspokoi. Co sąsiedzi pomyślą?

– Nic nie pomyślą, bo ich zaleje. Panie, panie, to Hamlet... Nie widzisz pan, że zalewa. Już po kostki wody... Ale granda!

– Co... co... co to jest?! Albo mi pani powiesz dokumentnie, co i jak, albo wynoś się! Całe mieszkanie mi zalała!!!

– No, zabierz pan te ręce! Na odległość, spokojnie, bo strzelę! Kto ja jestem? Jestem Ofelia. Skąd się tu wzięłam? Bo odtwarzałam. Utopili mnie w tamtym mieszkaniu i przepłynęłam przez ścianę. Wiesz pan, jakie dzisiaj budownictwo? A reszta też trupy – i ojczulek i pewnie ichni Hamlet, co to się z takim trudem nadział na rożen.

– Ależ to niemożliwe – wyszeptał pan Alojzy.

– That is a question – odparła filozoficznie kobieta.

BARBARA

LACHOWICZ

Odejście Wiktorii

Śmierć krążyła wokół chaty, ale nie zdecydowała się na wejście do środka. Dym z komina ciągle jeszcze dawał znaki o życiu Wiktorii. Wił się wokół korony rozłożystego dębu, który jej starszy brat zasadził w czasach swojej młodości. Dym i dąb jakby wiedzieli, że tym razem Wiktorii nie wywinie się od niej swoim uporem, optymizmem, żartem. Strój na ostatnią drogę zawinięty w foliowym worku Wiktorii zabrała już z kuferka, który stał dotąd pod stołem i umieściła na dnie szafy. Obmacując, stwierdziłam, że dokupiła jeszcze czarne półbuty. Pamiętałam, że w czasie, kiedy krawcowa szyła suknię, może to było dwadzieścia lat temu, a może dawniej, Wiktorii była kobietą średniego wzrostu i słusznej budowy, o dużym poczuciu humoru. Nie pozwalała jednak na żarty z przygotowanego zawczasu stroju, jakby rzecz ta była najwyższej rangi.

– W to masz mnie ubrać, taka moja wola! – mówiła stanowczo.

– Ależ ciociu, zobacz, jak się zmniejszyłaś... Kupię ci nową suknię. Teraz są takie piękne. Na przykład, liliową z białym kołnierzykiem i biały szal z koronki...

– Ani się waż! Życie moje było smutne to niech i suknia będzie taka. Włóżysz mi pod nią prześcieradło, podsuniesz pod plecy fałdki, jak będzie za szeroka, a podłóżysz, jeśli za długa.

Zgodziłam się dla spokoju, a cała sprawa została odroczonej na kilka kolejnych lat.

Tej nocy nie spałam, budzona kilkakrotnym wołaniem o pomoc. Poprawiałam poduszki i tę odrobinę ciała, która jeszcze pozostała, smarowałam maścią maleńkie plecy, skórę napiętą na wyrostkach kręgosłupa. Coś mówiła – nie rozumiałam, mówiła bełkotliwie...

– Wiesz, widzę tu jakichś ludzi, krążą koło mnie. Mają wydęte usta i wielkie oczy. Gapią się na mnie... Mówiła całkiem przytomnie i odpędzała ich ręką.

– Kiedy tak machnę, znikają..

Umysł Wiktorii powoli przestrawiał się na zaświaty. Mój potrzebował odpoczynku i powietrza, ucieczki, drogi przed siebie. Brnęłam po śniegu w stronę lasu. Chciałam się zmęczyć, poczuć swoje ciało, upewnić się, że to nie ja umieram. Utożsamiałam się z jej umiarem, przejmowałam je na siebie, jak gdyby to mogło powstrzymać tamtą śmierć. Samotność na drodze działała jak przykre lekarstwo. Nie była już tak dotkliwa, gdy odnalazłam ślady psów, które także upatrzyły sobie las za cel wycieczek. Oglądałam parady ususzonych traw i chwastów przydrożnych. Wyglądały nadzwyczajnie ubrane w kryształ szadzi. Zabawiałam się odgadywaniem ich nazw. „Wreszcie do czegoś przydały się – takie piękne. Kto by teraz tak sterczał przy drodze, gdyby nie one..?” Nawet to drzewko, które kryło się pod kryształową szatą, a okazało się zwykłą bylicą było zachwycające. Zapominałam o bólu...

Na skraj lasu doprowadził mnie srebrno - biały szpaler brzozek przemieszanych gdzie niedziedzie z wierzbą, sosną, jarzębiną, głogiem, osiką drżącą resztkami liści. Sterczał nawet krzak różany z kilkoma czerwonymi owocami, które uszły ptasiej uwadze. W lesie czekała cisza. Prawie cisza... Stukanie dzięcioła, ani popiskiwanie szarych ptasząt, które albo goniły się, albo dziobały coś pod łuskami sosen, nie zakłócały spokoju.

Nie wiedziałam czy po powrocie zastanę w chacie to samo. Chciałam coś przynieść z tej wyprawy dla cioci Wiktorii. Moje dzieci kochały ją jako babcię. Ona lubiła mówić o nas „dzieci”...

– Jaki Bóg dobry dla mnie! - zwierzyła się kiedyś sąsiadce.

– A czemuż to?

– A temu, bo inni mają dzieci, a na starość są sami. A ja nie miałam dzieci, a na starość je mam. Nawet nie pomyślałam, że mogę mieć wnuki, a mam i dzieci i wnuki...

Tak było. Moje dzieci bardzo lubiły nazywać ją babcią, tuliły się do niej, opowiadały o swoich sprawach, nadstawiały plecki do drapania... Zabawne, nawet niedawno byłam świadkiem podobnej czułości. Tym razem wnuczek bardzo już wyrosnięty gładził babcine plecy, żartując przy tym z jej podkoszulki z myszką Miki. Słuchałam, jak zaśmiewali się, wspominając czasy, kiedy razem chodzili do sklepu po zakupy, po pastę do babcinego zęba, albo hodowali małe kurczaczki i kacuszki na podwórku, a które chłopiec umiał zakoły-

sać na śmierć. Wielkie serce babci cierpliwie pouczyło: „Ależ, synku, tak nie można...”

Zerwałam pięć zielonych sosnowych szyszek, zaczęłam pisać na śniegu:

*Przyniosę ci cienie ziół i traw
Osrebrzonych
Pęczek jałowca ze zmarzniętą jagodą
Szyszek parę
Gotowych dać wiatrowi siejbę swoją*

*Ptasząt uroczą krzątanicę
Ślady mojej wędrówki
Ze śniegu zebrane
– zobaczysz –*

Dzięcioł kuł zapalczywie korę chorej sosny. Dwie pary szarych, czubatych ptaszków robiły swoje sanitarne zabiegi na korze i gałązkach. Brnęłam po śniegu, nabierałam czasem w cholewy, czułam mokry chłód na łydkach, chętnie skupiałam uwagę na wszystkim, co odciążało mnie od smutku. Chciałam go zgubić, ale włókł się za mną jak wierny pies...

*Jeśli zaczekasz dłużej
Jeszcze będzie wiosenny promień
Ten ci kotki wierzbowe wyluska
Odziane aksamitem
Zielenią brzozową palemkę przybierze*

Wróciłam. Wiktoria drzemała, patrzyły oczy – na wpół otwarte. Nie odeszła pod moją nieobecność. Wiedziała, że nie powinna mi tego zrobić.

Były jaszczce trzy takie dni, że życie wtaczało się prosto do żyły z podwieszanej u stropu kroplówki. Poduszki pod plecami były za twarde, jedzenie nie do zjedzenia.

– Weź, chociaż tę łyżeczkę soku z marchewki, pożywny jest...

– Chyba najadłam się za całe życie... Połóż mnie... Odpocznę...

Chwilę siedziatyśmy obok siebie. Nic nie było do zrobienia. Czas obywatel się bez zegara. Gładziłam ręką przygarbione plecy.

– Widzisz, gdybyś mnie do szpitala oddała, tam nikt by mnie po plecach nie gładził...

I niespodziewanie położyła się, jak dziecko szukające miłości,

na moich kolanach. Wtedy moje serce zmieniło się w słońce, a ręce zapłonęły gorącem. Przyłożyłam jedną dłoń do chłodniejszego ciała, a drugą prosiłam o jeszcze... o jeszcze trochę życia. A ono płynęło przeze mnie i łało się z mojej dłoni na tę starą, małą głowę.

– Teraz mnie połóż...

Po chwili wkładałam gromnicę w wydłużoną chudością rękę. Ale w tej chwili świeca nie była już potrzebna. Odstawiłam, więc ją pośpiesznie, aby zdążyć jeszcze tę dłoń uściskać za te kieliszki, które mi kiedyś gotowała obficie słodząc miłością, za chlebek maczany w cukrze... Jeszcze chciałam zdążyć pogłodzić tę twarz pociętą wiekiem nim oddech odleci... nim oczy pogasną. One patrzyły długo jeszcze na mnie, potem na Jezusa, który serce pokazuje palcem... i tak zasnęły. Teraz i ja zagapiłam się w ten Jezusowy gest, zaczynałam rozumieć więcej i więcej... Była to jedyna twarz w pod plecami izbie, której można było spojrzeć w oczy, albo jeszcze głębiej – w duszę... Czułam, że była to dusza ogromna... Teraz większa o jedną gwiazdkę...

Więźniowie Panny Marii

1.

Strach przed śmiercią jest jedynym mądrym doradcą żyjących. Maria nie miała tego lęku, myślała o śmierci z niejaką nadzieją. Dlaczego? Dlatego, że kończyła uwiązanie do tego, co jest tu i teraz. Pracowite trzymanie się tej chwili, która jest, wyczerpywała ją, jak ciągle czuwanie, jak długi dyżur na stanowisku, którego nie wolno opuścić. Rozpocząła swobodną podróż do kogoś wymarzonego, ukochanego, jakiegoś mitycznego męża czy kochanka. Ta podróż była tylko snem. Musiała być snem...

Maria była kobietą naturalną, o takiej pełni kobiecości, że inne relacje i związki niż z tym „jedynym” nie wchodziły w grę. Śledziła tę swoją tęsknotę i umierała dla niej codziennie, a ona coraz bardziej zamieniała się w mit. Mit tkwił głęboko w całym społeczeństwie wyobrażeń. Wyłaniał się z każdej ścieżki, po której wędrowała. Jego początki znajdowała nawet pod stołem z długą serwetą, gdzie w dzieciństwie odwiedzał ją wyprężony w pałąk kot. Obnosił ze sobą ogon w kształ-

cie odwróconej fajki. Był to mięciutki, ciepły, realny kot, chociaż czasem z futerka strzelały iskierki. Spotykali się pod tym stołem, jak dobrzy przyjaciele i mruzcili sobie wszystkie wiadomości zebrane z podwórka i z dalekiego świata, który kot chętnie odwiedzał. Zazdrościła mu, że nikt go przed tym nie powstrzymuje, nie karci za te oddalenia. Ani nawet za wspinaczki na wysokie drzewa. Stamtąd dopiero mogły być widoki rozległe, horyzonty większe niż pod tym stołem, niż na płaskim podwórku zasiedlonym przez kurzo-kaczogęszą gawieź.

Tęskniła wtedy za rozległą wolnością bycia sobą, jaką miał choćby kot. Pod tym względem, nawet wróble miały się lepiej, wprawdzie takie malutkie, ale lekkie i fruwać mogły wysoko. Gdyby tak je oswoić, jak kota, ileżby powiedziały. Gdyby tak mieć skrzydełka! Ale nie takie małe. „Dla mnie muszą być duże! Może te, które zostały po upieczonej w brytfannie świątecznej gęsi potrafią unieść mnie w powietrze? Gdyby tak choć nad podwórko! Chociaż nad pole sąsiada, chociaż nad sad”...

Żeby tego dokonać trzeba było umrzeć ze strachu, i w jednej chwili, tej samej, ożyć z ciekawości, z podniety niesamowitej do tego, co nowe, co jeszcze nie poznane.

Ileż w tym było zaufania, że te gęsie skrzydła w dziecięcych rączkach uniosą na dach chociaż. Tam siadywały wróble, gołębie i tam nęciły kota. Zaufanie do takiego latania było instynktem jakimś dziwnym, wymierzonym przeciw prawom grawitacji. Tej samej grawitacji, której ulegały przecież łyzy rozczarowania. Szczęście było w tym, że schły szybko, jak rosa na żdźbłach trawy.

Był to czas, w którym mity rodziły się same i same opadały w walce z przyciąganiem ziemi. Ono przez długi czas silniejsze było niż wszelka myśl.

Jak łatwo było wtedy siać w głowie opowieści o tym, że są takie skrzydła, które unoszą naprawdę, nie tylko nad podwórkiem, ale wszędzie tam, gdzie się chce. Że są takie maski, które zmieniają nas w to, czym się chce być, że można je zrobić z samego tylko wielkiego chcenia. A w tych maskach można wejść na każdy bal i zrobić karierę, albo podejść cichaczem księcia lub księżniczkę, którzy poszukują pary.

Maseczka, oszustwo takie małeńkie, a tyle szczęścia potem! Naiwna dydaktyka. Dziś Maria połykała swoje rozczarowanie. Pocałowała niewłaściwą zabę, a ta nie przemieniła się w księcia. Zgubiła pantofelek nie na tym balu, wsiadła do karocy, która jej nie zawiozła nawet pod drzwi niedobrej macochy.

Próby szukania szczęścia spełzły na niczym. Myślała z żalem, że może jej maseczka była nieszczelna, może warto było nadrobić to grą aktorską, dopasowaną rolą. Może wszystkim na raz, albo wyjściem ze skóry nawet... Może jeszcze za mało było poświęcenia?

Wszystko wrzucone w tę naiwność jasną, w to zaufanie zakodowane w instynkcie dziecka kapało teraz na podłogę zwyczajnymi łzami. Z nich miała narodzić się nadzieja. Tylko jak?

Maria czuła się więźniem tamtych mitów. Przejeżdżając ulicą Hetmańską podświadomie odwracała głowę od budynku z kolczastym ogrodzeniem. Trwało to wiele lat. Widziała, że inni robią podobnie. Takie usprawiedliwienie nie przynosiło jednak ulgi. Zauważyła na przestrzeni czasu, że zaistniał jakiś dialog pomiędzy ulicą, która dzięki inwestycjom miejskim bardzo wypiękniała, a budynkiem zakładu karnego. Pomalowano go na ciepły brzoskwiniowy kolor, także budynek administracji zmienił swój wizerunek. Bramę pomalowano na wymowny zielony kolor. Prawie była pewna, że kolor był zielony, jednak zupełnie nie miała ochoty tego sprawdzać.

Pewnego dnia postanowiła w pobliżu tej bramy zaparkować swój samochód, pokonać opór lęku związanego z więzieniem, wejść na dziedziniec. Był finałowym miejscem dla niegdysiejszego dziecka, zapomnianego pod stołem. Coraz jaśniej rozumiała swoje podobieństwo do uwięzionych. Wymyśliła, aby to miejsce nazwać szpitalem dla tych, co żyją tu po to, aby wyzdrowieć. Można by je nazwać też hotelem na ileś noclegów, aby można tu było obmyślić wybór szczęśliwszej drogi.

2.

Lepsze skrzydła od gęsich, od wróblích, nawet i gołębích, to były skrzydła anioła i skrzydła jego brata diabła. Obaj, choć wyszli z Ojcowskiego łona, zwaśnieni rzekomo, nadali sens potężnej bzdurze. Dzień miał być lepszy od nocy, suche od mokrego, ciepłe od chłodnego. Spierali się ciągle, że jest jakieś mądre, co może obyć się bez głupiego i jakieś ciche, co umiera od hałasu. A była to prahistoria, która nic jeszcze nie wiedziała o decybelach, o tym, jak mogą ranić słuch.

Wtedy to lepszemu odebrano gorsze, słabszemu silniejsze, dobremu lepsze lub gorsze. Wydawało się, że prawdą jest to tylko to, co palec dotyka, co oko widzi, co ucho słyszy, a zapodziała się gdzieś cała skala widzenia szarości i światła, słyszenia i czucia. Ta

rozcigała się wyraźnie pomiędzy Marią – kotem – ptakami. Potem pomiędzy nią i ludźmi.

Całe to złączenie przez nieprawdę obrośło wyobrazeniami i słowami o prawdzie jakiejś tajemniczej, odległej, nieosiągalnej. Wtedy nieosiągalność przeniosła się na całe otoczenie, pomiędzy Marię, mnie i ciebie, żeby zaprzeczyć, że jesteśmy podobni jak półówki pomarańczy.

Z czasem utrwaliły się przekonania, które wpędziły niektórych aż za „zęby krat”. Tu Maria ich odnalazła. Byli tacy ogłupiali, tacy samotni. Różnica pomiędzy nimi była tylko taka, że swoje miejsce przebywania nazywali więzieniem, a ona więzieniem nazywała ich sposób myślenia.

Tak zwane dobre społeczeństwo nie mogło ich ani przełknąć, ani wypluć gdziekolwiek. Wymyśliło więc miejsca odosobnienia dla tych, co lubią być więźniami swoich przekonań. Mogłoby się wydawać, że kochają te swoje przekonania nadzwyczajnie, bardziej niż wolność za murami. Bardziej niż swoje: „Mogę tam robić, co chcę, iść dokąd chcę..!”

Siedzieli więc teraz wszyscy podobni do siebie, ze swoim nadmiarem wolnego czasu, który oddzielał ich od ludzi za murami, którzy czasu nie mieli. A oni mieli go dopiero teraz, i to w nadmiarze. Czas, żeby zająć się sobą. Ale robili to tylko niektórzy. Większość uwijała się za drobnymi korzyściami z układów w tej ogarniętej murem przestrzeni. Był tu świat niedokończonych dzieci, których trzeba było pilnować, żeby nie zrobiły sobie krzywdy lub komuś, nie odeszły zbyt daleko od czegoś, co zostało wymyślone i nazwane dobrem.

Teraz mieli czas, mogli napisać swoje życie od nowa. Raz jeszcze ułożyć dialogi z mamą, tatą, siostrą i bratem. Z kolegami z podwórka. Może nawet z pierwszym policjantem, który wypowiedział jakąś uwagę. Dużo tego mogło być, tych okoliczności, które kłębią się pod rozgrzanym czołem. Czy da się z tego coś wyjąć? Wyjąć i umocować długopisem do papieru, tak aby nie wlaźło do głowy z powrotem, żeby jej nie zaśmiecało tym, co nie jest prawdziwym człowiekiem. Takim faciem przez duże „C”. I nawet była by w tym jakaś frajda, jak odmalować w tych dialogach wyciągniętych z głowy i z brzucha, kogoś przez wielkie „C”. Tymczasem, całą swoją duszą utożsamiali się ze złem, tym abstrakcyjnym i tym jednym jego fragmentem, do którego osobiście przyłożyli rękę. Chronili się w tych samych przekonaniach, które okazały się zdradzieckie. Gotowi oddać życie za narkotyk, za papierosa, walczyć o jakąś urojoną

władzę w sali. Nawet zniszczyć głośniki, przez które docierała do nich muzyka, słowa z innej rzeczywistości.

„Czy potrafią obronić te głośniki przed swoją własną głupotą? – Maria pytała sama siebie – Gdyby tak potrafili!” Wtedy przyszło jej na myśl, że podobnie jest z jej beznadzieją, że tak jak upadła, tak może się podnieść. Zwyczajnie – podnieść się z podłogi...

3.

Tym razem Maria myślała, że tęsknota za lataniem była jej naturalną częścią, jak na przykład głód, albo pragnienie. I była tak miła, jak miła jest myśl o kochaniu albo o byciu kochaną. – „Może to instynkt jakiś?” – myślała i zaraz potem wstydziła się tego pomysłu, bo przypominał o tym, jak za każdym razem spadała na ziemię mimo usilnego machania gęsiami skrzydłami. Tylko dzikim gęsiom udawało się to za każdym razem. Czyżby miały dostęp do jakiejś wiedzy, o której nie wiedziała? Jasne było, że jest ona na pewno, bo przecież dzikuski dawały temu dowód, lecąc nad jej głową hałaśliwym kluczem. Ich niezależność była najprawdziwsza. Najwidoczniej to sama wolność unosiła je w powietrzu.

Bariera oddzielająca ją od tej tajemniczej wiedzy istniała wyraźnie i wydawała się wrodzoną cechą ludzi. Kolidowała jednak tak wyraźnie z tęsknotą do wolności, jaką mają ptaki, że Maria ulegała jej bezwiednie i budziła z takiego marzenia z uczuciem bólu: „Czyżbym ja kiedyś była ptakiem? Może wiatrem? Może burzą przelotną?” Odpowiedź jednak nie nadchodziła.

Teraz Maria przyszła trochę za wcześniej na umówione spotkanie. Patrzyła z okna, jak ludzie chodzą po spacerowym wybiegu. Był o wiele za krótki, aby móc rozpędzić się stawiając swobodne kroki. Hamowanie i zwrot na końcu alejki przypominały ruch niedźwiedzia w klatce. Dochodził zdecydowanie do kraty i nagłym ruchem głowy zmieniał kierunek. Maszerował zdecydowanie z takim rozmachem, jakby naprawdę osiągał jakiś cel podróży, a nie tylko zwińczony kolczastym drutem płot.

To samo robili więźniowie na małej przestrzeni. Dokądś szli, choć zdaje się donikąd. Szli w czas. Można by tak pomyśleć, gdyby czas był długi jak linijka, którą mierzy się kroki. Tak trzeba iść, zachować szybkość, rytm, aby nie upaść, nie rozsypać się i nie dać się wdeptać w piach tym, co chodzą.

Patrzyła jak skazańcy depczą trawę, którą od czasu do czasu wizytowały gołębie, nauczone szukać okruch specjalnie wynoszo-

nych w kieszeniach. One fruwały po tej i po tamtej stronie płotu i było to dla nich bez różnicy. Przydeptywana trawa znosiła to cierpliwie. Za każdym razem podnosiła się, a w zielonych tkankach powracał właściwy turgor. O ile nie niszczyło jej słońce, była u siebie, na swoim miejscu, jak to trawa. Pewnie była szczęśliwa po swojemu. Ciekawe, co słyszała taka kępka trawy, skazana na życie za murami, odgradzona od normalnego świata? Ile powtórzonych dialogów, knowań, albo marzeń o wolności, o rodzinie, o jakieś prawdziwej lub wymarzonej kobiecie. Jaka ta wolność miała być? Nikt nie wiedział. Jaka by miała być taka kobieta? Piękna? Dobra? Czy bardziej piękna? Czy bardziej dobra? Nie przeszkadzało to jednak tęsknić. A tęsknota była, jak nieugaszone pragnienie. W wyobraźni kończyła się za bramą, za murami. Gwałtownie zamieniała się w zagubienie, w lęk i płataninę dróg, z których każda wydawała się tyleż dobra, co ryzykowna.

Kiedy tak patrzyła przez okno, obok przesunął się człowiek z wiaderkiem w ręku i sprzętem do sprzątania. Ten pracował. Zараbiał pieniądze. Robił coś pożytecznego dla siebie i dla tych, co chodzili po czystych korytarzach. Mimo swego człowieczeństwa, co do którego przecież Maria nie miała wątpliwości, wydał się jej bardziej cieniem człowieka. Miała wrażenie, że on patrzy, a nie widzi, że porusza się, ale jest jak umarły. „A jednak można być umarłym w ruchu” – pomyślała.

Zapomniała na chwilę o widoku za oknem, wodziła wzrokiem za sprzątającym człowiekiem. Czego mu brakowało, aby ożył? Wolności? Czy gdyby nagle brama i drzwi na ulicę stanęły otworem, czy on by się ożywił? Czy by uciekał? Miała wrażenie, że nie, że dalej by sprzątał, albo gapił się w tę wolność rozpościerającą się za bramą i nie zrobiłby kroku w jej stronę.

„Ciekawe czy on umie się uśmiechać?” – myślała. Ale się nie uśmiechnął, więc to także zostało tajemnicą chodzącej postaci. „Może to i lepiej – przebiegła taka myśl - Jeszcze bym zobaczyła jego zęby pożółkłe od więziennego chleba.” Ale zupełnie nie chodziło jej o współczucie związane ze smakiem chleba. Chodziło raczej o spostrzeżenie, że te zęby były narzędziem sztuki. Tak, prawdziwej sztuki, która rodziła się z płaczu i tęsknoty duszy za pięknem, za twórczością, w której talent złodziejskich palców wtórowałby twórczeniu podobnemu do boskiej stwórczej pracy. Tyle tylko, że te palce miały za główne tworzywo wielokrotnie rzuty na nowo kwaśniejący chleb.

Dziełem skazańców miały być serca, stateczki i inne figurki na wystawę twórczości więziennej w mieście. Zaproszone było tak zwane lepsze społeczeństwo.

Ciekawe czy to społeczeństwo wzruszyło się nad sobą, że takie jest dobre i karmi tych darmozjadów za drutami ze swoich podatków? A może odwiedzający ludzie pomyśleli, że zęby krat potrafią kąsać wszystkich? Może jeszcze pomyślą czasem, że najpierw jest się więźniem przekonanych, potem więźniem krat..? A może nawet niektórzy wpadną na myśl, że tak zwane dobre społeczeństwo wcale nie jest takie dobre?

Tymczasem człowiek z wiaderkiem zszedł schodami w dół, i zszedł z oczu...

HENRYK KRUSZYŃSKI

List do Daenikena

Szanowny Panie!

Od pewnego czasu noszę się z zamiarem podjęcia polemiki z Pana poglądami, wyłożonymi w kilku Pańskich książkach. Jeśli dobrze rozumiem, uważa Pan, że wszystkie religie, wyznawane przez ludzkość, są jedynie ułudą i wielkim oszukaństwem, a zostały zapoczątkowane przez kosmitów, którzy kiedyś odwiedzili Ziemię i zbałamucili naszych przodków.

Powodem napisania tego listu jest wspomnienie pewnej anegdoty dydaktycznej, którą kiedyś usłyszałem z ust pewnego księdza. Otóż, przedstawia ona w obrazowy sposób, jak niedoskonałe może być pojmowanie różnych spraw przez umysł ludzki. Gdyby zapytać konia – przy założeniu, że z koniem dałoby się porozmawiać – czy odpowiada mu wizja raju taka, że są tam niekończące się łąki, porośnięte wysoką trawą, to koń chętnie by na taką wizję raju przystał. Podobnie i ja: sądzę, że w raju będą serwowali doskonały sernik w dużych ilościach, a jeśli nie, to byłby to raj niedoskonały, a zatem nie raj. I jednocześnie zdaję sobie doskonale sprawę, jak marnie i niedoskonałe jest moje wyobrażenie o szczęściu wiecznym: musi polegać na czymś cokolwiek innym, czego na razie w pełni nie pojmuję.

I to jest pierwszy aspekt argumentów za tym, że może być sensowne gdybanie w stylu niektórych filozofów: co by było, gdyby...

A drugi aspekt jest taki, że studenci – chyba na większości

uczelnia – są wciągani właśnie w tzw. dyskusje akademickie. Zaczyna się od pewnych dziwnych (niepraktycznych, niezyciowych) założeń, aby w dyskusji dojść do jakiejś zdumiewającej, ale może nieużytecznej tezy. Po co to wszystko? Ano różnie: dla gimnastyki umysłu, poszerzenia horyzontów umysłowych, dla obadania peryferiów studiowanej dziedziny itp.

Po tym wstępie wracam do głównego wątku. Otóż założmy, że założyciel jednej z najważniejszych religii. Jezus z Nazaretu, był kosmitą. Przyleciał z kosmosu w ognistych obłokach, w ognistym obłoku opuścił Ziemię (spróbujmy czytać pewne fragmenty Biblii literalnie). Logiczną konsekwencją tego założenia będzie wniosek, że kiedyś na Ziemię powróci. I urządzi pewnego rodzaju postępowanie kwalifikacyjne (zwane przez nieświadomych Sędem Ostatecznym: kozły na lewo, baranki na prawo). Ów egzamin jest konieczny, albowiem JzN chce spośród ludzi dobrać sobie wiele dobrych załóg do swoich statków kosmicznych: czeka ich bardzo daleka i długa podróż, której cel jednakże nie jest dokładnie znany.

Jakie będą kryteria tego egzaminu i kto ma szansę go zdać? O tym za chwilę. Tymczasem powinniśmy sobie uświadomić, że człowiek, jak komputer, to połączenie sprzętu (hardware, ciało) oraz oprogramowania (software, sfera duchowa i psychiczna). Dobrze napisane oprogramowanie jest przenoszalne, tj. może pracować na różnym sprzęcie, być może po lekkiej przeróbce, dopasowującej je do nowego sprzętu. Tak będzie i z nami ludźmi, w Dniu Ostatecznym. Dostaniemy nowy sprzęt (nowe ciało), do którego przeniesione zostanie nasze oprogramowanie (ze stosownymi zmianami). Ten proces jest nazywany Czyścem, ale to tylko zmiana software'u. No, może nie całkiem, bo przy okazji mogą nam wyciąć te części programu, które będą nieużyteczne w Wielkiej Podróży (i może dlatego jest mowa o jakimś czyszczeniu).

Co do ciała, to już niektórzy biologowie dawno doszli do wniosku, że gdyby organizmy żywe używały krzemu zamiast węgla w strukturach analogicznych do białkowych, to byłibyśmy tytani silni, odporni na ciężkie warunki otoczenia (także na skrajne temperatury), a z odżywianiem mielibyśmy znacznie mniej problemów.

Z tego wynika jasno, że nasze dotychczasowe ciała muszą ulec bądź kasacji (niektórzy nazywają to śmiercią), bądź gruntownej przebudowie (ktoś kiedyś wspominał o przemienieniu?), bądź obu tym na raz. Przy okazji: nie martwmy się o to, jakie będą kłopoty z dokumentacją techniczną np. tych, których ciała zostały spalone,

a prochy rozproszone. JzN ze swoim Szefem od dawna gromadzi dokumentację każdego człowieka na niezliczonych dyskach twar-
dych, których miliardy są umieszczone gdzieś w Kosmosie.

Co do ciała jeszcze: specjaliści od krystalografii i struktury ma-
terii twierdzą, że nawet najtwardsze i najbardziej spoiste materiały
(jak np. diament) są w pewnym sensie puste w środku, a to z tego
powodu, że średnica jądra atomu jest tylko jedną setną procent śred-
nicy atomu. To tylko dzięki ogromnym siłom, działającym wzajem-
nie na cząstki elementarne ciała bywają twarde i nieprzenikliwe.
Gdyby jednak porozsuwać owe cząstki od siebie jeszcze bardziej
(tak, aby najsilniejsze oddziaływania osłabły), to ciała stałe mogłyby
stać się nawzajem przenikliwe, co może być bardzo przydatne
w Wielkiej Podróży. Zresztą jeden taki przypadek został już dość
dokładnie (choć nienaukowe) udokumentowany.

Wróćmy jednak do procedury kwalifikacyjnej. Chyba nie było
Panu obce uczucie strachu (albo przynajmniej obawy) przed zdawa-
nymi w przeszłości egzaminami. Ja też przeżywałem to uczucie,
nawet jeśli znałem zakres wymaganego materiału i byłem dobrze
przygotowany (zresztą jednego egzaminu nie zdałem, bo omyłkowo
zignorowałem cały wielki rozdział z podręcznika; egzamin zdałem
w sesji poprawkowej). Ale Główny Kosmita głosi, że człowiek rodzi
się raz i raz umiera. Przed Wielką Wyprawą nie będzie zatem sesji
poprawkowej.

Czy też odczuwa Pan to tremendum: straszną miksturę nadziei,
że znajdzie się Pan wśród wybranych, z ogromną obawą, że Wielka
Komisja oceni Pana jako nieprzydatnego do Wielkiego Lotu? Jeśli
zabraknie nam kilku punktów, to zostaniemy! Owszem, z odtworzo-
nym i przemienionym ciałem, ale tu na Ziemi i bez żadnej możliwo-
ści odmiany naszej sytuacji.

Dyskutują teologowie, czy Piekło to miejsce, czy stan. Niepo-
trzebnie dyskutują, bo to będzie i miejsce i stan.

Czy też ma Pan niejasność co do kryteriów kwalifikacyjnych,
które zastosuje Wielka Komisja? Czy preferowani będą raczej praw-
domówni, czy mający doświadczenie i praktykę w lawirowaniu wo-
ków prawdy? Czy zaradni i sprytni czy prostolinijni naiwni? Czy bar-
dziej będzie przydatna osobowość z doświadczeniem i wiedzą Hi-
tech, czy ktoś, kto pół życia strawił na uczeniu prostych rzeczy upo-
śledzone dzieci? Czy ten, kto raczej kleił potamane stołki starym
sąsiadkom, czy ten, kto umiał odpoczywać w towarzystwie młodych
kobiet? Czy bardziej warto regenerować swój umysł mocnymi filma-

mi akcji, czy bardziej opłaca się ślęczyć nad jednostajnymi modlitwami brewiarzowymi? A w ogóle czy warto się nad tym wszystkim zastanawiać, skoro JzN zapewnił, że miejsc u Szefa jest wiele, więc może wszystkich nas zakwalifikują do Wielkiego Lotu? (Oprócz – rzecz jasna – tych, którzy stanowczo oświadczą, że zostają na Ziemi i nigdzie nie lecą, bo przecież Wielka Komisja nie będzie łamać naszej wolnej woli.)

Chciałbym znać Pana opinię, czy powyższy wywód rzeczywiście wynika z zacytowanej na początku tezy, że ludzkość w warstwie religijnej ma początki kosmiczne.

Może będzie okazja wymienić kiedyś poglądy na ten temat, choćby tuż przed posiedzeniem Wielkiej Komisji. Tylko czy to nie będzie trochę za późno?

Z poważaniem

Henryk Kruszyński

JUSTAS

JASĖNAS

PRZEKŁAD Z JĘZYKA LITEWSKIEGO
WOJCIECH PIOTROWICZ

Laikas iš glūdumos...

Czas z głębi przynosi
Mój świat i pokrywa
Ścieżki piaszczyste
Białymi chustami

Towarzysz mi czasie
Prowadź mój świat
I obudź w ciszy samotne
Pierwotne słowo

Czas w wirach zanurza
Moje spojrzenie w dal
I oczyszcza w burzy
Pełną garść piasku

Uciekający w dal czasie
Zabierz mój świat
I schowaj białe chusty
W ścieżkach płaczącego piachu

Išgėriau paskutinį lašą ...

Wypiłem ostatnią kroplę
Z rozbitego łoż dzbana
Aby na pamiętnika skrawku
Zgasić odblask poranka

Uspokój tę ciszę nieczułą
Płynącą przez sad półzimowy
Płoną świece na pustym stole
I jabłonie świętują swój kres

Czas ozdobi te ścieżki
I spóźnione spojrzenia ukoj
Tam za drzwiami lękam się zostawić
Sączącą się płynność wrodzonego głosu

Z drżących dłoni urodzin
Spiłem ostatnią kroplę
Tkwią zasmucone jabłonie
Taki spotkał nas los

Krew pulsująca wypłucze
Kroki co ciszę przerwały
I tylko tafla szkła westchnie
Ci ludzie już wszystko wyrzekli

Akyje gimė žraogus ...

Urodził się człowiek
W oku mam świtający dzień
Tak długo oczekiwany
Wnętrzem widzę

Bołą zmęczone źrenice
Długo obserwowałem

Jak zmieniają się liście
Odchodzącej jesieni

Dotknąłem ręką serca
Tak dziwnie
Prawie nie do wiary
Człowiek w głębię się zakorzenił

W oczach zawirowało
Zaczął mówić
Człowiek z głębi
Rosnący powoli

Użmigdykite mus ežeruos...

Uśpijcie nas w jeziorach
Niczym ptaki zamiłkłe w czasie
Niech w falach zanurzą się prawdy
Których zrozumieć nie mogliśmy

Niech nam w toni zanurzą się skrzydła
Wiele nocy i dni trzepotały
Pieśń umilkła niczym oddech ziemi
Zapomnianej podeptanej i zdradzonej

Wyśpiewajcie burzę pokryjomu
W nią więcej już nikt nie uwierzy
W sercu ptasim gniazdo się mieni
Pełne życia wygłodzonego

Uśpijcie nas milczków w jeziorach
Dość liznęliśmy czasu smaków
Błądne łodzie wytrwale szukając
Nie odnajdą ani nas ani ptaków

Paskutinės Tėvo dienos...

Ostatnie Ojca dni
Dojrzeva na skraju pola ostateczność
I drży w zatoce ból budzący
Początku pożądanie

Stopniały kry w nieświadomości strudze
Jeszcze w kroplach kipi co minione
Już nie rozdziela najprawdziwszy cień
A na tej drodze nie spotkamy się

Tylko tęsknotę poryw nurtu śpiewa
Spragniony ciosu milczącego trwania
I tylko w sercu głos się rodzi
Na bosonogie dziecko z sadu woła

Orzeźwiający chłód dotyka twarzy
I kwitnie rosą niezwykle czekanie
Zawołaj na mnie po imieniu o poranku
Powitam prawdziwe omdlenie

Ostatnie Ojca kroki
Jeszcze milczący w łonie kres
Wszystko inaczej będzie odejdziemy
Daj całun na bliskości pożegnanie

EDYTA

ŚLĄCZKA-POSKROBKO

* * *

Mierzyłam tęsknotę centymetrem
nie starczyło podziałki
mierzyłam krokami
zaszłam na koniec świata
mierzyłam dniami
– mnożyły się jak króliki
i tylko myśl
wciąż dotykała ciała.

Smutna myśl małżeńska

Zostały nam tylko
odleżyny słów
pracowicie posypywane lekami
stare ciało miłości
nie chce się jednak zbliżnić

* * *

Otoczona włosami ulicy
tulę stopy w polbruku chodnika
Mój horyzont to dach kamienicy
twarze ludzi i zdarzeń połyka

Nie popłynę – miejska rzeka – na łękę
nie zamieszkać w jej ciszy i trelu
nie pokocham całą duszą skowronka
co tak lata w górze bez celu

Zawsze w duszy przejedzie autobus
moje myśli czerwienią omota
w mur rozgrzany dłonie swe schronię
Ja, twoja miejska tęsknota

AGNIESZKA

KROTKE

Prozak

Człowiek w garniturze
Spętany krawatem i rzeczywistością
Opowiadał o ogniu
Zaćmieniu słońca
Udręce, szaleństwie
Wielkiej, nieszczęśliwej miłości...
Łysina, okulary,
Koszula przepocona pod pachami
Samo życie!
Psychiatra słuchał znudzony...
Prozak nie leczy już ran
Uodparniamy się przecież na leki

Kołysanka

Śpiewam Ci kołysankę
Żebyś się nie martwił
Żebyś słodko zasnął
Zachłysnął ciszą, nocą, burzą
Odetchnął mną i sobą
Usłyszał we śnie
Ciche słowa – nie groźby, nie żale
Zobaczył anioły, kwiaty, motyle

Stosy gardenii...
Zapach jaśminu...
Wilgotny fiolet bzu...

Prawie

Jutro wyjeżdżasz
Na urlop
Z koleżankami
Zobaczysz Nowy Jork
Swoje drugie miasto
Tak samo obłądne
Jak moje
Zakurzeni ludzie
Połykają w biegu
Naleśniki, kiełbasy
Hamburgery, jajka na twardo
Śnią na jawie
Prawie zmieniają życie
Prawie są szczęśliwi
Prawie zdrowi
Prawie weseli
Prawie...

Jak czuła jest noc

Jak czuła jest noc
Spędzona w samotności
Przez zamknięte okna
Nie wchodzi nikt Nawet sen
Nie ma odwagi
Podejść za blisko
Marzy mi się coś
Nie wiem jeszcze...
Znalazłam się gdzieś
Poza sobą Czekam...

Przecucia

Nie pocieszaj mnie
Dzisiaj chcę płakać
Myśleć o starości,
Chorobie, śmierci
Wezmę tabletkę nasenną
Może zapadnę się
Pod jej ciężarem
Może ulecze ciało
Tylko na chwilkę
Do jutra

BOHDAN

BOJCZUK

PRZEKŁAD Z JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO
TADEUSZ KARABOWICZ I JAN LEOŃCZUK

Prośba

M.R.

Weź w dłonie
serce
jak pisklę.
Włóż dziób do ust i daj się napić.
Między piersi połóż niech wymości gniazdo.
O świetle będzie dla ciebie ćwierkać.

Nocne misterium

Dziewczyna
rozpuściła warkocz w noc,
zaczepnęła rosy w dłonie i napiła księżyc.
I wtedy odczuła jak spada z niej okrycie
i nagość przemienia się w pieśń
tęsknotę oplatającą ciało kochanka.

* * *

Stenli Kunicowi

Motyl
rozświetlił na chwilę
gałązkę czeremchy
i odleciał

Zbierałem z gałązki
jasność
w dłonie
i patrzyłem na nią
by siebie odczuć
motylem

w dłoni
Przedwiecznego

Modlitwa

Ojcu poświęcam

Wciel się w nas
prawdo światłości,
blaskiem obmyj
ślepotę naszych oczu.

Przeniknij niemoce nasze,
liść uzdrawiający
przyłóż,
by zaskamlało w kościach
nieśmiertelnością.

Obmyj nasze zwątpienia i ból
z linii horyzontu wyłuskaj
krople światła,

byśmy mogli skropić nimi pragnienie
za Tobą.

Moje usta otwierający

Otwórz moje usta,
by słowa wychodziły z nich
pełne i czyste
jak łzy,
owiane Twoim
duchem.
By na polanie Twojego
oddechu
ćwierkały jak fiołki.
I przenikały do serc
opuszczonych
jak nadzieja na Ciebie.

Żal wypowiedziawszy

Nalej w serca nasze żalu
za tych:
co przykuci do łoża
tęsknotą
za niebem,

którzy prawdy Twojej złąknieni
upadli przy
wyschłej rzece,

którzy zachwiali się
nad wykrotem świata
i zaginęli bez wieści.

Tym, którzy wyszli z naszej pamięci
i nie dotarli
do Ciebie.

KATARZYNA DRZEMICKA

Oczekiwanie

za oknem
w moim ogrodzie
płacząca brzoza
wiatr chwyta
pod ramię

otula miedzianymi
liśćmi
ścieżkę biegnącą
do domu

w moim pokoju
woń lawendowa
budzi uśpione zmysły
tajemnicze cienie
tańczą na ścianie
w blasku
świacy

deszcz wygrywa
melodię
jak dźwięki skrzypiec
Paganiniego

siedzę w fotelu
pełna radości
– czekam
na ciebie
pijąc czerwone
wino

* * *

dwa istnienia
jedną
nocą połączone
wpatrzzone
w tarczę księżycą
rozpoczęły
upartą wędrówkę
ku szczęściu

bramy jego
dalekie
utopione w ciemności –
samotni
marzą o naczyniu
pełnym kropli miłości

oaza daleko –

przed nimi tylko
wiatr
schwyty w lustro

Statek

mój statek uczuć
zamknięty
w butelce

zatkniętej korkiem
dźwiękoszczelnym

fale przyjaźni
przelewają się
przez burzę

na pokładzie
zostaje
tylko kilka
kropel

* * *

spójrz jak ci pięknie
w srebrnej koronie
co skronie przyprószyła
jakie oczy masz
błyszczące
jak kiedyś w Paryżu
gdy urzekły mnie
orzechowym blaskiem ...
twoje ręce
piękne
wyrzeźbione pracą ...

w lustrze życia
we mgle jeszcze
pierścionek
dom z tupotem stóp ...
uśmiechasz się

wspomnienia
tak lekkie
jak kruche życie
wędrownka nasza

wieczność
a po nas
tylko wiatr...

Październik

idę aleją
brązów czerwieni

szumiących liści
słyszę
szelest

z prośbą
o promień ogrzewający
tym co już spadły
namokły deszczem

klękam wśród
zniczy
z różańcem
w dłoni

– otwartą drogą

do nieba ...

HALINA

KABAC

**Wiktorowi i Cezaremu
zamiast dedykacji**

Zdarzyła się nam rzecz piękna
– życie.

Zdarzyła się nam rzecz rzadka
– spotkanie.

Zdarzyło się nam.

Nasze psy, koty i drzewa.

Miejsca tajemne

i wielkie wyprawy w niecodzienność.

Zdarzyły się nam.

Zbieraliśmy

drobiny miłości i krople przyjaźni

w zieloną dolinę

na piaskach samotności.

Mieliśmy szczęście.

Motto /zasłyszane/

Babciu, skąd się wzięłam?

Z nieba.

A dokąd pójde?

Do nieba.

To po co ten spacerek?

* * *

Odkąd zrozumiałam,
że nic się nie zmieniło
z moim przyjściem
i niczego nie ubędzie
ze mną,
że istnieję tylko między
pierwszym a ostatnim wersem,
odtąd pytam
– po co jestem?

* * *

Od wczoraj
zaczął umierać świat.
Szczególnie uwiera go szorstki obłok
z prawej strony;
kłuje gwiazda pod stopą;
uderza piorun słońca
na horyzoncie
a dokładne opukiwanie
ujawniłoby inne dolegliwości.

To umiera świat, który mieszka we ranie.

Przemijanie I

Termometr życia oszalał
Kurczy się rtęć dni,
rozszerza słupek pustki,

Osaczonemu na nic
gorzkie placebo:
wiedza o przemijaniu.

JÓZEF
BUDZIŃSKI

* * *

Mój dom
to szczęście wymodlone
jak chleb
jak łyk wody czystej
mój wymodlony
ciepły cichy dom
we mnie trwa

* * *

Ja tutaj sam
a za oknem
anioł
ogładający
swoje
odbicie
w szybie

* * *

Nie zamykaj się
przed przyjaźnią

przed cierpieniem
poczuj ból
odnajdź go
jak punkt
na mapie
cierpień
przysiądź do stołu
smutku
postaw chleb i talerz
wyjrzyj
może oczekuję cię
człowiek
czujesz
nienawiść przecieka
ci przez palce
a przy tobie
człowiek

* * *

Wypatrując cię w
moim milczeniu
słyszę cię w
mojej ciszy czuję
cię w mojej dłoni
nabrzmiącej
oskarżającej a ty
nie możesz
zrozumieć bo
wszystko dzieje
się ponad miarę

* * *

Pokochaj mnie i
pokochaj mnie bardzo
pokochaj mnie śmiertelnie
pokochaj mnie rano i w dzień pokochaj mnie.

ks. JAN

FILEWICZ

W szarości

Za oknem szaro
i kapie szary deszcz

wiatr rozmiata kolory
jesieni

w takie dni
szarzeje serce
na popiół

szukanie bratniej duszy
pomaga
kiedy w szarości
krople deszczu
za oknem
płaczą

Chwila

Jesteśmy tu na chwilę
poznając świat
idę przez życie
ku
swojemu przeznaczeniu

Spotykam ludzi
a każdy człowiek to osobna
historia

Najpiękniejsze chwile
– kiedy w drugim człowieku
spotkam Człowieka

Wołanie

Z głębi mego
serca i duszy
płynie wołanie
– Panie – bądź
zawsze ze mną

prowadź mnie przez życia
pielgrzymkę
od niespodzianek szczęśliwą
albo kolczastą

Mój głos uwielbienia
płynie do nieba
bym trwał
w modlitwie
i aby Pan usłyszał
moje wołanie...

Wieczność

Nieskończoność świata –
nie do rozwiązania
w retorycznym pytaniu

wieczność wciąż będzie z nami

choć przemijamy...

więc żyjmy tak
by nie zmarnować
ani minuty z
darowanego życia

ELŻBIETA MICHALSKA

Modlitwa do Archanioła Uriela

Boże pamiętaj o mnie
córce kainowej
i ześlij mi
zapomnianego przez proroków
Archanioła Uriela
z którym przez czarny kosmos życia
przez ścieżki
samba, szlamy
błoto przejdę suchą stopą.
Sama nie sprostam demonom
sama nie trafię do domu w Jeruzalem
gdzie Ojciec Matka na ławeczce
i cień starej akacji
w blasku po trawie

Gdy

w blaszaną formę serca
zamiast fotografii wkładam
cuchnącą plamę krwi
to zasuszona róża
na przetartym prześcieradle
Kropla spermy
roztarta w tyglu perła

rzucam o ścianę przekleństwo
egzorcyzmy wódka
i ociążała odwaga
cierpienie – jedyny skarb
mojego ciała
największa duszy nędza

Idylla

Na zapadłej mogile
pogrzebanego żołnierza
tarza się pasterka.
Dookoła łąka,
mleczce pachną mleczem,
ciało rośnie i gnije.
Jaka panna
taki kawaler.
*„Wszystkie dziewczyny
mają pierzyny
a ja z żołnierzykiem
pod brzezina”.*

Wspomnienie

W piwnicy prócz nas dwojga
i sterty kartofli do przebrania
była dwudziestowoltowa żarówka
kot Murełkin i miłość
co jak szczur piszczała bzdury
nie wiadomo o czym.....
Boże drogi, od tamtej pory
niegdzie już tyle nie znalazłam szczęścia,
już nikt nie dał mi do ręki
kartofla w kształcie serca.

W pokoiku na ścianie
martwa natura
Bóg
rozbity dzban
i jabłka
a w kuchni
Ewa
pierze kalesony

MIROŚŁAWA NIEWIŃSKA

Noc złotego węża

Asklepiosowi

Złoty braciszku śpieszmy się śpieszmy
Noc oczekuje zielonych snów
Złoty braciszku ty w twoje ręce
Do nich dostałeś prawdziwy klucz

Złoty braciszku za tymi drzwiami
Bóg na nas czeka w dzisiejszą noc
i pod Zielonych Snów wróżbami
Życie do Życia prowadzi On

Słoneczny pielgrzym

spotkałam Cię na wiosennych łągach
wróżbę i poezję rozdawałeś brzożom
do serca tuliłeś białe wilcze szczenię

stał się cud

wtuliłam twarz w przyjazne kacczeńce
Twoje złote pocałunki

Słowiańska pieśń o Z-Bożu

Mariannie Bocian

łatwiej nam Boże
zdobywać dyplomy
niż w czarną glebę
żywe ziarno wkładać
dla tych piękniej będzie
odchodzić z tej ziemi
co z boskiego spichrza
Z-Boże chcieli siać

Przyszłość

Stanisławowi Płowieckiemu

dzieciństwo nam pieściły
piskłeta kaczeńce
całowały anioły brzóz
sen grzały kołderki gęsi
Babcia Mania karmiła mlekiem
Babcia Jadzia całowała miodem
To jest Polska
wieczne brzozy błogosławią
na zawilców kobiercu
złote ule na łące
usianej mleczami
domek z gankiem
tam czasem mój przyjaciel
Anioł grywa w chowanego
to jest Polska
ani mniej ani więcej
miewa smak syconego miodu
a mieści się w sercu

Narodziny Wiosny

czekam aż się wykluje pisklę
okoci króliczka
wylęgną się kijanki
w jeziorku pod lasem
przyłaszczki zaświtają
w osikowych chmurach
i łąkowe niebo
rozwieździ mleczami
pijąc ambrozji
soku brzozonego puchar
opowiem wiersz
i trzy historie świata.

MICHAŁ SZACHOWICZ

PRZEKŁAD Z JĘZYKA BIAŁORUSKIEGO
JAN LEOŃCZUK

Modlitwa

Wiele mi nie potrzeba
i pragnę niemało –

chcę by błyskawica
dzień mój powitała.

A myśl ulatuje,
życie czółna gna
i mewa faluje –
ramiona ból zna.

Daj Boże nadzieję,
daj wytrwałość w trudzie
a spokój zasieję
w modlitwy przestrodze.

A na zawsze duszę
skryj w niebie swoim,
wszak wiesz, Boże, że muszę
być sobą u bram twoich.

* * *

Anastazji

Żal mi, że nie pojedę już do Sochaczewa.
Nie będę liczyć przystanków od Błoni.
Tam – tak wielka równina,
Prosto jak na dłoni.

Nie będę w Piasecznicy gotowy,
Żeby zeskoczyć i biec po peronie,
W objęciach krążąc....
Nic już nie pozostało
Jak Rzym zmieciony ogniem Nerona.
Tylko krzyk samotnego serca
I skowyt niepewności
Powraca gorzkim echem na moje spotkanie.

Nie pojedę już do Sochaczewa. Pustka tam i półmrok.
Nikt już nie powita. Nikt już nie czeka.
Przepędzam wspomnienia. I w każdym miejscu
Szczęście w nadziei zanoszę płaczem.

Pamiętasz pewnie gościnę u Książąt Mazowieckich?
Jak z zamkowych ruin szukaliśmy w Bzurze odbicia?
A park nad Utratą,
Kiedy szliśmy z Szopenem,
który mazurkami nas wzruszał?
A pamiętasz Krzywoustego
króla, który śmiercią rozślawił Sochaczew?
Nie pamiętasz! To dobrze,
Tak będzie łatwiej nam się rozstać.
Dusza wtedy mniej płacze.
Już nigdy nie pojedę, żegnaj mój Sochaczew.

* * *

Prawda i szczerłość
Jak wirus.
Szkoda tylko,
Że nie ma Epidemii

* * *

Życie
To ciągle wędrowanie.
Stąpamy po nim
Od marzeń
Do wspomnień

Ks. TOMASZ
WILGA

* * *

zapukał
czekał
nie został wpuszczony

miałeś swoje sprawy
twój świat się walił

przyszedł
naprawić
został odrzucony

Jezu przyjdź jeszcze raz
będę czekał
słuchając
kiedy zakończysz

wszak adwent
płaczę

* * *

Biel i czerń
Zieleń w koronie
Brzoza

Ile widziała
Nad grobem
Powstańca pochylona
Nad losem
Grajka płacząca
Tułacza witająca

Brzozo przyjaciółko
Tułacza
Powiedz ile łez wylano
Ile ty płakałaś
Nad domem naszym
Nad losem naszym

* * *

mijają minuty
godziny
lata
minęła dekada
patrzę w przeszłość
radość
smutek
wzloty
upadki
tylko Ty
niezmiennie czekasz
darzysz miłością
przygarniasz

dziękuję

Grajewo 2006-05-25 godz. 16.23

* * *

błysk
grzmot
jak często się powtarza
oświeca
mami
przeraża

patrzę
zachwycony
zadziwiony drogą
rozświetloną
błyskawicą

kraniec z krańcem
połączony
człowiek od człowieka
oddalony

Bóg woła do człowieka

w oddali
na horyzoncie
krzyż
łączy
ziemię z niebem
człowieka z człowiekiem

otwarte ramiona
przygarniają

* * *

Byłeś gościem
Zamieszkałeś u mnie

Mówiłeś o wieczności
I stała się

Nie rozumiem

Jak odjechawszy
Zostałeś

DARIUSZ TICHONIUK

* * *

na Paschę
czas w wiklinowym
koszu się zagrzebał
słyszę jak błędzące
spojrzenia opierają się
na krzesłach – te same wieści
trochę smutku
radości, gdy wspomnę
tych nieobecnych
przy dzisiejszym śniadaniu

* * *

w niedzielne spotkanie
niebo schodzi z Krzyża
na ziemię
i Ty jesteś Już obok
siedzisz na ławce
w ciszy w której łąza
mówi więcej niż słowa
a z moich oczu
niepostrzeżenie ...
wąską stróżką sączą się
wspomnienia

PRZEMYSŁAW

KUĆ

Ociekanie

Słowa w płaszczyku poezji
przemokniętym deszczem
Dobijają się do drzwi

Zaznaczam – monumentalne
słowa jak granit i marmur
wyrośnięte z nieopierzonego

W międzyczasie dreszcze
moją wzniosłość tania
Obserwują

Jeszcze
jestem

Błękit

Głuche kroki zimny piasek czern
na tle jedności błękitu dna i brzegu
Spojrzenie rozlewających się dzbanów mórz
potoków mglistych
chmur drapieżnych niebieskich nocy
postrzelonych snem

Kolejny blask Twoich oczu Układanki
moich pustych przestrzeni wypełnionych
promieniem włosów złota gładzonych
strugą deszczu

Monumenty fontanny kropel
na nieskończonej drodze jasności
I Ty wciąż przezroczysta falą głosu
Noc krok za krokiem w czerń coraz bardziej
Błada

Ciche szepty nadziei
i Ty znów w szalu błękitu

Znikając

Kochanie, oczy mi oczyść
kochaniem z poranków matowych
Serce jak obłok serce jak wyrzut

Ukradnij mnie kochanie z
oczu innych kochaniem
Wiesz uwielbiam znikać

Obierz mnie z ości kochanie
Z miłości, wnętrzości z
Bezradności

Zniknąć pozwolisz
Zanikać powoli

Już staję sobie
w gardle

nicością

* * *

Proszę oto list kropka
zdanie brak zdania kropka
Zębatki mechanizmu
słów których znaczenia zapomniałem

Płynny potok jak dotyk
gorycz dreszcz burza
przed ciszą chwila
zgrzyt przednocy

Zdanie kropka zdanie ty
nie treści uczucia ucieczki
Płynne niewysłane sny
sprzedane za chwile

Proszę oto list z wyrazami a
także wyrazami szacunku
których znaczenia
zapomniałem

Milczenie

Telewizor zgasł. Cisza
głucho ociera się o ścianę
Ostatnie słowo machinalne
pięknej pani z ekranu

Stukanie w tynk
Zaścianą słyhać
przytłumione szepty
Kot wdrapuje się na
odrapane parapety

Dzieci krzyczą dorośli milczą
Gdzieś pomiędzy
słyszę swoje paniczne
trawienie

Telewizor zgaś. Cisza
głucho ociera się o
ścianę i puka
do drzwi

MACIEJ SZANCIŁO

* * *

Posadzić kwiaty, drzewa
zaroić piaskiem
zasnuć powietrzem przestrzeń....
za mało
wciąż grozi nam wieczność....

Tak molinezje hoduje mój brat
któregoś dnia jedna leżała pod krzestem
to wid – rzucony na znak
że sam siad ciężki
a puste już miejsce

lustro

Ręce rozstaniają ciemności,
jeśli to włosy
rozczesują je palce
rozszlupują
jeśli natrafią na księżycową poświatę
szarpia....
jeśli to nerwy
ale jeśli to lustro

rozplątać nie sposób
tylko
cesarskim cięciem
można cię wykraść
zaspaną
niemalowaną,
nieuczesaną.

przy oknie

Wieczory zimne, nagrzane ranki
lubię patrzeć...
jak wciskasz się między firanki
czy to tęsknota uszczupła cię w tali,
czy wieczny kaprys mierzenia falbanki?

przymierz, dalej śmiało...
wtedy z okna się wynurzę
przymierzasz – więc prosisz o burzę
w szybie kryształ uczuć
co głębiny krwi znaczyły

rozkwitnięcie

Miał dość ciemnicy jaskrawy pąk
i rozprostował zamknięty pałąk
i kwitł jakby brakowało mu tchu,
przestrzeni łąk...
by wyruszyć w nieznana..

i oto jest kwiat...
co tworzy wewnętrzny krąg
gdzie się odbywa uczta przyjaciół
tam ekstaza i tyle samo mąk
w momencie podobnym do róży

oderwany

Ptaki są takie małe, a tak bardzo przejęte swoją rolą.
Teraz wiosną wpadły w fanatyczny sen jawy.
Jawy dookoła
W ich ślipkich oczach cały świat się ptaszy...
Zaczynają swe zaloty, nasrożone jak indiańskie totemy,
nie mogąc się
uwolnić od traumy bycia.
Ptak niewolnik życia.
Ptaki choć tak lekko odrywają się od ziemi
to nie mogą ani na chwilę
nad nią pomarzyć –
człowiek, pierwszy ptak oderwany.

RYSZARD KONDRATOWICZ

Oglądam się

Smutna ta noc historii
co gaśnie w światłach,
nie we wspomnieniach
a wokół rykoszetem czytelnych
łuna życia w moim życiu się zlepia
tak się spotykam ze szczęściem
nie wymagam niczego od siebie
nie mogę niczego zapomnieć
moim życiem jest miłość.

Oglądam się za minioną rzeczywistością.

Noc i sen

Jesteśmy by zachować milczenie łez,
albo współczuć,
Bóg nie zastawia serca własnego
dociera przez ogromne połacie samotności
prawdziwie zapłonęły stosy naszych myśli
by serce wybrało tylko jedną.

Nikogo nie spotykam
życie żegnam

noc i sen,
który jest złamaną nogą
nie depcze już
żadnej prawdy o sobie
ani wezwania
nieznanego ducha
w głębokiej studni pragnień
i uczuć przeźroczystej toni
ukryty w celi śmierci
zawłaszczony przez bóstwa pieniędzy
odnajdzie swój nagły dzień wystrzelony z procy
aby jak najwięcej podzielić.

Ty

Przechodzimy do czyjegoś serca
a tam nikogo nie ma
mistrz przychodzi po raz ostatni
po raz któryś umiera

MAREK
STYLIŃSKI

Do Karola Wojtyły

(Na podstawie poezji Franciszka Kobryńczuka)

Wierzę
Drogi
Karolu, że tam na niebieskiej Grani dalej jesteś POETA
Przysyłasz mi listy z Nieba
Co z pierwszą gwiazdką zaświecą
Z każdą chwila Ci drogą
Zostaną w Sercu u BOGA
Każdemu drogę oświetlą

Nie umiem wyrazić tej Myśli, która Ci przyświecała
Gdy wzleciałeś już Duchem
Nim narodziłeś się z Ciała

Wiem, że Ona ci będzie Gwiazdą Przewodnią i Troską
I wyrazisz nas wszystkich
Przed Matką Częstochowską.

Jeszcze tutaj powrócisz
W poezji i pieśni i w słowie
Które zawsze popłyną
Z serdeczną modlitwą ku Tobie

Mater Adorans z Wrocławskiej Katedry

- I. O Matko Boża z Katedry Wrocławskiej
W złotym płaszczu i Złotej Koronie
ciągle nad nami załamujesz dłonie
I tulisz nas wszystkich pod płaszczem Twej Łaski
- II. Matko Adorująca w Chrystusa wpatrzona
skryta przed światem, tak czuła i troskliwa
dodałaś nam otuchy o „Tarczo Sobieskiego”
Gdy towarzysz husarski tulił Cię w ramionach
Bądź dla nas grzesznych zawsze litościwa!
- III. Przed Wiktoria Wiedeńską w Twym złocistym płaszczu
na tle ciemnego nieba prowadziłaś wojsko,
które półksiężyc nie pokona nigdy –
O „Mater Adorans” – Wielka Matko Boska!
- IV. Gdy Jan Paweł II Ciebie koronował
I zawierzył nas wszystkich Twej przemożnej opiece,
To wzięłaś pod Twoją Obronę wszystkie Twoje dzieci,
I wtedy powódź straszna nas wszystkich załała
Obmyła z grzechu wodami i Krwią Bożej Męki
Tych, którzy najwięcej sprawili Ci udreki!
- V. Nigdy nas nie opuszczaj o Wielka Matko Boga!
Pani z Katedry Wrocławskiej – Matko Adorująca
Zakróluj w sercach wszystkich Twoich dzieci
O Wielka Matko Boga – przed grzechem chroniąca!
- VI. Zbaw nas ode złego i od obcej zbaw nas przemocy
nie dozwól, byśmy byli pod jarzmem germańskiej potęgi
O Matko Adorująca z Katedry Wrocławskiej
Hołd składająca dla Syna Twego Męki!

APOLONIUSZ
CIOŁKIEWICZ

F r a s z k i

Zapaszek fraszek

Na początek – reklama:

**Uwaga! To nowe
fraszki bezsmakowe...**

Uwspółcześnienie 1

Na złodzieju czapka gore?
Straż przyjedzie w samą porę...

Uwspółcześnienie 2

Dziś raczej przysłowie takie:
Na bezraczu ryba rakiem.

Gadanie do obrazu

Do własnego obrazu tak przemawiał malarz:
– Stanowczo na zbyt wiele ty sobie pozwalasz,

poza dobrego smaku wyszedłeś już ramę!
Czemu puściłeś farbę, że ja dałem plamę?

Od myślenia głowa nie boli?

Mądrej głowie dość dwie słowie!
I już jedzie pogotowie...

Niecelny strzał

Lecąc, w stronę płotu zerka
każda kula – dezserterka...

Niezbyt wymowne

Do ust wtłoczywszy się, knebel
zapytał: Mnie wolisz, czy hebel?
Bo on jest ostry, do kata,
i czasem struga wariata...

Niestety

Zero za sterem
nie jest już zerem...

Zagadka

Choć starał się o rękę, to nie wiem, dlaczego
w noc poślubną się dobrał do czegoś innego...

Pro memoria

Kiedy as
zgaś,
nikt nie liczy
zniczy...

Oczywistość

Przebijanie muru głową
zawsze kończy się niezdrowo,
bo przez uraz łepetynki
są potrzebne nowe tynki...

Bieda

Ponieważ gryzie bliźnich do kości,
świadczy usługi dla ludności,
a więc oświadczam, z pomysłu rad:
Powinna płacić podatek VAT!

Rozmówki na szafocie

Rzekł skazaniec: Panie kacie,
cóż takiego w rękach macie?
– Przez to – rzekł kat – mój kolego,
nie ma głowy do niczego...

Postęp?

Zmienią wizerunek świata
kontestator, apostata.

Z ich dorobku zaś skorzysta
każdy mądry konformista.

Wspólnota

Fraszka z flaszką – te same mają przecież cele:
Przy jednej i przy drugiej robi się weselej...

Konstatacja po pięćdziesiątce

Strzyka w kolanie, puchnie palec...
Czas to największy zwyrodnialec!

W hołdzie mędrcom

W naszym kraju obecnie cenionym wysoko
obiektem muzealnym jest szkiełko i oko...

Odezwa

Koleżanki i Koledzy!
Warto zdobyć trochę wiedzy,
żeby wiedzieć, która szuja
z władzy nas najbardziej buja...

Skarga miarki centymetrowej

Zawsze zaczynam wszystko od zera,
choć nie grywam nigdy w pokera...

Zaginiony

Widziano go swego czasu:
Wywoływał wilka z lasu...

Oczywistość

To jest najczystsza prawda, nie żadna maniera:
Do pożaru najszybciej podpalacz dociera...

Na drodze życia (niekoniecznie nowej)

Zgodnie z ogólnie znaną zasadą,
ci, co smarują, prędzej dojadą...

Czasem

Czasem i ofiara losu
nie uniknie w życiu stosu!
Niech nie śmieją się półgłówki:
Chodzi mi o stos gotówki...

Przed wigilią

Karp myśli sobie: Ach, co za szkoda,
że baba także ma coś z Heroda...

???

Kwestia wielce zagadkowa:
Czy półgłówka boli głowa?

Makabryczna sytuacja

Jeżeli w garści ma cię kanibal,
nie dogadacie się z sobą chyba...

Pokrótcie o kawie i wódce

Pierwszy napój ponoć sprawi,
że na nogi cię postawi,
drugi za to ścina z nóg,
więc przyjacieł to, czy wróg?...

Z przysłowia

Myślał indyk przy sobocie
uciekając: Trudno dociec,
po co mnie gospodarz łowi?
– Żebyś się nie musiał głowić...

Racja

Na człowieku gęsia skóra
bywa tylko per procura...

Wiadomo

Mikołaj się w saniach śłania?
To skutki kolędowania...

Ocena

Plus i minus są zgodne: To wielka afera,
że się dzisiaj kariera dla zera otwiera!

Zagrożenia

Popiel z przerażenia dyszy:
Całkiem pożrą mnie te myszy!
Dziś bez legend (świat już nowy),
zżera nas Urząd Skarbowy...

Pies do psa

Co ci to szkodzi, dłoń pana liźnij,
choć to wcale nie jest twój bliźni...

Lenie w cenie?

Na tapczanie siedzi leń,
nic nie robi cały dzień,
drugi za to na kanapie
chętnych do swej partii łapie...

Moim zdaniem

Gdy Mikołaj nie dociera
to jest sprawka renifera...

W lesie?

Niejedna sarenka z drogi cnoty zboczy,
gdy nienasycone błysną wilcze oczy...

Moja propozycja

By nie dostawać ciągle od innych po gnatach,
założmy własną partię! Choćby „Samoatak”...

Gwiazdka pijaka

Biały śniegu gobelin
i śpiewają anieli...
Czy przy takiej okazji
wypić byście nie chcieli?

Z podtekstem

Mówił z zazdrością dzień do nocy:
Tyś jednak lepsza jest w te klocki...

Aktualnie

Bulwersują wciąż rodaków
łowcy skór i zaskórniaków...

W dzisiejszej dobie

Zaszczyt to nie byle jaki
specjalistą być od klaki...

O elicie przy korycie

Elita u koryta frykasami żyje
i dziwi się, że innym obrzydły pomyje...

Bywa

Bywa, że czasem pomoc sąsiedzka
dotyczy także konstrukcji dziecka...

Wypróbowany sposób

Że bieda piszczy, tak naród powiada?
Więc trzeba będzie jej tłumik zakładać.....

Przy wigilii

Pochyleni w swych domach nad prezentów stosem
nawet i politycy mówią ludzkim głosem...

KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI

A F O R Y Z M Y

*
Świadomość lubimy mieć mądrzejszą od podświadomości.

*
Jeśli autor jest nawiedzony, to jeszcze nie znaczy, że przyszła do niego Muza.

*
Na jęk rozkoszy noc spuszcza zasłonę milczenia.

*
Karta praw potrafi odnaleźć się w talii do gry w durnia.

*
Z wody przelewanej na papier tworzą się w literaturze różne nurty.

*
Z powodu ciemnoty człowiek potyka się o własny rozum.

*
Podobno palma pierwszeństwa jest dzisiaj rośliną pokojową.

*
Sztuka nieco obłąkana wskazuje na stan ducha czasu.

*
Biednych dziela różnice, a bogatych sumy.

*
Z czasem kobietom ubywa wiosen, a przybywa jesieni.

*
Komu nie starcza komedia ludzka, niech nie prosi się o dramat.

Same kłopoty z tą nagą prawdą, zwłaszcza kiedy już
zgwalcona.

*

Po transformacji na nowo odkrywamy Amerykę jak puszkę
Pandory.

*

Bajeczność historii lubi zależeć od przepychu elit.

*

Upór głupców to najbardziej stabilne oparcie dla tego świata.

*

Złodziej bierze rzeczy takimi, jakimi są.

*

W witrynach nigdy nie przemija moda na manekiny.

*

Prawdziwy Polak nigdy nie zmieści się w teczce.

*

Nie wszyscy mędrcy zawodzą. Niektórzy pieją peany.

*

Pieniądz pomaga dowartościować nędzę umysłową.

*

Łamanie kołem jest nieetyczne, wystarczy łamanie prawem.

*

Dno butelki nie wygląda tak kiepsko, jak dno wokół butelki.

*

Dzięki zwojom mózgowym człowiek potrafi myśleć
pokrętniej.

*

Idee po wtargnięciu do głowy zabijają myśli.

*

Głęb to mózg kapusty.

*

Jedna iskra boża potrafi wydobyć z chaosu świat artysty.

*

Muzyka sfer powinna być taka, żeby narodowi chciało się
śpiewać.

*

Jestem idealistą – szukam sensu nawet w słowach.

Mariusz Okułowicz

Kilka teoretycznych uwag o kategorii przestrzeni literackiej¹

Zarówno przestrzeń jak i czas należą do głównych kategorii konstytuujących dzieło literackie. W wielu utworach epickich i dramatycznych przestrzeń i czas są takimi kategoriami literackimi, w które wpisane jest dzieło i bez których nie mogłoby ono w jakikolwiek sposób zaistnieć na scenie literackiej.

Chociaż czas i przestrzeń w opracowaniach literackich omawiane są oddzielnie, to istnieje już od wielu lat perspektywa badawcza, traktująca obie wyżej wymienione kategorie jako *sui generis* semantyczną całość². Przestrzeń jako kategoria literacka stała się od kilku dziesięcioleci przedmiotem literaturoznawczych dociekań³ i – jak to bywa w przypadku młodej perspektywy badawczej – występują tutaj liczne hipotezy, ale także duża doza niejasności⁴. Owa nie-

¹ Niniejszy przyczynek stanowi niewielki fragment polskojęzycznego tłumaczenia pracy magisterskiej napisanej w 1996 r. w Katedrze Filologii Germańskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pod naukowym kierunkiem Dr. Christofa Fordera.

² Mam tu na myśli kategorie czasu i przestrzeni, interpretowane też jako nierozdzielna całość, przechodząca w „czwarty wymiar przestrzeni”, tzw. „czasoprzestrzeń”. Zob. M. Bachtin, *Czas i przestrzeń w powieści*, „Pamiętnik Literacki” 1974, z. 4, s. 273-311.

³ *Przestrzeń i literatura*, Studia pod redakcją M. Głowińskiego i A. Okopień-Sławińskiej, Wrocław 1978, s. 7.

⁴ J. Sławiński, *Przestrzeń w literaturze: Elementarne rozróżnienia i wstępne oczywistości*, W: *Przestrzeń i literatura*, op. cit., s. 11.

określoność wynika przede wszystkim z dość sporej liczby zaistniałych perspektyw badawczych i stanowisk naukowych⁵. Swoistą trudność stanowi ponadto niemożność całościowego ogarnięcia problemu, jak również nie dająca się racjonalnie wytłumaczyć materia badań. Nierzadko też na niewiedzy bazują błędy popełniane już na samym wstępie badań⁶.

Granice przestrzeni literackiej są niekiedy bardzo płynne i ruchome, ponieważ sama przestrzeń jest przez wielu badaczy różnorodnie odbierana i ujmowana. Stąd też istnieje spora dywergencja w poglądach i perspektywach badawczych⁷. Są między innymi stanowiska badawcze związane z dziedziną poetyki semantycznej, gdzie przestrzeń ujmowana jest w kategoriach morfologicznych utworu i traktowana jako jego składnik kompozycyjny (związany ze światem przedstawionym – scenarią)⁸. Oprócz tego bada się „archetypiczne uniwersalia przestrzenne”⁹ (zwłaszcza jeśli chodzi o abstrakcyjne wyobrażenia przestrzenne), w głównej mierze bazujące na koncepcji C. G. Junga o pierwotnych archetypach i symbolach¹⁰, czy też idei G. Bachelarda¹¹, widzianych przez pryzmat fenomenologii wyobraźni. Ponadto pojawiają się perspektywy filozoficzne jako formy przekształceń przestrzeni realnej, fizycznej. Istnieją też dociekania dotyczące poetyki historycznej, za pomocą której bada się konwencjonalne ujęcia motywów spacialnych w różnych gatunkach i epokach literackich¹².

Jako bardzo istotne jawi się w tym kontekście podstawowe założenie. Przestrzeń stanowi tylko wtedy przedmiot badań literaturoznawczych, jeżeli „[...] została w dziele z r o b i o n a, powołana do życia i funkcjonująca, a nie jako temat teoretycznych dywagacji autora, narratora czy postaci”¹³. Przestrzeń może być więc rozpatrywana jedynie w kategoriach konstrukcji kompozycyjnej utworu, jego świata przedstawionego. Jeżeli myli się ową morfologiczno-

⁵ Ibidem, s. 11-14.

⁶ Ibidem, s. 14-15.

⁷ Ibidem, s. 11-14.

⁸ Ibidem, s. 11.

⁹ Ibidem, s. 12.

¹⁰ Ibidem, s. 12-13.

¹¹ Zob. G. Bachelard, *Poetik des Raumes*, München 1960.

¹² J. Sławiński, op. cit., s. 11 i 13.

¹³ Ibidem, s. 16.

kompozycyjną stronę i kojarzy się przestrzeń z jej wtórnymi, przenośnymi i symbolicznymi znaczeniami, to popełnia się błąd już w samym założeniu. J. Sławiński zaznacza, iż znamioną cechą dociekań literaturoznawczych nad kategoriami spacjalnymi jest nagminne wręcz mylenie podstawowych, wyżej omówionych pojęć i całkowite mieszanie perspektyw badawczych. Ponadto stwierdza on, iż nie chodzi tu o ściśle trzymanie się jednej tylko metody badawczej. Mogą być one różnorodnie ze sobą kombinowane. Najważniejszą w tym względzie pozostaje kwestia, o której przypomina Sławiński: przestrzeń powinno się badać jedynie w kategoriach morfologicznej konstrukcji utworu¹⁴.

Płaszczyzny organizacji spacjalnej w utworze literackim

Pozostając przy perspektywie badawczej przestrzeni powiązanej z planem kompozycyjnym, można w jej obrębie wyróżnić trzy zasadnicze poziomy, należące do „jednego procesu semantycznego”¹⁵, na których konstytuują się w dziele literackim kategorie spacjalne:

- poziom opisu;
- poziom scenerii;
- poziom sensów naddanych¹⁶;

Poziom opisu stanowi podstawowy budulec, powołujący do życia przestrzeń w utworze literackim. Z opisem tym wiążą się środki opisowe, w skład których wchodzi zdania opisowe, które w wyrazisty sposób ukazują przestrzenne cechy utworu artystycznego. Opis spełnia tu nadrzędną rolę w generowaniu pewnych grup i skupisk spacjalnych¹⁷. Ważna jest tu jeszcze jedna kwestia. Nie każda wypowiedź językowa czy słowna implikuje występowanie przestrzeni¹⁸, będącej swoistym kluczem do zrozumienia utworu, przestrzeni jako samodzielnej jednostki semantycznej. Zamknięta w ramy zdania wypowiedź słowna, mówiąca o wykonywaniu przez kogoś ruchu, bądź o stanie spoczynku, w którym się dany podmiot znajduje, gdzie

¹⁴ Ibidem, s. 14-15.

¹⁵ Ibidem, s. 16.

¹⁶ Ibidem.

¹⁷ Ibidem.

¹⁸ Ibidem.

nie ma opisu, nie może być identyfikowana z przestrzenią. Albowiem „[...] przestrzeń przedstawiona [...] nie może być przestrzenią «nieproszoną», wyłącznie implikowana, zdana jedynie na swobodne widzimisię czytelnika. Przeciwnie – musi być «zaproszona», w pewien sposób wskazana, wywołana po imieniu”¹⁹. Z tego względu ważne jest (w odniesieniu do zasugerowanych przykładów), dokąd dana postać zmierza, co napotyka na swojej drodze, co znajduje się wokół niej, gdzie się znajduje, czy znajduje się w przestrzeni otwartej, a może pozostaje w zamknięciu?²⁰

Oznacza to, że na kartach eposu, opowiadania czy noweli muszą istnieć sposoby rozpoznawania przestrzeni w postaci zdań opisowych, ale nie tylko. Dla kategorii opisu charakterystyczna jest „[...] jej zdolność do wytwarzania bytów semantycznych. Poza tym należy uwzględnić fakt, że z deskrypcją mamy do czynienia nie tylko wtedy, gdy występuje jako odpowiednio rozległy, stylistycznie jednolity i usamodzielniony odcinek tekstu. Również wtedy, gdy pojawia się rozsiana w dominującym kontekście odmiennych typów wypowiedzi, w małych dawkach tekstowych – ledwo widocznych w inności otoczeniu. Wypada jednak powiedzieć więcej: opisowość jest nie tyle «formą», co tendencją znaczeniową, która może mieć bardzo zredukowane samodzielne wykładniki na powierzchni tekstu i występować jako aspekt wypowiedzi o zasadniczo niedeskryptywnym charakterze – opowiadania, monologu lirycznego czy roztrząsania. Niezależnie od stopnia wyrazistości i rozmiaru elementów opisowych stała jest ich funkcja: włączanie w semantykę przekazu parametru przestrzennego”²¹.

Kolejną jednostką morfologiczną, która współdecyduje i współwplywa na organizację przestrzenną dzieła literackiego jest płaszczyzna scenarii. Najogólniej rzecz ujmując, jest to jakby dekoracja i tło dla przedstawionego w utworze obszaru, rozgrywającej się w nim akcji, zmieniających się tam zdarzeń czy działających w nim bohaterów. W każdy utwór artystyczny jest wpisane takie tło, każdy utwór posiada swe otoczenie, bez którego nie mógłby zaistnieć jako utwór estetyczno-literacki²². Należy dodać, że owa dekoracja utworu

¹⁹ Ibidem.

²⁰ Ibidem, s. 16-17.

²¹ Ibidem, s. 17.

²² Ibidem, s. 18-19.

pod względem ważności jest kategorią drugoplanową, albowiem zawsze odnosi się do tego, co się (dzięki niej) w danym utworze dzieje. Dlatego też sama płaszczyzna scenerii w oderwaniu od innych pól semantycznych byłaby mało wdzięcznym tematem dla odrębnej rozprawy i niosłaby ze sobą niewiele treści, gdyby nie wskazywała na głębsze pokłady znaczeniowo-interpretacyjne danego dzieła²³. Nawiązując do poziomu opisu, można stwierdzić, że na tym etapie dokonuje się generowanie podstawowych nośników przestrzenności. Natomiast na poziomie scenerii dochodzi do łączenia się tych podstawowych nośników w większe grupy i całości²⁴. Pomiedzy płaszczyzną otoczenia a płaszczyzną mającą znaczenia przenośne zarysowuje się małe, niekiedy ledwo dostrzegalne przejście do sfery sensów ukrytych.

Badacze literatury zgodni są co do tego, że wiele dzieł artystycznych kryje w swym wnętrzu zarówno przestrzeń fizyczną, scenerię, tło utworu, jak i przestrzeń symboliczną, posiadającą znaczenia przenośne. Niejednokrotnie owe przestrzenie określa się różnym mianem²⁵. J. Sławiński trzeciemu poziomowi kształtowania się przestrzeni w dziele literackim nadaje nazwę płaszczyzny sensów naddanych. Na tej płaszczyźnie dochodzi do procesu tworzenia sensów przenośnych, dodatkowych, które powstają w niebezpośrednim związku z poziomem scenerii i dzięki „metaforom przestrzennym” – jak to określił G. Genette – wyrażają treści nieprzestrzenne²⁶. W niektórych utworach właśnie na tym poziomie kończy się przestrzeń i jej rozumienie. Są też i takie, w których przestrzeń zaczyna

²³ Ibidem, s. 19.

²⁴ Ibidem, s. 18.

²⁵ Pozwolę sobie w tym miejscu wymienić tylko niektórych spośród literaturoznawców: np. G. Genette w swojej recenzji pracy G. Matore'a „*L'espace humain*” zatytułowanej „*Przestrzeń i język*” rozróżnia niesymetryczne wobec siebie przestrzenie „*omawianą*” i „*mówiącą*” bądź „*denotowaną*” i „*konotowaną*”, przy czym przestrzeń „*konotowana*” jest bardziej przestrzenna od „*denotowanej*” i niesie ze sobą więcej treści aniżeli drugi rodzaj przestrzeni. Zob. G. Genette, *Przestrzeń i język*, W: *Studia z Teorii Literatury, Archiwum Przekładów „Pamiętnika Literackiego”*, t. 2, Wrocław 1988, s. 309. Natomiast M. Głowiński wprowadza pojęcie przestrzeni „*ogarniającej*”, innymi słowy – przestrzeni fizycznej i przestrzeni „*ogarnianej*”, czyli symbolicznej, której mogą być przypisywane różne znaczenia i sensory. Zob. M. Głowiński, *Przestrzenne tematy i wariacje*, W: *Przestrzeń i literatura*, op. cit., s. 79.

²⁶ J. Sławiński, op. cit., s. 21.

„m ó w i ć”²⁷. Może ona wyrażać sensy i wartości, zaczynając od politycznych, przechodząc do uniwersalnych, a kończąc na sensu stricto etycznych. „[...] Mówi się bowiem o czymś innym w k a t e g o r i a c h przestrzennych”²⁸. Oczywiście w danym utworze muszą istnieć pewne tryby i mechanizmy, za pomocą których można dojść do pokładu przestrzeni sensów ukrytych. Ale wtedy trzeba sięgnąć po leitmotywy z wielkiej spuścizny kulturalno-literackiej, które potwierdzają takie a nie inne rozumienie sensów symbolicznych²⁹. Owe sensy naddane „[...] stanowią budulec modeli kulturowych o treści bynajmniej nie przestrzennej [...]”³⁰. Przestrzeń na ostatniej płaszczyźnie organizacji kategorii spacialnych w utworze jest „n i e p r z e s t r z e n n a”.

Sacrum

Bardzo ważną kwestią, której należy poświęcić nieco uwagi, jest zagadnienie sacrum, czyli – najściślej rzecz ujmując – problem sakralności, czyli tego, co święte, religijne i tego, co odsyła do sfery boskiej. Sacrum „[...] łączy się wyraźnie z aktualnymi obecnie w nauce o literaturze kategoriami przestrzeni i czasu”³¹. Od dawien dawna doświadczenie ludzkie wyróżnia opozycję sacrum – profanum, a dokładniej tego, co święte i vice versa – tego, co nie święte, nie religijne, świeckie.

Wychodząc od twierdzenia, że problematyka sakralna ma związek z kategorią przestrzeni i uznając istnienie prymarnej w tym kontekście opozycji sacrum – profanum, należy przyjąć za słuszne założenie M. Eliadego o „niejednorodności przestrzeni” o istnieniu obszaru świętego i całej otaczającej go bezkształtnej masy przestrzeni nieuświęconej³². Przestrzeń święta posiada swój stały punkt, punkt kultu, miejsce, gdzie w sposób szczególny można łączyć się z bó-

²⁷ O tym, że przestrzeń „mówi”, pisze wielu literaturoznawców. Zob. G. Genette, op. cit., s. 308, a także M. Głowiński, op. cit., s. 81-87.

²⁸ G. Genette, ibidem.

²⁹ J. Sławiński, op. cit., s. 21.

³⁰ Zob. J. M. Lotman, *Problem przestrzeni artystycznej*, W: *Studia z Teorii Literatury, Archiwum Przekładów „Pamiętnika Literackiego”*, t. 2, Wrocław 1988, s. 294.

³¹ S. Sawicki, *Sacrum w literaturze, Problemy Teorii Literatury*, t. 3, Wrocław 1988, s. 358.

³² M. Eliade, *Sacrum, mit, historia*, Warszawa 1970, s. 61.

stwem, w obrębie którego może dochodzić do „przeskoku między poziomami”³³, do łączenia się z innymi sferami (ziemi z niebem i sferą świata ulokowanego poniżej ziemi)³⁴. Jest to „środek świata”³⁵. Z tym środkiem ściśle związana semantycznie jest przestrzeń symboliczna, która się wokół niego skupia³⁶. Bardzo często taki środek stanowi miejsce sakralne. „W wypadku przestrzeni sakralnej, najbardziej uderzająca jest wola człowieka religijnego, by znaleźć się w sercu rzeczywistości, u środka świata: tam, [...] gdzie się jest najbliżej bogów”³⁷. Jak już zostało powiedziane wcześniej, sacrum pozostaje w ścisłym związku ze swoim środkiem, centrum³⁸. Ponadto zagadnienie sakralności w sztuce literackiej ma dużo powiązań ze sferą tematyki danego utworu i wtedy pojawia się ono na dwu płaszczyznach: pola tematycznego i problematyki utworu (chodzi tu głównie o głębszy wgląd w semantykę dzieła, o bardziej dogłębną interpretację)³⁹.

W odniesieniu do pierwszego poziomu przejawia się on przede wszystkim jako znany temat lub jako motyw sakralny zaczerpnięty dla przykładu z Pisma Świętego⁴⁰. Jest to ujęcie sensu stricto powierzchniowe. Natomiast druga perspektywa wiąże się z „sacrum kreowanym” – jak wyraził się S. Sawicki – i dotyczy głębokich sensów danego utworu, wiążących się z dziedzina etyki i moralności⁴¹. W wielu utworach artystycznych jako nośniki głównych sensów pojawiają się problemy dobra i zła, świętości i grzechu, które

³³ Ibidem, s. 73.

³⁴ Ibidem, s. 73-74.

³⁵ M. Eliade, op. cit., 73-77.

³⁶ Odwołuję się w tym miejscu do tzw. „zasady identyfikacji”. Zob. M. Porębski, *O wielości przestrzeni*, W: *Przestrzeń i literatura*, op. cit., s. 25.

³⁷ M. Eliade, op. cit., s. 95.

³⁸ Problemem środka zajmował się również G. Poulet, który wychodząc od słynnej definicji Boga zawartej w średniowiecznej „*Księdze dwudziestu czterech filozofów*”, próbował w poglądach średniowiecznych scholastyków i mistyków i w „*Boskiej komedii*” Dantego odnaleźć wątki definicji „*sfery, której środek znajduje się wszędzie, a obwód nigdzie*”. Dość znamiennej cechą Pouletowskich rozważań jest motyw koła, posiadający wiele przenośnych znaczeń i łączący się semantycznie z kategoriami przestrzeni i czasu. Zob. G. Poulet, *Metamorfozy koła*, W: *Metamorfozy czasu*, Warszawa 1977.

³⁹ Przywołuję tu punkt widzenia S. Sawickiego na tę kwestię. Zob. S. Sawicki, op. cit., s. 359-364.

⁴⁰ Ibidem, s. 361-362.

⁴¹ Ibidem, s. 362-364.

w gruncie rzeczy należą do jednej wielkiej dziedziny, kategorii – sacrum. „[...] Zmaza i świętość, nawet należycie rozpoznane, [...] występują [...] jako dwa bieguny jednego [...] obszaru. Dlatego właśnie nawet w kulturach wysoko rozwiniętych określa się je często jednym i tym samym słowem”⁴².

Jak widać, zagadnienie sakralności zawsze wiąże się i pozostaje w ścisłym związku z problemem zła, który jest jego przeciwieństwem, ale wchodzi w skład tej samej głębokiej struktury semantycznej w dziele estetyczno-literackim.

Przestrzeń drogi

Kolejnym ważnym punktem, który należy zaakcentować, jest peregrynacja, czyli przestrzeń drogi⁴³. Dzięki swoim znamienym właściwościom droga jakby samorzutnie implikuje pojawienie się ruchu. Innymi słowy zawsze tam, gdzie jest mowa o pewnej drodze, tam również dochodzi do przemieszczania się, zmiany miejsca, nawet w znaczeniu przenośnym. Oczywiście sama droga, czy też przestrzeń drogi i ruch nie wystarczają, aby dalej mogła rozwijać się akcja utworu. Musi też istnieć zarówno sprawca, inaczej postać, która będzie daną drogę przemierzać, jak i rozgrywane się zdarzenia⁴⁴. Bardzo często powtarzającym i przeplatającym się w dziełach prozatorskich oraz wierszowanych motywem, po który sięga wielu twórców, jest wędrówka, ściśle związana z pewną drogą. Nerozłącznym towarzyszem tej wędrówki, jej semantycznym przeciwieństwem jest bezruch, trwanie w miejscu, które stanowi pewnego rodzaju dopełnienie wędrowania⁴⁵ i wraz z nim „należy do najstarszych «dwuplanowych» obrazów poetyckich służących przekazywaniu treści antropologii filozoficznej i etyki”⁴⁶. Podsumowując, wypada wspomnieć, że peregrynacja może stanowić też pewien model widzenia i rozumienia świata⁴⁷.

⁴² Ibidem, s. 364.

⁴³ W odniesieniu do przestrzeni drogi opieram się na spostrzeżeniach J. Abramowskiej. Zob. J. Abramowska, *Peregrynacja*, W: *Przestrzeń i literatura*, op. cit., s. 125-158.

⁴⁴ Ibidem, s. 125.

⁴⁵ Ibidem, s. 126-127.

⁴⁶ Ibidem, s. 127.

⁴⁷ Ibidem.

Literatura kliniczna

Zgodnie z definicją paranoja to choroba powodująca zespół urojeń, czyli zaburzeń myślenia i odczuwania, prowadzących do fałszywych sądów o rzeczywistości. Jak twierdzą lekarze, niektóre przypadki urojeń paranoidalnych zupełnie nie przypominają objawów chorobowych. To z tego powodu otoczenie uważa niektórych paranoików za ludzi całkowicie zdrowych. Okazuje się, że ta przedziwna choroba jest nie tylko częstym tematem rozpraw naukowych. To jej poświęciła swoją kolejną książkę urodzona w Hiszpanii francuska pisarka Lydie Salvayre, z wykształcenia psychiatra. W wydawnictwie Znak ukazało się właśnie „Zwyczajne życie” - powieść, którą opatrzone nagłówkiem „Paranoja – instrukcja obsługi”.

Do niewielkiego pokoiku, który zajmuje Suzanne – kobieta w wieku przedemerytalnym, asystentka w wielkiej firmie reklamowej – wprowadza się nowa sekretarka, młoda energiczna dziewczyna, obdarzona wydatnym biustem i skłonnością do plotek. Choć wydaje się, że kobiety znajdą wspólny język, staroświecka Suzanne nie potrafi przyzwyczać się do nowej sytuacji. W miarę jak dziewczyna zapoznaje się ze swoimi obowiązkami, w Suzanne rośnie frustracja i złość. Z jakiego powodu? Suzanne twierdzi, że „nowa” flirtuje z szefem agencji, Panem Meyerem, prowadzi podstępą walkę o zakaz palenia w pracy (Suzanne jest palaczką), ubiera się niestosownie (kiedy ona najczęściej nakłada skromny, popielaty żakiet), głośno krytykuje jej styl życia i pozwala sobie na niestosowne uwagi o firmie. „Nowa sekretarka dzieli ze mną pokój zaledwie od dziesięciu dni, a moje życie nie posuwa się już pięknym prostoliniowym ruchem, lecz krętym chodem kraba – mówi Suzanne. – Jej obecność niewytłumaczalnie zbija mnie z tropu. Posługuję się tym określeniem świadomie. I nie mogę wygnać jej obrazu z mojego umysłu.

Zapuciła we mnie korzenie, rozprzestrzenia się, przeszywa mnie bólem, wzrasta we mnie jak drzewo, wypuszczając liście w najdrobniejszych szczelinach. (Aż się dziwię, że przywołuję ją słowami miłości, podczas gdy ona ma niebывałą zdolność do drażnienia mnie i każdy szczegół jej jestestwa napawa mnie nienawiścią.)” Czy zażdrość o większy biust lub szykowną sukienkę może przerodzić się w nienawiść? Okazuje się, że tak. Chociaż Suzanne stara się tego nie okazywać, każdy gest nowej sekretarki, jej słowo, spojrzenie, element stroju traktuje, dosłownie, jak zapowiedź wojny, a kiedy skrywana głęboko nienawiść zaczyna przybierać monstrualne rozmiary, czujemy się zaskoczeni. Przecież zachowanie sekretarki nie miało w sobie nic, co mogłoby wywołać tak histeryczną reakcję. Dopiero wtedy zaczynamy domyślać się, że to, co widzi bohaterka, to tylko urojenie, obsesja jej chorego umysłu, wyczerpanego nieustannym poczuciem zagrożenia, a jej problemy w pracy mają głębsze uzasadnienie. Wychowana w domu, w którym nigdy nie okazywano uczuć, a ceniono opanowanie i zdrowy rozsądek, Suzanne nie potrafi nawiązać z ludźmi normalnych relacji: „Wystrzegam się frazesowiczów, deklamatorów, recytatorów oraz sprzedawców uczuć i przecenionych towarów. Śmiertelnie mnie nużą. Czuję wstręt do bebechowanych emocji, które wylewają się z niedomkniętych ust. Źle pachną. Napawa mnie odrazą tarzanie się w błocie plotek i ohydnej szczekalniny, które tak spaja sąsiadów. Aż się lepią. Lubię ludzi lakonicznych. Ludzi wstrzemięźliwych. Takich, dla których słowo ma swoją cenę. Mogę ich policzyć na palcach jednej ręki. Ojciec był jednym z nich.” Podobne relacje „łączą” Suzanne z jej sąsiadem, sprzątaczką, mężem córki i lekarzem, któremu sfrustrowana, pedantyczna do bólu Suzanne skarży się na ciągłe problemy z sercem. Bo nie czuje się dobrze w swojej skórce. Nie potrafi obcować z ludźmi i jednocześnie potrzebuje ich bliskości. Z niesmakiem krzywi się na widok mężczyzny i jest spragniona jego dotyku.

Książka została napisana w narracji pierwszoosobowej. To Suzanne otwiera przed nami drzwi do swojego świata, opisuje nam jego detale, próbuje wyjaśnić nam swoje lęki i obsesje. Lektura książki jest o tyle zaskakująca, że miejscami nie jesteśmy pewni, czy nieszczęścia, jakie dotyczą bohaterkę „Zwyczajnego życia” nie są wyłącznie jej winą. Bo wystarczy tylko zmienić punkt widzenia, a poszczególne elementy „spisku” ułożą się w przekonującą całość. Może rzeczywiście nowa sekretarka celowo doprowadziła Suzanne do załamania nerwowego, by w ten sposób osłabić jej pozycję

w firmie i przejąć lepiej płatne stanowisko. Tak swoją sytuację widzi Suzanne i czasami naprawdę skłonni jesteśmy jej wierzyć.

Książka Lydie Salvayre to nie tylko doskonały przypadek dla klinicystów. To także ciekawa literatura, której daleko od sztuczności naukowej rozprawy. Słusznie zauważają wydawcy, że książka „Zwyczajne życie” to przenikliwe, choć nie pozbawione ironii, studium obsesji. Autorka osiągnęła jedną niebywałą rzecz: stworzyła bohaterkę, którą jednocześnie nienawidzimy i boimy się, której współczujemy i chwilami przyznajemy rację. Antypatia, jaką w nas wywołuje, wynika chyba z podświadomej obawy, że możemy mieć z nią wiele wspólnego, że podobnie jak ona ulegam irracjonalnym lękom i obsesjom. Jean - Paul Sartre stwierdził kiedyś, że „piekło to inni”. Powieść Salvayre stawia inną tezę – „Piekło to my. Piekło jest w nas”. Niektórzy z nas panicznie boją się zwolnienia z pracy, rywalizacji z ludźmi młodszymi i lepiej wykształconymi. Takie sytuacje są na porządku dziennym, co nie znaczy, że każdy musi stać się paranoikiem.

Zdradźmy kilka szczegółów z zakończenia. Kiedy Suzanne zostaje zwolniona z pracy, jej życie stopniowo nabiera blasku. Paranoja nie jest jednak łatwym przeciwnikiem, więc autorce powieści daleko jest od optymistycznego zakończenia. Ważne jest, że Suzanne widzi swoje niedoskonałości i chociaż trudno jej zaakceptować samą siebie, robi krok naprzód: codziennie rozgrywa ze swoją sąsiadką partyjkę kart.

Lydie Salvayre, *Zwyczajne życie*, przeł. Ewa Wieleżyńska, Kraków, Znak, 2006.

Przemijanie

Wiktora Szweda

Wiktor Szwed – jeden z najwybitniejszych poetów białoruskich, piszących w Polsce, wydał ostatnio tomik swoich wierszy we własnym przekładzie na język polski. Tomik nosi tytuł „Przemijanie”. Stanowi on dla czytelnika polskiego rzadką okazję do poznania wierszy tego poety.

Zanim przejdę do meritum, do tego, jak ten odwieczny temat porusza autor, chciałabym powiedzieć kilka słów o specyfice wierszy Wiktora Szweda. Są one pisane wierszem regularnym, sylabicznym, najczęściej zbliżającym się ku sylabotonizmowi, co daje im wyjątkową melodyjność, a rymy, wypracowane, eleganckie, jeszcze podkreślają ich rytmiczność, czystość brzmienia. W tę klasyczną formę wkłada Wiktor Szwed słowa proste, unika zbędnej metaforyki, wszelki barok formalny jest mu obcy. Ta czystość formalna jest podkreślona przez wykorzystanie takich tropów, jak alegoria, tak często stosowana w twórczości ludowej, w prawie oczywisty epitet, ciekawe porównanie, gdzieś tam, z rzadka, pojawia się metafora. Towarzyszy temu wszystkiemu światopogląd o często ludowej proveniencji. Czasem występuje podkreślenie wyodrębnionego z obrazu rzeczywistości szczegółu: czy to zwierzęcia, drzewa, kwiatu, czy to drobnego faktu zapamiętanego z dzieciństwa, czy też, jak w wierszu „Cygański tabor”, przedmiotu, który, wypunktowany, porusza, na przykład we mnie, regiony egzystencjalne:

*Ten widok niezapomniany –
Odjazd taboru – obozu,
Z nim puste wiaderko blaszane
Wciąż się huśtało pod wozem.*

(s. 15)

Drobna obserwacja z dzieciństwa w wierszu „Mało mama spała” określa cały jej los, stanowi też oś kompozycyjną wiersza:

*I zmęczona pracą mama
Na cmentarzu, pod krzyżami,
Śpi spokojnie już snem trwałym.
W życiu mama mało spała...*

(s. 24)

W wierszu „Stary sad” uwagę autora skupia jabłko, które spada pod nogi. W wierszu „W rodzinnej wsi” jest to stary żuraw u studni. To punktowanie szczegółu, niby okiem kamery, stanowi dość częsty chwyt autora, który lubi z drobiazgu wyprowadzać prawdy ogólnej, w sposób cichy, skromny, nie narzucający się czytelnikowi. Ten „pośredni” sposób mówienia o świecie cechuje chyba najlepsze jego wiersze.

Wiersze Wiktora Szweda, to dla mnie, poezja wychodźstwa, potrójnego: cywilizacyjnego – bo ze wsi do miasta; kulturowego – bo z białoruskości w trochę obcy, polski świat i wreszcie historycznego – z czasów jego dzieciństwa w obecne. Dlatego tak często tu obecna nostalgia, tęsknota za tym, co minęło i co żyć może tylko, z pietyzmem odtworzone, w wierszu. Przepiękny wiersz „Len” jest tego przykładem, jak też wiele innych. W zaprawionym bólem, ironicznym wierszu „Pełna chata eksponatów” autor wylicza przedmioty ze swego dzieciństwa, które, tak bliskie jego sercu, odeszły w przeszłość. To jak gdyby fizyczna strona przemijania – przemijanie wytworów ludzkich. Ale ważniejsze jest przemijanie człowieka i śmierć w naturze – duchowo z nim związana.

* * *

*Aromat silny, aż mdlawy,
Pierś mą napęlnia od rana.
Tak pachnie, tak pachnie trawa,
gdy przeistacza się w siano.*

*Ta cisza po miejskiej wrzawie
Przedziwna, że aż doskwiera.
Tak cicho, tak cicho trawa
Po jej skoszeniu umiera.*

(s. 14)

Porażająca jest śmierć trawy w tym wierszu, tak pięknie, tak godnie ludzka, a może tak piękna, jak rzadko jest to dostępne człowiekowi. *Zapach tego siana jest duszą trawy, która unosi się nad łąką, by ulecieć w końcu ku Najwyższemu* (z recenzji F. Kobryńczyka, s. 65).

Pięknie skomponowany wiersz „Na horyzoncie lasu gotyk” mówi o tym, jak bliska jest autorowi natura, jak przybliży go do Boga, ponieważ zawiera pierwiastek świętości:

*Poznać by sosnę z drzewostanu,
Która da deski po mym zgonie.
Klęknąłbym przed nią na kolana
I ucałował jak ikonę.*

*Może na wieczny odpoczynek
W korzeniach lasu się ułożyć
I sosną w górę wnet wypłynąć,
Żywiąc w sercach ludzi płożyć.*

(s. 39)

W wierszu „Jedność z przyrodą” oprócz przekonania, że przyroda zawsze i wszędzie towarzyszy człowiekowi, i w chwili narodzin, i śmierci („z nadmogilnych korzeni” wywodzą się i „kołyski i trumny”), znajduje się ludowa w swej proveniencji wiara w ciągłość człowieka i natury, jej powtarzalność. W tym znaczeniu nasze przemijanie ma ponadludzki, zmierzający ku wieczności sens.

I wreszcie jeszcze jedna ze stron przemijania – samotność. W wierszu „Samotność” poeta ze smutkiem stwierdza: *Gdyż samotność już jest jego cieniem* (s. 46). Przemijamy także w duszach naszych przyjaciół, przyjaciele też przemijają, gdy: *Dusza pragnie wciąż światła spotkania* (s. 46).

Bardzo poruszył mnie wiersz „Sumienie”. Pozwolę sobie zacytować go w całości:

*Z dzieciństwa me sumienie wzrusza
Ptaszek, co miał żółciutki brzuszek.
Na płocie siadał on na chwilę,*

*Ja, głuptas, kijem weń rzuciłem.
 Myślałem, tylko go nastraszę,
 Spadł jednak martwym z płotu ptaszek,
 Nie przypuszczałem, że to koniec,
 Trzymając ptaka na swej dłoni.
 Czyniłem ożywienia próby,
 Wlewałem wodę w ptasi dzióbek...*

*I całe życie mną wciąż miota
 Ta ptasia śmierć
 Z wiejskiego płotu.*

(s. 19)

Jest to najbardziej wyrazisty, najbardziej przekonujący wiersz o sumieniu, jaki czytałam. Bez zbędnej dydaktyki, wielkich słów, za pośrednictwem maleńkiego obrazka z dzieciństwa, nawet bez mowy o krzywdzie ludzkiej, ukazuje nam sine qua non każdej moralności.

Wiele w tych wierszach prawd podstawowych, wyłożonych prawie bezpośrednio, wręcz aforyzmów o życiu, tak jak gdyby wiersz, na sposób ludowy, miał być przekazem dla potomnych, przekazem, wypracowanym przez pokolenia.

I wreszcie erotyki. Ubrane w kunsztowną formę trioletu, po to, żeby dzięki powtórzeniom dobitniej przekazać uczucia poety:

*Z niezwyčajną duszą kobieta
 Już zasiała w sercu mym trwogę.
 Czegoż więcej spodziewać się mogę?
 Z niezwyčajną duszą kobieta.
 I nie szukam już przyczyn, niestety,
 Nie narzekam na los swój złowrogi.
 Z niezwyčajną duszą kobieta
 Już zasiała w sercu mym trwogę.*

(s. 54)

Tomik kończy wiersz „Trening”, w którym autor żegna nas z uśmiechem:

*Cóż, widocznie trenować
Zacznę już przed snem wiecznym.*

(s. 63)

Jest to podsumowanie rozważań o przemijaniu, gorzkie, godne, ale ja, wbrew autorowi, liczę na nowe, piękne wiersze, na to, że zegnamy się tylko na chwilę.

I r e n a S ł o m i ń s k a

Wiktor Szwed. *Przemijanie*. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2006 (Świętojańska III Seria Poetycka 6).

***Długożywie* Anny Markowej**

Do tej książki wracałam wielokrotnie, za każdym razem troszeczkę inaczej, ale nieodmiennie wstrząśnięta. Nie tylko dlatego, że jej dość obszerna część dotyczy bliskiej mi ziemi i ludzi, którzy na niej żyją. Ale przede wszystkim ze względu na temat, który porusza. Mówię o „Długo-żywiu” Anny Markowej, książce, która co prawda ukazała się w 2001 r., ale jest dostępna w bibliotekach.

Już sam tytuł książki – „Długożywie” mówi nam, o czym ona jest. O umieraniu – pewnych formacji społecznych, takich jak wieś ściany wschodniej, ustroju – szczególnie wyraźnie opisany tu został moment transformacji ustrojowej, struktur historycznych zapisanych w świadomości ludzi, mówię o inteligencji przedwojennej, o umiera-

niu mentalnym. Wydaje mi się, że pewna mentalność odchodzi w przeszłość – humanizująca ogląd świata. I wreszcie o tym najdosłowniejszym – umieraniu fizycznym.

Na książkę złożyły się opowiadania o dużym zacięciu reportażowym, opowiadania portrety, proza faktograficzna oparta o dokument – zapiski, korespondencję, fotografie, na podstawie których autorka buduje kreowaną rzeczywistość, odkrywane przez empatię wewnątrz i przeżycia drugiego człowieka. Taki, wynikający z pomieszania gatunków, zamysł książki niesie w sobie treści metagatunkowe – polska proza współczesna wiele zyska w oparciu o dokument, którego masowy rozwój mamy na przełomie wieków: autobiografia, dzienniki, reportaże. Wspomnę tu choćby wstrząsające oddziaływanie „Dzienników” Anny Frank, „Medalionów” Zofii Nałkowskiej, książek reportażowych Ryszarda Kapuścińskiego. Połączenie treści stricte fikcyjnych z dokumentem to jedna z dróg dla naszej współczesnej literatury. Jak należy to robić, pokazuje nam właśnie Anna Markowa.

Oto wieś – kolonia Długożywie. Jest wyludniona, zamieszkała przez kawalerów, żyje się w niej krótko – typowa wieś podlaska. Ale *Co z tego, że tutejsi mężczyźni żyją krótko, według jakichś tam uczonych obliczeń. Komu krótko, temu krótko. A drugiemu aż nadto długo. Najważniejsze, że po swojemu. W swoim prawie i w swoim zwyczaju. I nikomu nic do tego. Bo nawet tu Życie bywa takie, że aż dech zapiera, i śmiać się chce i płakać w jednym momencie.* („Długożywie”, s. 15).

Poruszające są opowiadania – portrety. Ludzi samotnych, których jedynymi przyjaciółmi są zwierzęta, nasi „bracia mniejsi”. Opowiadania mówiące o duchowych przestrzeniach ludzi zwyczajnych, często ułomnych, nie rozumianych przez innych. – *Nic nie wiecie. One, niebożęta, specjalnie przebierają się. Za myszki, bo bezpiecznie. Ja umiem rozpoznać, a wy nie. Taka to sprawa. (...) – Możecie już wyjść. Nie rozumiejące poszły sobie. Na zawsze. A wy nie gniewajcie się na mnie.* („Niebożęta”, s. 33-34).

Z takiej wsi starszuczkowie nie chcą odchodzić „na doczekanie” do miast. Życie w blokowiskach powoli zabija ludzi przywykłych do stałego kontaktu z naturą, z innymi.

Autorka pisze w tekście „Zapomnieć, pamiętać”, który wyraża jej duchowe credo:

Pamiętać o tym, co nie dane nam, a zaledwie wypożyczone na dzień, na miesiąc, na chwilę.

Pamiętać o ludziach żyjących po swojemu. O szeptuchach i piastunkach niebożąt. O duszyczkach, pracowitych nawet po odejściu. O rzeźbiarzach dziwnych aniołów. O cichutko, pokornie umierających wioskach. O ucieczkach stąd i powrotach. O wszystkim.

Pamiętać: jakkolwiek jest, Bóg stworzył wieś, a diabeł miasto. (s. 75-76).

Bo tu – w tym prawie zapomnianym, odtrąconym świecie ludzie mają duszę. Krzywdy tu zwyczajne i kontakty międzyludzkie zwyczajne. Autorka cieniuje obraz, nie zniekształca go sentymentalizmem, którego czasem jakby lekko dotyka. Bo tu wszystko dzieje się głębiej, w ludzkiej duszy. A jej nieobcy jest sentymentalizm. Człowiek ułomny, słabszy ma w krajobrazie mentalnym Anny Markowej takie samo prawo do życia, jak „nowokapitalista”. Śmierć indywidualna jest tu tak samo okrutna, tak samo boleśnie odczuwana jak wszędzie („Nadzieja pogrobnica”), to jej krajobraz, ale jakby złączonej zieloną kreską.

Ludzie starzy, nie mieszczący się w ekspansji nowego kapitalizmu są bohaterami opowiadań następnej części książki zatytułowanej „Jak nie przeczytany list”. A także cała miłośność czasów transformacji ustrojowej. Przygnębienie krajobrazami miasta, obfitującego w blokowiska, wpisuje się tu w ogólne przygnębienie autorki obecne w obrazach snów, szpitala, urzędów – zdehumanizowanego świata. Opowiadanie „Trzy Wenecje” zderza młodzieńcze marzenia autorki o „pełnym, ludzkim” świecie z rzeczywistością. Śmierć w tym krajobrazie wyposaża tylko w garstkę rzeczy: *A to, co dał jej na podróż w niewiadome, zmieściło się w malej reklamówce. Z napisem „Oryginal Jeans Winkley”*. („Oryginal Jeans Winkley”, s. 79).

Ale autorka nie postrzega świata jednowymiarowo, oddzielając wyraźną granicą pojęcia: dawniej – dziś, wieś – miasto. Z odtworzonego z dokumentów i opowieści rodziny życiorysu ojca wyłania się świat historyczny zaatakowany totalitaryzmami. Jego historia „niedokończona” prowadzi autorkę do konkluzji:

Inny scenariusz, inny los. Ojcu udaje się uniknąć aresztowania i obozu. (...).

Ojciec starzeje się powoli, nudnie i boleśnie. Przechodzi na cholernie zasłużony wypoczynek. Kiedy wybucha pierwsza Solidarność, a potem general ogłasza stan wojenny, tato nie ma już sił na drugą w swoim życiu konspirę. Zresztą on tak żyje – nie żyje. Niby kołaczę się po świecie, ale nie bardzo wiadomo, po co. W osiemdziesiątym dziewiątym roku ma dokładnie osiemdziesiąt dziewięć lat. Za

stary, żeby cieszyć się wolnością. Później tym bardziej za stary, żeby cierpieć, kiedy widzi, jak ta wolność pokracznieje i coraz marniejsi ludzie puszą się na pierwszych stronach gazet.

Nie potrafiłabym pomóc mu, sama już niemłoda i zmęczona. A on pewnie mówiłby na okrągło o swoich starczych chorobach i zmarnowanych latach, dziesiątkach lat. I to właśnie byłoby jego nie – życie. Tak sobie myślę, kiedy ktoś wzdycha współczująco „mój Boże, za wcześnie umarł”.

Nigdy nie wiadomo, co jest za wcześnie, a co za późno. W każdym razie z moim ojcem tak czy inaczej, zawsze byłoby to samo. („Tak czy inaczej, zawsze to samo”, s. 116-117).

Jeżeli trudny wiek XX nauczył nas rozpaczy, tej dotykanej i tej światopoglądowej, jeżeli Nietzsche i komunizm ogłosili śmierć Boga, to ta przechowana od czasów przedwojennej polskiej inteligencji religijność, wiara w człowieka i lepszy ustroj społeczny, była siłą ocalającą, która przyniosła nam Solidarność i przemiany ustrojowe – demokrację. I kolejne rozczarowania. Wszystko to wpisało się w biografię Anny Markowej, tę indywidualną i tę intelektualną. I najważniejszym stało się dla autorki poszukiwanie przejawów człowieczeństwa, osobnicza walka o nie nawet w warunkach ekstremalnych – fizycznego umierania.

I tu przechodzimy do najbardziej bolesnej, osobistej części książki: „Pora na zniczenie”. Jest to zapis umierania wieloletniej, najbliższej przyjaciółki autorki – Naty. Nata po operacji gardła nie mogła mówić, cierpiała przeraźliwy ból, jej jedyną komunikacją z otoczeniem były zapiski na karteczkach. Te momenty komunikacji z otoczeniem stanowią „dokumentalną” wypowiedź Naty, obok której zaistniała narracja autorki, odtwarzająca przebieg choroby i przeżycia bohaterki. Kreująca zarys portretu wewnętrznego Naty z czasów poprzedzających chorobę i w ekstremalnej sytuacji. A więc i fikcja i dokument.

Najbardziej lubię: mojego męża, prawdę obiektywną, sprawiedliwość, psy, a także zieleń i drzewa – pisze Nata (s. 147). Z tej zieleni dzieciństwa, wychowała się bowiem w wiejskim dworku, wyniosła Nata umiłowanie poziomek i kwiatów. Do tego wszystkiego teraz tak daleko. Choroba niszczy wewnętrzną tożsamość, ból niszczy godność, wciąż obecne jest uczucie upodlenia przez cierpienie. Z tym wszystkim zмага się Nata, uporczywie ratująca ostatnie więzi z życiem, których wyrazem jest na przykład zielony liść. I wiara.

I modlitwa. Mimo wszystko, wbrew wszystkiemu.

Jak mocno trzeba wierzyć, żeby zobaczyć dobro w piekle. Nie potrafiłabym zdobyć się na tyle wiary. Wiem, że nie – pisze autorka. (s. 153). Nata – pisarka ma jeszcze pomysł na nową książkę. Dawna Nata uważała, że kultura to: Ład, harmonia, współdziałanie. Nata obsesyjnie szukała tego wokół siebie i nie mogła znaleźć. Żyła, jak my wszyscy, w świecie chaosu, żalonych idoli tłumu, wykreowanych z kompletnych zer, zajadłego wyścigu szczurów. To nie był jej świat, jej naturalne środowisko. W równym stopniu nie cierpiała minionego systemu, bezprawnie nazywanego socjalizmem jak i kapitalizmu z niehumanitarną twarzą, bezwzględnego, bezdusznego, rajy dla aferzystów – przekręciarzy, małych drapieżników. Nie śmieszyło jej powiedzonko rodem z Ameryki, że pierwszy milion dolarów trzeba ukraść, a potem można już uczciwie mnożyć dobra. Zarzekała się, że to, o czym marzy, nie jest utopią. Jednak dla większości ludzi walka a nie współdziałanie – to warunek przetrwania. Ona umiała walczyć wyłącznie w obronie innych. (s. 163). Teraz, żeby „ocaleć”, prosi o drobniaki, o głupstwa. Ileż dają skojarzeń, jakie pole dla przywiązań, dla wyobraźni. Zatrzymują to, co w życiu najważniejsze, piękne chwile, jakby powiedział Faust. Zapisuje sny. Piękne, dłużniewickie.

Długo by jeszcze streszczać... Heroiczne podtrzymywanie człowieczeństwa. Które jest wartością. Nawet jeśli jedyną wartością.

Literatura światowa dwudziestego wieku nauczyła nas w odniesieniu do człowieka barw pesymizmu. I nawet jeśli to uzasadniony pesymizm, wydaje mi się, że trzeba się z niego podźwignąć. Dla przyszłych pokoleń. Wbrew wszystkiemu.

To ważna książka. Szczera do bólu. Okrutna, jak okrutne jest życie. I piękna jak życie.

Irena Słomińska

Anna Markowa. *Długożywie*. Trans Humana Wydawnictwo Uniwersyteckie, Białystok 2001.

Rozmowa z cieniem **Eligiusza Szulborskiego**

Poza formalną kreacją

Rozmowa z cieniem Eugeniusza Szulborskiego jest książką swojego niepokoju w ponad czterdziestoletnim zmaganiu się autora ze słowem. Zawiera utwory powstałe w różnych okresach jego życia. Są tu teksty publikowane już w różnej formie, włącznie z anteną radiową, jak też drukowane pierwszy raz, choć powstały bardzo dawno temu.

E. Szulborski pisze wiersze, fraszki, aforyzmy, haiku, opowiadania, felietony, szkice historyczne, czasami recenzje książek. Wśród jego dorobku literackiego są „drobiazgi” wydawane kiedyś z pominięciem cenzury, a więc o bardzo niskim nakładzie i technologii możliwej na ówczesne czasy, np. w dziesięciu egzemplarzach maszynopisu. Tak właśnie wydany został poemat *Rozmowa z cieniem*, który dał tytuł niniejszej książce i zamknął utwory bliskie „rozmowie”, i bliskie „cieniowi” naszej rzeczywistości.

Stanisław Nyczaj w postłowie do książki *Krawędzią urwiska* napisał: „Eugeniusz Szulborski stara się wyrazić swój czas. Właśnie i przede wszystkim czas Czas nie ujarzmiony, który pędzi, gubi, gmatwa. Ruchome dziś *stające się znakiem zapytania w nieskończoność*. To trudne i ambitne zmaganie. Tylu wszak wchodziło w kon-szachty z czasem!”¹ Leonarda Szubzda zauważyła, że „Tematyka twórczości E. Szulborskiego dotyczy człowieka i jego uwikłań

¹ Stanisław Nyczaj, „Stop form, obrazów i znaczeń”, w: E. Szulborski, *Krawędzią urwiska*, Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 1996

w świecie, także przyrody w szerokim tego pojęcia znaczeniu ... Jako profesjonalny historyk Eugeniusz wie, że historia kołem się toczy, przywołuje zdarzenia, które były kiedyś, korzysta z mądrości ludowych przysłów i porzekadeł ... jak lustro odbija nasze wady, słabości, śmieszności ...

W wielu wierszach odnajdujemy motywy religijne – religijności prostej, wyniesionej z domu rodzinnego, ze słów pacierza, obrzędów związanych ze świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Eugeniusz darzy Boga wielką ufnością. Z wiary czerpie zarówno siłę jak i mądrość ... Autor wie, jak słaby jest człowiek bez pomocy Opatrzności, jak jest zależny od Boskich wyroków”² Irena Słomińska zobaczyła nić pokory przebiegającą przez pisanie E. Szulborskiego: „Tak bardzo jest potrzebne człowiekowi poczucie pokory i posłuszeństwa Bogu, który miłuje, ale którego *miłość sprawia/ że są zasady i wymagania*. Szulborski to głęboko czuje i wszechstronnie przemyślał, a w jego wierszach, poza tonem publicystyki, jest głęboki liryzm, ciekawa często szorstka metafora o chłopskiej, ale nie tylko proweniencji”³.

„Największe wrażenie swój ą siłą przekazu artystycznego robią na mnie utwory stricte poetyckie, o walorach uni-wersalnych, ponadczasowych – stwierdził A. W. Guzek – które nie zestarzeją się i nie zblakną wraz z przemijaniem czasu i aktualnych notowań na historyczno-politycznym rynku ... Żywiołem jednak panującym absolutnie w zbiorze jest historia związana niezliczonymi więzami z polityką.”⁴ „Psalmy, same w sobie pisane są na chwałę Boga, są nieustającym w zachwyceniu hymnem na cześć Stwórcy. Szulborski, poza formalną kreacją współczesnego wiersza lirycznego, nie odbiega zbyt od zasadniczego kanonu hebrajskiego arcydzieła. Jego krótkie, chciałoby się rzec kameralne, komunikatywne, pozornie proste w percepcji wiersze także nie są zapisem totalnego wadzenia się z Bogiem, rozdzierania szat czy zdeklarowanego buntu przeciw krańcowym doświadczeniom miłości czy nienawiści, jakim poddawany był, jest i będzie w każdym czasie i miejscu człowiek, lecz

² Leonarda Szubzda, „Za marginesem słów E. Szulborskiego”, w: E. Sulborski, *Teraz i nic*, NKL Białystok 2003

³ Irena Słomińska, „Kilka uwag o tomiku”, w: E. Szulborski, *Mię-dzy ja i Ty*, NKL Białystok 2003

⁴ A. W. Guzek, „Postowie”, w: *Odbicie*, NKL Białystok 1999

przejawem świadomej z racjonalnego wyboru pochodzącej, a zatem odważnej pokory i mężnego poddania się wyrokom Boskiej Opatrzności. Cokolwiek by jednak nie mówić poeta zawsze pozostaje sobą, nie ucieknie nigdy od samego siebie, od swego lirycznego kodu, tak więc utwory białostockiego liryka, pomimo symbolicznego ugięcia kolan, poddają jednak pod osąd Boski irracjonalizm naszego szalonego i okrutnego zara-zem w swojej dekadencji wieku i świata”.

Czas i pokora, miłość i posłuszeństwo, historia i terażniejszość są więc tworzywem, z którego Szulborski czerpie przemyślenia. Czasami definiuje je lapidarnie, a czasami docieka powodów i przyczyn owego „być”, toczenia się historii i splatania się jej z terażniejszością, miłości ludzkiej i Boskiej miłości do człowieka.

Marianna Czuba ta

A. W. Guzek, „Szukając chwałę, czyli Eugeniusza Szulborskiego wołanie na puszczy”, w: *W godzinie niepewności*, NKL Białystok 1996

Wiersze gojące rany

(kilka refleksji na gorąco po przeczytaniu
debiutanckiego tomiku Erazma Stefanowskiego)

Licencja poetica sprawia, że w wierszach Erazma Stefanowskiego spotykają się jednocześnie różne czasy i różne postacie, nie robiąc sobie nic z przedziałów wieków, jakie je dzielą, z różnic religijnych czy odmiennych przestrzeni. Wszystko dzieje się w nich zara-zem. Ziemia Święta przenika ziemię augustowską i nadbiebrzańską. Postacie starotestamentowe jawią się nam dzisiaj i obdzielają swoimi

cechami współcześnie żyjących ludzi i na odwrót. Czas zakreśla koło, a wszystko, co już raz kiedyś się stało, ponownie istnieje chociażby tylko w podobieństwie natury ludzkiej, która przez wieki i pokolenia jest taka sama. Wiersze zaludniają się postaciami ze Starego i Nowego Testamentu, z czasów jaćwieskich, świętymi z różnych dawnych epok i z czasów nam najbliższych, jak chociażby Edytą Stein, Janem Pawłem II czy biskupem Edwardem Samsalem. Znaki z religii starozakonnej łączą się ze znakami chrześcijańskimi. Eliasz i Maria z Betanii są obok króla Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny, Wojciecha Kossaka, Mikołaja Samojlika i dziadka z Małowistej. Wszyscy noszą w sobie te same pragnienia i uczucia. Stefanowski ani czasu, ani ludzi nie dzieli na bardziej i mniej świętych. Różne postacie godne są uwagi jego wierszy. Osobiste wyznaczenie wiary autor łączy w wierszach z doświadczeniem uniwersalnym. W tomiku wiele ciepłych wspomnień matki, miejscowych kapłanów, dziecięcych wrażeń, nawiedzanych tutejszych sanktuariów. Wszystko to przedstawione w poetyckiej aurze zaskoczenia i niesamowitości. Powszedniość zajęć codziennych przenika święte obrządki, a te sakralizują każdy zdawałoby się zwykły gest, pracę, przedmiot. Wszystko to zaprawione jest mirrą. Przed okiem cierpienia nikt jeszcze nie uciekł i nie ucieknie, może jedynie je przyjąć lub odrzucić. Według poety wpisane jest ono w historię istnienia człowieka i świata. Mirra w symbolice religijnej oznacza cierpienie i śmierć Chrystusa, ale też umartwienie i naturę ludzką. Zaprawione mirrą wiersze Stefanowskiego noszą zarazem w sobie obrazy cierpiącego Chrystusa, czekającego na człowieka w konfesjonale, jak i obrazy opowiadające czysto ludzkie losy. Wychwalają one moc i piękno Pana, Jego Kościoła i świętych, również tych, znanych pocie z jego codziennego życia, kochającą matkę, zacnego księdza proboszcza czy też świątobliwego biskupa. Wiersze zaprawione cierpieniem i goryczą, a jakże ciepłe, jakże pogodne, jak ogromny niosące w sobie ładunek zawierzenia i zwykłego humoru. Bo mirrę rozpala się w kadzidle na chwałę Bogu i mirra to też środek używany od wieków do gojenia ran i uśmierzania bólu. Wiersze te więc z jednej strony chwalą Stwórcę, z drugiej pokazują złożoną naturę ludzką, ale też koją różne życiowe przeżycia, chociażby utratę przez młodego człowieka matki. Zostało nam, czytając je, wszystkiego tego w nich poszukiwać i czekać na następną, równie ciekawą, książkę młodego poety. Również, podobnie jak ta, porządnie zredagowaną i wydaną. Na uwagę zasłu-

guje słowo wstępne Waldemara Smaszca. Metafizyczne w swym wydziwku i jakże urocze grafiki Juliusza Szczęsnego Batury. Wprowadzająca w zadumę fotografia na okładce autorstwa Grzegorza Haraburdy. Dobrany odpowiednio w swej strukturze i kolorze papier oraz czcionka drukarska. Wszystko to sprawia, że książkę chce się wziąć do rąk i chce się ją czytać.

Józefa Drozdowska

Ponawianie życia Juliana Dworakowskiego

Ukryć się w słowie wiersza?
(Julian Dworakowski, *Ponawianie życia*, Prymat 2006)

„wracam za chwilę”
a nasza niecierpliwość
gotowa jeżyć się przez tysiąclecia
przecież to nie dynastia
ani nawet pokolenie
ani najdrobniejszy znak
interpunkcyjny wieczności
obojętnym martwe ziarno piasku
na pustyni za budulec burzy piaskowej
a kto trwa
kropla wody w nieustającym ruchu
/.../

/Chwila/

Autor „Ponawiania życia” (Prymat, Białystok 2006) ukończył studia administracyjne i mieszka na wsi. Pracował jako urzędnik, potem – jako nauczyciel, teraz od kilku lat jest bezrobotny. Ma już na swoim koncie „Słowa nieutracone” (Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Białystok 2000).

Tyle można dowiedzieć się z informacji na czwartej stronie okładki. Wiedzieć na początek tyle o autorze poetyckiego tomiku, to bardzo niewiele, i do tego – to raczej nietypowa jak na autora wierszy biografia.

Cóż w takim razie mówią same wiersze? Te są kolejną niespodzianką: dojrzałe zrozumieniem wartości istnienia, świętości istnienia; głębokie filozoficzną refleksją, czułe na „wewnętrzną stronę człowieka”. Autor często zdaje się pisać, przymuszony jak gdyby goryczą doświadczenia, smutkiem, którego źródła nie ujawnia, lecz który nasycza słowa poetyckich wypowiedzi. Wcale nie są one łatwe w przekazywanej prawdzie, niektóre odznaczają się aurą jakiejś zagadkowości. Autorowi chyba nie bardzo zależy na tym, by się ewentualnemu odbiorcy podobać, żeby czymś czytelnika zadziwić. Zależy mu, mam wrażenie, na czymś zupełnie innym: przede wszystkim chce wyrazić swoją prawdę życia, prawdę istnienia – a patrzy uważnie i widzi przenikliwie.

kiedy zamykają się
kurki
drzwi
na zawsze powieki najbliższych
dnie przed słońcem tak podobne
jak słońce domyka dnie

wtedy otwierają się wiersze
rany z których wypływa życie

ono nie daje się zamknąć
spod powiek kołacze tak jak słońce do drzwi

/Wtedy kiedy/

Przekuwanie w wiersz życiowej porcji „niemiłości („od pochwał i samochwał/ nie przybywa chwały”, Z serca do przyjaciółek; „czasem usta / tak depczą jak buty”, Czytając życie) mogłoby okazać

się ryzykownym artystycznie działaniem, gdyby nie właśnie postawa dystansu, w którym prozaicznej dosłowności o imieniu „małość” zostaje przydany kształt sentencjonalnego uogólnienia. Wtedy lektura przywodzi na pamięć gorzką mądrość starotestamentalnej „Księgi Syracha” czy pozbawioną złudzeń postawę osamotnionego a genialnego Norwida.

Nadmiernym czy splotonym
pragnieniem jest
pyta starzec –
pół kubka wody
niezmaconej łaską

/Starzec i nie tylko/

Rozdarcie, które w tragicznym doświadczeniu współczesnej cywilizacji rozdzieliło człowieka od ziemi, wrażliwość od moralności, piękno – od jego prawdy, wypełniającej stworzony świat – to rozdarcie, gdy rani poetę, na szczęście nie jest wyrokiem skazującym na wygnanie. Julianowi Dworakowskiemu prawdziwy związek człowieka z ziemią, ze światem przyrody stał się zadomowieniem. Autor należy do natur obdarzonych zmysłem obserwacji i głęboką intuicją; umie w odkrywczy sposób dostrzec wewnętrzne wiązania zjawisk – zdawałoby się – odległych sobie, nieporównywalnych. Być może na to nie trzeba „obowiązkowo” być poetą, ale żeby takim być – nie wystarczy istnienie splotone, upotocznione bez reszty.

progi kije trumny gwoździe

czyżby drzewo nie miało
zielonego pojęcia o życiu

a domy meble krzyże konfesjonały

nie musi tłumaczyć się drzewo
z owoców żywota swojego

/O drzewie (I)/

Czy drzewo powinno mieć „zielone pojęcie” o życiu? A jeżeli ma – i to nie tylko „zielone”, mimo całkowitej zieloności? Upodoba-

nie do podejmowania gier ze słowem w różnych kontekstach, celne i „odświeżające” ich utarte znaczenia operowanie związkami frazeologicznymi – to także właściwość „Ponawiania życia”, świadcząca o językowych zdolnościach autora, o doskonałym słuchu językowym.

„Ponawianie życia” jest lekturą intrygującą. Tomik okazuje się dojrzały zrozumieniem nie tylko tego, co w mądrym życiu najważniejsze; swymi wierszami Julian Dworakowski daje dowód, że – dotknięty „łaską wiersza” – potrafi znaleźć odpowiedni wyraz artystyczny dla trudu tej łaski wypowiedzenia.

w imię światła
ziemi powietrza i wody
bywam

kiedy ranne wstają sny
ja i wszystkie narody
nakryj stół powszedni
światłem zgody
rozmnażaj na nim dni
ojców matek dzieci czci
daj wargom i oczom głos
w nasze ręce skryj nasz los
jeszcze nie sądz
naucz siał i żąć
osyp z nas plewy
i uczynić z nas chleby

/Modlitwa poranna/

Julianowi Dworakowskiemu patronują klasycy dobrej poezji, liryczne szlaki wytyczają – historia ojczyzna ściśle sprzęgnięta z rodzinną tradycją i biblijne zakorzenienie. Może to delikatność serca każe pocie „szyfrować” osobiste doświadczenia, zasłaniać się w wierszach aluzją, sugestią zaledwie. Autorskiej predylekcji do filozoficznego ujmowania zjawisk wiersze zawdzięczają medytacyjny charakter. Czytelnikowi nie zabraknie nie tylko dobrej lektury, lecz i materiału do przemyśleń. To zaskakująco dojrzała twórczość, zważywszy zupełnie nie polonistyczne, nie literackie życiowe uwarunkowania.

„Wiersze/ rany, z których wypływa życie”... Tajemnica albo zniechęca, albo przyciąga. Dość surowy sposób mówienia jest wielkim atutem twórczości Juliana Dworakowskiego. Poetycką wrażliwością „omiata” (określenie zaczerpnięte z wiersza „Omiatanie czasu”) szeroki krąg przeżyć i przemyśleń. Z tych prób zwykle wychodzi zwycięsko.

Życzę poecie, (którego utworów nie znalazłam w żadnym z dotychczasowych numerów almanachu „Epea”) pomyślności – jego własnymi słowami z wiersza „Czytając życie”:

„Niech Twoich skrzydeł strzeże biały kruk” –

Teresa Jabłońska



Spis treści:

Grzegorz Stanisławski

Wylicznika	3
*** (Może wejść raz jeszcze na...)	3
Wielkanoc	4
memu ojcu - przed śmiercią	4
Bądź	5
sen	5
Jestem	6

Janusz Taranienko

Grzesiek	7
----------------	---

Zbigniew Patryk

Bardziej żyć	15
Beneficjum	15
Bez wzajemności	16
Co to znaczy	17
Do rymu	18
Dobrze że tak jest	18
Dziewiczość	19
Dziękuję ci	19
Moje miasto	21
Odpust pod wałami na Rocha	21
Ojcowska rada	23

Janusz Taranienko

wycieczka	24
od - do; pieśń świąteczna	25
pisanie z balkonu o parkowych drzewach	26
z głowy, czyli z <i>więcej wczoraj niż jutro</i> polemika ..	27
sub specie	28
doskonałość	29
psalm o łodziach	30
z tuwima /i innych/	31

Hanna E. Cygańczuk-Prokopczyk	
Ballada o papierosie	33
Błękitne świerszcze	34
Liście spadające	35
Zabrodzie I	36
Zabrodzie II	37
Zabrodzie III	37
Wóz rozpaczy	38
Jeszcze	38
Józefa Drozdowska	
Kuliki	39
Narew pod Łomżą	40
Oczy mojego kota jesiennieją	41
Przedwieczność	41
Słuchając kapeli dziecięcej	42
Spotkanie	42
W Konstancji	43
W lustrze Dzierzbi	44
*** (Kiedy kaflowy piec...)	45
*** (Złote oczy mojego kota...)	45
Henryk Gała	
Poranek do rozglądania się po pamięci	47
Prawa natury – Kiedyś	48
Wiosna – od rana	49
Wiosna – popołudnie	49
Wiosna – wieczorem	50
Irena Słonimska	
*** (mgiełka otacza...)	52
*** (to takie ciepłe...)	52
*** (gdy zimą przypominam tchnienie łąki...)	53
Dla Romea i Julii	54
*** (a mimo wszystko jesteś...)	54
*** (tęsknię...)	55

*** (wirujące słońca...)	56
*** (wietrznico...)	56
Zofia Piłasiewicz	
Wizyta w Krasnogrudzie	58
Rubis d'Orient	59
Jenisej	60
Intymna przyjemność czytania	61
Rozmowa	61
*** (Bóg zamieszkał w drewnianej kapliczce...)	62
Oddech rzeki...	62
Tors	63
Leonarda Szubzda	
*** (co zrobisz z tą miłością...)	64
*** (kamienista ziemia wokół nas...)	65
*** (kiedyś mieliśmy niebo...)	65
*** (przychodzimy...)	66
Włodzimierz Sawczuk	
Rodzinny dom	67
A dzisiaj jadę	67
xxx	68
Wojciech Załęski	
Akwarium	69
Banerka	74
Wszyscy rzucali kamienie	81
Dariusz Adam Zeller	
*** (z okazji dnia codziennego...)	87
Czerwony maj	87
*** (ten sznur pocałunków...)	88
Historia pewnej znajomości	89
Krystyna Bezubik	
fragmenty książki: Dwadzieścia cztery	90

Ewa Perepelica	
*** (wiem...)	105
bosa	105
*** (zapisani w sobie zasypialiśmy na brzegu świt...)	106
Małgorzata Dobkowska	
Natura	107
*** (jabłoń grusza wiśnia...)	107
*** (w butli ciszy...)	108
*** (ta fala już odchodzi...)	108
Haiku w Bzie	108
Otwarte haiku	108
Wiatr opuszczenie	108
Eligiusz Buczyński	
pożegnanie	110
jutro	110
zew	111
Dopóki mróz nie zakotwiczy w naszych żyłach	111
Kilka żartobliwych zdań a' propos ciemności	122
Od nowej linijki	123
Kamil Dąbrowski	
Zen	115
Contemporary idea	115
Archiwum. Przystanek	116
10 km do Buenos	116
Andrzej Pietrasz	
*** (noc stanęła przed ławą przysięgłych...)	117
Slogany	118
*** (wyprawa w góry...)	118
Ryszard Zięckowski	
Wizja lokalna	120
Szukanie Boga	120

*** (w jej oczach odbija się świat...)	121
Modlitwa	122

Sylwia Urbanik

*** (Niczym cieniesnujemy się...)	123
*** (chciałabym...)	123

Konkursy

Konkurs poetycki „O Srebrne Pióro MDK”	125
Konkurs poetycki „Majowej Konwalii”	140

Julian Dworakowski

Żniwo	146
-------------	-----

Irena Słomińska

Adekwatne	150
Ofelia.....	152

Barbara Lachowicz

Odejście Wiktorii	154
Więżniowie Panny Marii	157

Henryk Kruszyński

List do Daenikena	164
-------------------------	-----

Justas Jasėnas

Laikas iš glūdumos...	168
Išgėriau paskutinį lašą	169
Akyje gimė žraogus	169
Užmigdykite mus ežeruos...	170
Paskutinės Tėvo dienos...	171

Edyta Ślącza-Poskrobko

*** (Mierzyłam tęsknotę centymetrem...)	172
*** (Smutna myśl małżeńska...)	172
*** (Otoczona włosami ulicy...)	172

Przemysław Kuć	
Ociekanie	206
Błękit	206
Znikając	207
*** (Proszę oto list kropka zdanie...)	208
Milczenie	208
Maciej Szanciło	
*** (Posadzić kwiaty, drzewa...)	210
lustro	210
przy oknie	211
rozkwitnięcie	211
oderwany	212
Ryszard Kondratowicz	
Oglądam się	213
Noc i sen	213
Ty	214
Marek Styliński	
Do Karola Wojtyły	215
„Mater Adorans” z Wrocławskiej Katedry	216
Apoloniusz Ciołkiewicz	
fraszki	217
Kazimierz Słomiński	
aforyzmy	226
O literaturze	
Mariusz Okułowicz	
Kilka teoretycznych uwag o kategorii przestrzeni literackiej	228
Dominik Sołowiej	
Literatura kliniczna	236

Recenzje

Irena Słomińska

Przemijanie Wiktora Szweda 239

Długożycie Anny Markowej 243

Marianna Czubata

Rozmowa z cieniem Eugeniusza Szulborskiego 248

Józefa Drozdowska

recenzja tomiku Erazma Stefanowskiego 250

Teresa Jabłońska

Ponawianie życia Julian Dworakowski 252